

**BEZ CENZURY**

---

WIKTOR WOROSZYLSKI

**LITERATURA**

**INSTYTUT**

**PARYZ**



**LITERACKI**

1977

BEZ CENZURY

---

WISCI WYKONSTWI

LITERATURA

INSTYTUT LITERACKI

Instytut Literacki  
ul. Anielewiczów 17  
00-611 Warszawa



BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 281

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

**BEZ CENZURY**

---

WIKTOR WOROSZYLSKI

**LITERATURA**

POWIEŚĆ

**INSTYTUT**

**PARYŻ**



**LITERACKI**

1977

BEZ CENZURY

WIKTOR WOROSZYŃSKI

LITERATURA



*chw.*

W 1.985.206



© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1977

1977 W 1195/8

Najpierw, w tym mieście, rozrzuconym, pustym, wietrznym, jakby wczoraj dopiero zdobytym, rozchybotanym cieniami od muru do muru, ledwie przyjechałem, ze skrzypieniem wszystkich przesiadek w kościach, z uciskającą nudą wagonową w skroniach, i tu z miejsca — wybuch dyrektorskiego triumfu, i mnie w to wciągnięcie: że jednak! że wbrew towarzyszcze Szakal! no, gramy przecież! nawet prób zakazała po jej opinii zwierzchność strwożona, a przecież!

Więc cała gehenna widowiska mojego biednego, które z taką radością, cały bieg intrygi, komplet (albo i nie komplet) podejrzeń, nieodomówień, asekuracji, i w tym — jego, Dyrektora młodego, działanie przebiegłe i rzutkie, i zwycięstwo wreszcie w ostatniej nieomal chwili, łopot skrzydeł, fanfary, wbrew towarzyszcze Szakal, my wspólnie uskrzydleni i mknący.

Rano wiatr ucichł.

Na próbie generalnej wiłem się ze wstydu.

Nie rozumie pani? Naprawdę pani nie rozumie? Myśli pani: my tutaj tyle, Dyrektor, Scenograf, Kierownik Literacki, tyle nerwów, tyle wysiłków, żeby wydrzeć z paszczy, doprowadzić do wystawienia, a on przyjeżdża i! Tak? Tak pani myśli? Mniej więcej. A nie przyjdzie pani do głowy, że on nie ma prawa docenić, nie ma prawa uznać, nie może za wszelką cenę, byle wystawić, byle wydać, to już nie on, pobity, zdradzony, jedno słowo, jedna linijka, pycha? może i tak, ale musi się bronić, obstawać, jeżeli ma istnieć, może to istnienie nie takie ważne, zgoda, lecz skoro.

Przeciwstawiam tedy raczej autorskie jej rozżaleniu, które lepiej rozumiem, niż sądzi, mój Boże, czy to pierwszy raz, każda książka, scenariusz, czasem lada felieton, ile już lat, i zawsze

ten wyrzut, wahanie, czego ja od nich chcę, oni walczą o życie w sensie najdosłowniejszym, jak śmiałym to lekceważyć, nie jestem idiotą, nie żyję na Marsie, i już obcy staje mi się Pan Autor, a oni bliżsi, i, niechętny autorskiemu pięknoduchostwu, gotów jestem zamilknąć, kiedy raptem — to dźgnięcie wstydu, jak dziś na próbie, i nie, nie mogę.

Nazajutrz (w dniu premiery), kiedy kupowałem w kiosku tygodnik ilustrowany (miało tam być coś mojego, nie było, rozczarowany przerzucałem stronicę, póki inwalida wyliczał resztę), już na odchodnym, mimowoli omiatając spojrzeniem wyłożone dzienniki, dostrzegłem czarną ramkę: „Zmarł towarzysz Siedlecki”. Spodziewałem się tego od kilku miesięcy, od naszej ostatniej rozmowy, kiedy spotkałem się z nim po wieloletniej przerwie, z jego ponowionej inicjatywy. Pierwsza była jak gdyby przypadkowa, zetknęliśmy się przelotnie w kinie, zaproponował żebym wpadł do niego w najbliższych dniach, przyrzekłem, ale nie miałem ochoty, obawiałem się, że zechce przemawiać mi do rozsądku, działa się to w okresie mojej sprawy w Komisji Kontroli Partii. W parę tygodni później było po wszystkim i wtedy właśnie zadzwonił Aleksander, słuchaj, powiedział, idź do Siedleckiego, zależy mu na tym, on niedługo pociągnie, co mu jest, zapytałem, właśnie to, odparł. Wziąłem na dole przepustkę i ruszyłem szerokimi schodami, gmach był wielki i nieprzytulny, i przypomniałem sobie wąskie ciemne schody dwadzieścia dwa lata temu, schody po których wspinałem się z duszą na ramieniu i z zaciśniętym w garści maszynopisem. Potem codziennie otwierałem gazetę z drzeniem serca i wiersza nie było — och, to drzenie serca, nie wyzbyłem się go nigdy, również tego ranka w pustym, wietrznym mieście, sięgając po tygodnik, odczułem je tak samo jak wówczas, gdy chodziło o pierwszy wiersz, i tak samo zaboląła szczelna nieprzystępność zadrukowanych kolumn. Wtedy, w pierwszym dużym mieście mojego życia, po kilku dniach z rezygnacją wdrapałem się ponownie na mroczne schody żeby odebrać odrzucony, jak sądziłem, maszynopis, i naraz znalazłem się naprzeciwko wysokiego bruneta o pociągłej twarzy, z lekkim garbkim na nosie. Jak wielu mężczyzn podówczas, nosił mundur wojskowy, i jak na wielu — mundur źle na nim leżał. Przyjrzał mi się z pobłażliwym niedowierzaniem i zapytał: samiście to napisali? Skończyłem osiemnaście lat, nie wyglądałem nawet na tyle, i mój wygląd dość długo jeszcze miał mi sprawiać kłopoty. Siedlecki krążył po ciasnym gabinecie z założonymi do tyłu rękoma, idzie do numeru, rzucił znienacka, i nie ochłoniąłem jeszcze z oszoło-



mienia, kiedy pogłębił je oschłym: chcecie u nas pracować? Tego dnia zostałem reporterem centralnego organu. Po latach spotkałem Siedleckiego w Warszawie, na jakiejś rocznicowej uroczystości, był tęgi, siwy i, choć na wysokim stanowisku, w nikim chyba nie budził tego respektu, co niegdyś we mnie. Traćiliśmy się kieliszkami, zaczął coś do mnie mówić — i wtem uświadomiłem sobie, że mówi per ty, najwidoczniej spodziewając się, że podejmę tę koleżeńską formę. Nie przechodziła mi przez gardło. Miałem już za sobą bruderszafty z wielkimi pisarzami, artystami i uczonymi — i z żadnym nie odczuwałem tego rodzaju skrepowań, co teraz z tym człowiekiem, traktującym mnie jak kolegę, a w którym ja, z powrotem zamieniony w nieśmiałego chłopca z prowincji, ściskającego w dłoni debiutancki wierszyk, ciągle widziałem swojego pierwszego redaktora. I oto znowu po latach siedziałem naprzeciw niego na najwyższym piętrze budynku zajętego w całości przez podporządkowane mu redakcje, i podobny był do siebie z czasów tuż powojennych, chudy, o ostrych rysach, w kiepsko leżącej marynarce, a ja nie czułem dystansu, lecz braterstwo i litość. Gdyby teraz zwrócił się per ty, bez przymusu odpowiedziałbym mu tak samo, on jednak kazał podać kawę, której sam nie tknął, przysunął mi jakieś biszkopty i zapytał: więc co się z wami dzieje? Od trzech dni jestem bezpartyjny, oznajmiłem tonem lżejszym niż wypadało. Wiem, zabębnił palcami po szklanym blacie, moim zdaniem, powiedział, to wszystko nie tak, was nie da się określić jako liberalnego socjaldemokratę. Zabrzmiało to strasznie serio, i pomyślałem, że kiedy doszły go wiadomości o moim odstępstwie, musiał je sobie dokładnie rozważyć zanim zdecydował się na sformułowanie opinii, należał do sztywnych, nie znosił igrania pojęciami, był dlatego dużo mniej popularny od swojego bezpośredniego zwierzchnika. Nie czułem się usposobiony do politycznej spowiedzi, ale Siedlecki nie zmierzał do wyciągania ze mnie czegokolwiek, przysunął do siebie papierosy, odsunął je znowu i zapytał, czy mam z czego żyć. Nie wiem jeszcze, odparłem, jedna rzecz leży w wydawnictwie i coś tam pozaczynałem, nie wiem, to będzie zależało. No tak, zgodził się, może tym razem, ale na wszelki wypadek chciałyby wam zaproponować, tu są różne możliwości, i podniósł słuchawkę. Zjawił się któryś z podległych mu redaktorów i zaczęliśmy omawiać możliwości. Zanotowałem telefony, przyrzekłem, że w najbliższym czasie zadzwonię, jego podwładny ukłonił się i wyszedł, a my dwaj przez chwilę jeszcze wspominaliśmy rok 1945, co kto porabia z ówczesnych, w końcu podziękowałem i podniosłem się z miejsca. Nie zadzwoniłem już i nie zobaczyłem go więcej,

choć wiedziałem, że to, o czym uprzedził mnie Aleksander, jest prawdą, tyle jednak działa się przez te miesiące, tak mnie wciągało, że nie myślałem o nim, człowieku bardziej obecnym w moim życiu niż przypuszczałem zanim zobaczyłem nekrolog. Teraz zaś pomyślałem tylko, że nie zdążę na pogrzeb, bo dopiero pojutrze mogę wyjechać z tego miasta, do którego przybyłem żeby zaznać radości i smutku, nie do przewidzenia w momencie, kiedy odchodziłem od kiosku z gazetami, pełen niepokoju, z nie opuszczającym mnie od kilkunastu godzin bólem klatki piersiowej.

Trzy lata trwało, zanim ośmieliłem się zacząć tę książkę, a myślałem o niej już wcześniej, trzy lata dreptania naokoło, okłamywania wszystkich, że piszę, słuchania rad, są mi życzliwi, chwala to, co zrobiłem dotąd, nie napiszę jednak nic tego, co sobie wyobrazili, napiszę o sobie, czyż nie nadaję się na bohatera własnej powieści, lecz w tej samej chwili, gdy tak formułuję zamiar, rzecz się gmatwa, bo któż odczyta to dosłownie, pierwsza osoba o niczym nie świadczy, ani tożsamość imienia, każdy dopatry się w tym konstrukcji, „ja” literackiego, powołanego dla jakichś tam celów, chyba że się przyznam od razu, a nawet położę nacisk na literackości owego „ja”, wtedy pewni będą, że to o mnie prawdziwym, tylko znowu czy tak bardzo mi na tym zależy, czy nie boję się tego, w końcu żyję wśród ludzi, mam rodzinę, tak więc trzy lata dreptania naokoło i wreszcie rozpoczęcie w aurze dwuznaczności, ja rzeczywisty, ja literacki, ekshibicjonizm, kamuflaż, w aurze, której.

Zgaszenie świateł, rozbłyśnięcie świateł, a pomiędzy zgaszeniem i rozbłyśnięciem — to wszystko, co ostało się ze mnie, i to, co w ostatniej chwili, po próbie generalnej, udało się przywrócić w wyniku scysji z Dyrektorem, po której czułem niesmak, a pani Kierownik Literacki — rozżalenie, ale nieco rzadziej musiałem się skręcać ze wstydu, a także to, co zrobił przeciwko mnie i czego nie chciał usunąć, związany, jak twierdził, lojalnością wobec kogoś z wpływowych obrońców spektaklu, więc wstydziłem się nadal, wstydem jednak trochę już przytępionym i bardziej przelotnym, unoszonym po chwili przez kolejną falę dźwięków i gestów scenicznych, niknącym w spazmatycznej słodyczy narkotyku teatralnego. I oto już po wszystkim, oklaski, kwiaty, Reżyser! Reżyser! Autor! i wyciągają nas z widowni na scenę, podajemy sobie ręce, kłaniamy się, oklaski, aktorki usiłują oddać mi swoje kwiaty, wzbraniam się, oklaski, wszystko odpływa i gaśnie.

Zapraszamy państwa do dyskusji, widowiskiem tym teatr umiejscowił się w centralnym nurcie, Peter Brook, Lubimow, tworzywo poetyckie pomnożone o wszelkie środki, teatr agresywny, czy słowo nie zostało zepchnięte, proszę państwa, z wszelkiego materiału budujemy to, co nam odpowiada, słowo musi służyć rzeczy, co na to Autor, chciałbym podziękować Panu Dyrektorowi i całemu zespołowi, sądzę, że w praktyce teorie te nie są na szczęście i w zasadzie szacunek dla słowa, dla poezji, zresztą poezja.

I potem, już nieprzytomny, zawisły nade mną twarzą jak sprany gałgan z wypalonymi dziurkami oczu, pan jest twórcą, tak, a ja też mam prawo do twórczości, prawo do buntu, więc niech się pan buntuje, ja się buntuję przeciwko panu, to mój bunt, moja agresja, ach tak?

A pani Kierownik Literacki szlocha w łazience, wśród ręczników i flakoników, dziewczyna o niezłych nogach i pośpiesznie wylepionej twarzy, ciągle uciekam, z teatru do teatru, chcę tu już zostać, chcę być po jego stronie, dajcie mi tutaj zostać.

Pani ma trzydzieści lat, a ja czterdzieści, mówi spokojnie aktorka, która w widowisku grała podlotka.

A ja mam dwadzieścia osiem i nigdy nie zagram jak mój ojciec, jestem beztalenciem, krępy ryży wyzywająco, niemal z nienawiścią wygłasza kwestię, którą muszę już znać, bo nikt nie reaguje, powinni go pocieszać, może ja powinienem.

Powróżyć panu, młode chucherko o wielkich, szarych, zbójceckich oczach, szepnęli mi już, że płynie w niej krew cygańska, proszę lewą ręką trzy razy przełożyć do siebie, ten król to pan, oj, niedobra karta, spotka pana duży zawód, w jakiej dziedzinie, w urzędowej, to głupstwo, w miłosnej też, z tą damą szatynką, przez czarnego króla, dziękuję za wróżby, podziękował pan, więc się nie liczy, to chwala Bogu.

Kierownik Literacki dalej szlocha w łazience.

Nie potrafię się urządzić.

Chcielibyśmy panu wyrazić, teraz ci trzej wciskają mnie w kąt i już jestem bezbronny, szczerzy podziw całego zespołu dla pańskiej postawy, podziw? postawy? dla konsekwencji, z którą, wiemy o pańskim konflikcie z, wciśnięty w kąt, osaczony, nie żeby nieprzyjemnie, nawet jakieś ciepło tam, obok bólu nieustępującego, wraz z nim, ależ panowie, mnie znacznie, skąd, my już wiemy, i znowu, widziany przez nich poza całą koniecznością, zatem łatwością, nazbyt szlachetnie, w reflektorach wzniosłej samoofiary, przestają być sobą, możebyśmy się jednak napili.

Ale czego boję się w takich sytuacjach, czy rachunku, który wystawią mi kiedyś potem, w najmniej oczekiwanym momencie, dawno o nich zapomnę, nie poznam, w innym mieście, podejść, postarzali, pofałdowani, może wcale nie oni, jacyś inni splajtowani faceci, nigdy ich nie znałem, lecz zawsze o to samo, o stracone złudzenia, nie ja łudziłem, nie ja odzierałem, ale wyobrażają sobie, że jakiś mój gest, sposób, w jaki ów gest odczytali, wpłynął decydująco na ich zaangażowanie w coś tam, więc teraz winienem płacić za ich smutek i wypalenie wewnętrzne, za zawiedzione miłości, za złe oszlifowane zwierciadło czasu, krzywo odbijające ich wiary i wiarołomstwa. Kilka miesięcy temu, w jednym z mniejszych miast wojewódzkich, w mordowni kategorii „S” (dopiero co wróciłem ze spotkań w bibliotekach powiatowych i było to jedyne miejsce, gdzie o tej porze można było coś zjeść), mężczyzna o ciężkiej głowie ze strączastą czupryną zataczając się wylądował przy moim stoliku: ty jesteś Woroszyński? Ty, sam sobie potwierdził i skinął na drugiego, niepozornego, uwijającego się za jego plecami, no siadaj, to jest on, pogadamy z nim. Ty się, Woroszyński, nie przejmuj, że my na bani, co robić, od południa pijemy, załatwiałem, widzisz, dla kumpla przeniesienie jego żony z terenu, z inspektorem powiatowym, a potem z miejskim, dziwi cię, co, ty tego nie znasz, ale załatwiło się, daj spokój, wtrącił kumpel, trąbisz na cały lokal, dobra, nie o to idzie, a o to, że ty, Woroszyński, byłeś moim ideałem. I już nie jestem? Koniec, przyjeżdżał tu w zeszłym tygodniu Kapuć, wszystko wytłumaczył, to tak się robi? ja w pięćdziesiątym pierwszym założyłem trzy spółdzielnie produkcyjne, rozpadły się wiesz kiedy, teraz robię zaocznie doktorat z pedagogiki, a ty. Co a ja? Z grubsza jednak wiem już, za co tym razem wystawiono mi rachunek, a nawet jaki pretekst posłużył wystawcy do uczynienia tego właśnie teraz, więc dobrze, spróbujmy się rozliczyć, ale on opadł czołem na stolik i nigdy już nie spojrzymy sobie w oczy, tylko: szefie, płacić, i wyjście na rozmigotaną, białą i różowo kwitnącą prowincjonalną noc, z sytuacji jakich wiele, bez wyroku i absencji.

Opowiedziałem to Marcie, spotkałem ją w Desie na Nowym Świecie i dała się zaciągnąć na kawę, piękna Marta, niewiele zmieniona od czasów, gdy jej płowy warkocz powiewał z radośnych plakatów naszej młodości, żadna z ówczesnych dziewcząt nie nadawała się w tym stopniu co Marta na symbol młodzieńczego marzenia, czystości i pędu, piękna Marta, smukła, długonoga i wielkooka, jedynie cera nie zachowała dawnej świeżości i koło warg pojawiły się bruzdy ironii czy goryczy, powtórzyłem



Marcie monolog człowieka, dla którego przestałem być ideałem, potem opowiedziałem spotkanie z ciągle młodym poetą w innym z miast, do których ostatnio zapędziły mnie konieczności, tak, zgodziła się Marta, ludzie chcą przerzucić na kogoś odpowiedzialność, kiedy po latach nie czują się usatysfakcjonowani skórą, w której siedzą, ale bywa odwrotnie, odwiedził mnie i zaczął się kajać, nie rozumiałam z początku, raptem pojąłem, że przypisuje sobie winę za moje postępowanie w tej historii z Henrykiem, zdumiałam się, w tym miejscu i ja się zdumiałem, lubiliśmy się z Martą od lat, ale nigdy nie napomknęła o tamtej historii, którą skądinąd znałem, jak wszyscy, w ogóle nigdy nie zwierzała się, jej gmatwaninę życiową obserwowałem z zewnątrz, tych kolejnych mężów, po których zstępowała jak po szczeblach w długiej drabinie rezygnacji, aż do obecnej samotności i strachu przed zbliżeniem z jakimkolwiek mężczyzną, Henryk był pierwszy, młody oficer, tak piękni oboje, że oglądano się za nimi na ulicy, a może nie za ich urodą, lecz za bijącym od nich blaskiem miłości, w dwa miesiące po aresztowaniu Henryka Marta wniosła podanie o rozwód, który uzyskała bez zwłoki, zdumiałam się, powiedziała, ten człowiek sądził, że skoro mnie namawiał, cóż z tego, że namawiał, i on, i inni, byłam dorosła, miałaś dwadzieścia lat, przypominałem, byłaś głupią, obłąmaczoną smarkulą, bo wiesz, powiedziała bezradnie, gdyby Henryk był wobec mnie szczerzy, gdyby się był przyznał, dokąd należał podczas okupacji, ale on ukrywał, i kiedy rano wyszedł, i już nie wrócił, i dotarłam w końcu tam, i przedstawiono mi dowody, uwierzyłam nie tylko w to, ale i w całą resztę, byłam jak skamieniała, skazali go na karę śmierci, a ja nie, to matka napisała do Bieruta i Bierut go ułaskawił, co z nim teraz, ma rodzinę, dobrze mu się powodzi, nie, nie zmarnowałam mu życia, jeżeli komuś, no, czas do biura.

Sprawa Marty i Henryka, teraz dopiero uprzytamniam sobie, że w tej audycji, która nigdy ostatecznie nie poszła na antenę, choć nagrodzona w konkursie i nagrana pieczołowicie, kontrolersyjna, ktoś orzekł, redaktorki wyłaziły ze skóry, napisały wstęp i młodzież sprowadziły do studia, żeby szczerą dyskusję, może w takim opakowaniu, liczyły, ale nie nie pomogło, po dyskusji zaś redaktorka przybita: ci młodzi, odrobiny serca, otóż teraz dopiero uprzytamniam sobie, że w tej audycji kilka lat temu, w której różne losy pokolenia, także echo dalekie, złagodzone i odwrócone, bo to on z nią zerwał, sprawy Marty i Henryka, której wtedy nie pamiętałem, to po prostu było o młodzińczej miłości, w którą chór wkroczył czujny,



słuchałem tego z chłopcami i dziewczętami, których w latach tamtych chórów bodaj że nie było na świecie, jacy oni ładni i swobodni, myślałem, a kiedy z głośnika wydobywał się zainscenizowany gwar zebrania, na którym jego przyparto do muru, pomyślałem, że dla nich zabrzmi to zbyt karykaturalnie, że nie zechcą uwierzyć, mówca skrzeczał: dla dobrego towarzysza nie ma spraw osobistych, które miałyby prawo zatajać przed kolektywem, więc o Marcie i Henryku nie pamiętałem wtedy, chociaż to w audycji było echem uproszczonym ich sprawy, my walczymy o ludzi, głos mówcy z pudła, chcemy pomóc towarzyszowi, słuchali z nieprzeniknionymi twarzami.

Później był szloch dziewczyny i dialog, w którym on jej tłumaczył, że nie mogą stawiać oporu, bo zostaną zniszczeni, był to chłopak, który wcześniej, w innego rodzaju sytuacjach, wykazał silniejszy charakter, więc teraz z kolei bałem się, że nie pojmą metamorfozy, słuchacze popuszczali głowy, wstydzą się za pokolenie rodziców, pomyślałem, wreszcie w pudle zapadła cisza.

Miał rację, powiedział pierwszy dyskutant, skoro takie układy, co, z motyką na słońce, absurd.

Tamci byli na górze, trzeba było się dostosować.

Dziewczyna zawsze jest bardziej sentymentalna, facet musiał jej wytłumaczyć, jeżeli miała do niego pretensje, to była głupia, i dobrze, że ją rzucił.

Chodziło o studia, o całą przyszłość, może miał do łopaty.

Jednostka nie może się sprzeciwiać rządzącej partii.

Młodzi, ładni, wysocy, pewni siebie, trzeźwi, dumni ze swej trzeźwości.

Z tym, który nadał ton dyskusji, miałem zetknąć się jeszcze dwukrotnie, ale za pierwszym razem nie poznałem go, a za drugim.

Odrobiny serca, żaliła się redaktorka, kiedy poszli ze studia i siedzieliśmy zakłopotani naprzeciw umilkłego głośnika, tacy młodzi i już konformiści.

A może, zaryzykowałem, oni z nas robią balona, nie sądzi pani?

Nie, nie sądziła.

Dlaczego teraz, kiedy myślę tę książkę, wszystko zbiega się do mnie: ludzie nie widziani od lat albo widywani poza wszelką treścią swojego i mojego istnienia, w zamazanym półświecie potoczności życiowej, raptem znoszą mi klocki przystające do

innych klocków, albo jeszcze raptowniej zamierają i umierają, i śmierć ich opowiada o każdym to, co niby wiedziałem, lecz głosem, którym wyraźniej do mnie dociera i ustala się w rzecz, i łączy się znów z czym innym, a do tego wspomnienia, jakby nie przeze mnie odgrzebane, lecz same przedzierające się w moim kierunku przez zaspę dni, które przysypały je były, zdawało się, bezpowrotnie, i lektury podkładające się pod rękę, i melodie, i filmy, wszystko jakoś związane z tą nicią przewleczoną przeze mnie, przez moje myślenie o czym, o książce, chyba o czymś bardziej niż książka bezkształtnym i rozedrganym. I z tym, albo z tego, to dziwne poczucie zamykających się wątków, które towarzyszy mi od jakiegoś czasu i ma w sobie coś ze śmierci, już nie innych ludzi, mojej własnej, to nie jest bolesne, odwrótne, kojące w swojej niespodziewanej harmonijności, w ostateczności niespełnień i spełnień, godzę się z tym, więcej, wdzięczny jestem nieznannej sile, która to sprawia, ach nie, ledwie to napisałem, budzi się sprzeciw i pragnienie zerwania wątków zamkniętych, zaczęcia nowych, zaskakujących, niejasnych, czy to możliwe, niech będzie brzask, niech błyskawica przez noc, jeszcze wcześniej, wszystko możliwe, nie wiem.

Jedno z tych spotkań, przed zgaszeniem świateł, przed pierwszym dzwonkiem, kiedy w zwolnieniu, w płynności ciał sunących lunatycznie przez foyer, w jakiejś wyrwie nagłej, w rozstąpieniu się i ponownym zwarciu butonierek, dekoltów, muszek, ssący ruch dyrektorskich ramion, państwo, pozwolą, nasz Autor, my się znamy, rozciągnięte sine policzki dołem prosto w kark przechodzące, górą w powieki, nie poznajesz, Tadziczku, może i poznaję, ale dlaczego Tadziczku, poznaję, przez wieprzowatość uwięzioną w kołnierzu prześwituje twarz inna, duch twarzy młodzieńczej, pożartej przez tę, prawda, Tadziczek nie żyje, ty się nazywasz, no właśnie, znamy się doskonale, do reszty towarzystwa: ze studiów i z jednej redakcji, pamiętasz ten mały pokój, cieszę się z twojej premiery, a ty tu jesteś władzą jakąś, tak, ja, hm, a to moja prawa ręka, zapoznaj się, towarzyszka Szakal, bardzo mi miło, poważna, z zaciętymi ustami, nie sądziłem, że są jeszcze takie dziewczyny, pamiętam je dobrze, ale myślałem, że po potopie, cóż, kariery jak ten nigdy nie robi, czy on pisał wiersze, zdaje się, ci dookoła zaskoczeni naszą komitową, Dyrektor marszczy czoło, nie wie jak zagrać, lecz tu dzwonek pierwszy i drugi, zapadnięcie się w fotel, zgaszenie świateł, melodia, i wieprzowatość usilna w ślad za duchem twarzy młodzieńczej oddała się w niebyt, i zajadła pryncypialność tej małej, i zmarszczka dyrektorska, i różne moje

małostkowe i nie małostkowe emocje, bo w dwudziestej minucie spektaklu, więc jednak ?

Kłopoty z kompozycją, to znaczy z czasem. Ten, który noszę w sobie, nie jest wstępowaniem ani zstępowaniem, nie jest żadnym rodzajem linii, prostej bądź krętej, nie umiem go odtworzyć posuwając się od wydarzenia do wydarzenia, ode mnie takiego do mnie innego. Może raczej jest zbiorem ruchomym, którego fragmenty nieustannie przemieszczają się względem siebie, zachodzą na siebie, niekiedy giną bez śladu lub wyłaniają się tuż pod powierzchnią tego, co jest mną dzisiaj, dobijają się, pęcznieją, znów opadają na dół. W zbiorze tym wszystkie miejsca mogą sąsiadować ze sobą, i każdy „ja”, dziecko, młodzieniec, mężczyzna, jestem sobie równy, tak w chwili, gdy to piszę, najbliższy powierzchni jest mały chłopiec, dziesięcioletni może, w późnojesiennym, prawie zimowym ogrodzie, w jego głuchym kącie, za czarnym rozczapierzeniem bezlistnych drzew, na ścieżce wzdłuż omszałego parkanu. Ten chłopiec nachyla się naraz i rozsznurowuje buciki, zrzuca obydwa, potem zdejmując pończochy i bosymi stopami dotyka ziemi, i rusza ścieżką wilgotną przed siebie, dlaczego to czyni? tego nie wie sam ani nie wie dorosły spotykający go w czasie, w postępkach chłopca nie ma celu ani zamiaru, jest tylko dziwny dreszcz, rozkosz tajemnicza, może nieokreślone przeczucie czegoś budzącego się w nierozwiniętym ciele, nade wszystko jednak rozkosz nienazwana i ukradkowa. I od tego chłopca nie prowadzą żadne drogi, które można wymierzyć i przejść po kolei, on po prostu jest, tuż obok, na wyciągnięcie ręki, gdy zaś odepchnę go, aby zrobić miejsce dla innych, zacznie krążyć, wraz z drzewami gołymi, popołudniem późnojesiennym, ścieżką wilgotną, to dalej, to bliżej, w bezgranicznym zbiorniku czasu, marszrutami przypadkowych skojarzeń i błysków pamięci, by powrócić kiedyś w pobliże mnie, jaki będę, lub nie wrócić już nigdy. Kompozycja jest niemożliwa, bo nie umiem powściągnąć czasu, który tłucze się we mnie, i jedynie, co mogę, to starać się nie uronić jego rozprysków.

Wiesz, co mnie zafascynowało? Twój rytm.

A ja się ciebie bałam, siedziałeś w pierwszym rzędzie, taki zły. Myślałam — ale się nudzi i męczy.

Podoba mi się, że masz dobry apetyt i lubisz piwo. I że nie malujesz ust.

Gdybym malowała, byłyby wyzywające.

I tak są wyzywające. Dlaczego nazywają ciebie harcerką?

Przychodzili po przedstawieniu i gadali, gadali, gadali. Ciągłe te kawały z warszawskiej szkoły, o Kreczmarze, o Hanuszkiewicz. A mnie to nie bawiło i spać mi się chciało. Obrażali się: możemy wcale nie przychodzić. To nie. Dość mam domu akademickiego. W Krakowie uciekałam do kościoła. Tu dostałam nareszcie własny pokój.

Podoba mi się, że jesteś tak cudownie normalna. Nie w sensie: powszednia.

Mieszcząńska.

Nie, nie to. Zdrowa. Nie zachłyśnięta tą samobójczą pianą artystowską. Nie odarta z instynktu samozachowawczego.

Ja nie wiem, czy to dobrze. Trudno mi siebie zaakceptować. Czasem niecierpliwi mnie własna cierpliwość i myślę, że może lepiej tak się szamotać jak oni. Czasem czuję się stara.

Mogłabyś być koleżanką mojej córki.

Ile ona ma lat?

Siedemnaście. Sprawia mi masę kłopotów. Czy ty też sprawiałaś rodzicom masę kłopotów?

Na mnie mieli sposób, wiesz? Od dzieciństwa chciałam być aktorką. Kiedyś mama zostawiła mnie w poczekalni dworcowej i poszła po bilety, a ja urządziłam całe przedstawienie, tańczyłam, śpiewałam, tłum się zebrał. Miałam chyba z osiem lat. Więc ile razy chcieli czegoś ode mnie — żebym myła zęby albo uczyła się muzyki — zaczynali: skoro zamierzasz zostać aktorką... I wystarczyło.

Grażyna także chce być aktorką. Ale nic z tego nie wynika.

To znaczy, że ona tylko tak, bo gdyby naprawdę. A ty — zawsze chciałaś być pisarzem?

Zawsze chciałam żyć więcej niż jednym życiem. Na tym to chyba polega — na możliwościach wcielen, na wariantach. Zresztą aktorstwo też. To bardzo podobne zajęcia, prawda? I jeszcze kwestia rytmu, w którym się żyje. Kiedy mówiłam, że zafascynował mnie twój rytm, nie miałem na myśli tylko tego jak tańczysz czy mówisz wiersze.

Ja to zrozumiałam.

Jesteś inteligentna.

Jak na aktorkę?

W ogóle.

Przyjemnie mi, że tak uważasz.

Podajrzewam, że dużo wyniosłaś z domu. Jaki właściwie był twój dom?

Wiesz, tam zawsze o coś chodziło. Ojciec jest nauczycielem,



starym socjalistą. No, nie taki stary, ale wygląda. Użerał się o różne rzeczy. A mama wygląda młodo. Bo ja wiem, jacy są? Dla mnie dobrzy.

Ty też do czegoś należysz?

Nie, ja nigdy. Ja jestem katoliczką.

Jak to się stało? Na przekór?

Po prostu poczułam kiedyś, że istnieje Bóg. Nie umiem inaczej myśleć. Ty chyba nie wierzysz?

Chyba nie.

Jak miałam zdawać do szkoły, modliłam się całą noc. Rano przyszłam i przestraszyłam się: wszystkie kandydatki takie ładne, ubrane, prawdziwe aktorki, a ja — uczennica, atramentowa, na płaskim obcasie. Stary Fulde aż się uśmiechnął na mój widok.

Ja też się uśmiecham na twój widok.

On się uśmiechnął z rozbawieniem.

A ja, bo się tobą cieszę.

Słuchaj, stańmy na chwilę, jesteś zdyszany!

Jak to starszy pan, którego lekkomyślna dziewczyna prowadzi po jakichś wertepach.

Nieprawda, ty jesteś młody, przecież widzę, dużo młodszy od moich rówieśników. Po prostu ta góra jest cholernie stroma. Ale ładnie tutaj, prawda? Chciałam, żebyś to zobaczył. Lubisz chodzić po zeschniętych liściach?

Tak, ale zawsze mi to coś przypomina.

Coś smutnego?

Nie potrafię ci tego opowiedzieć. Widzisz, trochę mi jednak przeszkadza to twoje smarkaczostwo. Są rzeczy, których nie śmiem ci opowiedzieć, bo będą zupełnie obce i przez to ja też stanę się obcy.

Chciałabym, żebyś opowiedział.

Może kiedyś.

Jak wolisz.

Teraz zbiegnijmy, chcesz? Daj mi rękę.

Wcale się ciebie nie boję i nie jesteś obcy. Chciałam do ciebie podejść już przedtem, ale wstydziłam się, bo głupio jakoś, ni stąd ni zowąd aktoreczka narzuca się z hołdem.

Więc ja podszedłem do ciebie i bezwstydnie narzuciłem się z hołdem.

Nie, najpierw myśmy wciągnęły ciebie na scenę i oddałyśmy kwiaty.

To było rzeczywiście niemądre.

Posłuchajmy muzyki, dobrze? Mam niezłe płyty. Lubisz Charlie Parkera?



Nastaw.

Lubisz go?

Jeszcze się nie domyśliłaś? Ja nim jestem.

Jesteś — kim?

To ja jestem Charlie Parkerem.

Och Boże.

Czy ja się zabijam czy zabijam to czarne wijące się chłodne  
co z głębi wyciągam z głębi mojego wargami spuchniętymi war-  
gami językiem nabrzmiętym podniebieniem krtanią wyciągam  
wciągam z głębi w głąb mojego mnie saksofonu och

Dwie kobiety i wrzód żołądka

Duża dobra czarna dziewczyna

Możliwe że ją kochałem zmusiłem żeby odeszła

Mała zwinna czarna dziewczyna przyszła i została ze mną  
możliwe że ją kochałem ona nie płacze tylko mówi Charlie no  
Charlie po co

Czy pamiętacie Kansas City jego kościoły i dzwony i jak  
ten gość dał mi białego proszku i anielskie skrzydła zabłysły  
nade mną mieszkalem w domu rodziców pod poduszkę kładłem  
saksofon i Pan Bóg grał na nim rajską suitę co za dźwięki nikt  
z was ich nie rozumiał

Bo myślałem że teraz łatwiej wydobędę to z siebie całkiem  
inne niż wszyscy prawdziwe święte słuchajcie posłuchajcie och  
tak tak tak jakbym brał kobietę głęboko ostro coraz szybciej i  
spazm i błysk

Dlaczego śmiejecie się

Nie słyszycie

Wstań Charlie wstań

Nie wstanę

Charlie nie klęcz przed stolikiem usiądź z nami napij się  
whisky

Ona umarła

Usiądź z nami to my twoi przyjaciele

Moja mała córeczka

Charlie przecież wierzysz w Boga ty musisz żyć

Tak

No tak

Napij się

Pójdę do domu

To czarne chłodne

Jak króliki z cylindra asy z rękawa zawrót głowy zaraz złapią  
i krzykną szuler

Nie

Korkociągami języka boleśnie żmudnie to ciężkie ociągające się mnie wciągające w ciemność ciasto wir czarny jak się utrzymać na nogach zaraz runę lecz oni klaszczą

Charlie to było genialne

A pamiętacie te garaże zimne pachnące smarami nocowałem w nich nie miałem na hotel potem nagrałem to świństwo zapłócili mi i podpaliłem hotel wybiegłem nagi.

Impresario opłacił szpital wróciłem nie wpuszczono mnie do klubu ta duża dobra dziewczyna wzięła mnie ze sobą zamieszkaliśmy razem

Czemu jesteś tak daleko zapytałem

Jestem tu

Jesteś daleko

Rozpłakała się

Już nie chciałem białego proszku teraz piłem żeby nie brać białego proszku

Zabijasz się Charlie

Co to was obchodzi

Gramy

No gramy do cholery czy nie

Ach tak wy nie umiecie ze mną grać oni nie umieją ze mną grać hej ludzie słuchajcie oni nie umieją grać może są chorzy bo ja wiem ale tu stoję przed wami ja Charlie nie poznajecie mnie ja Charlie przecież mówię wyraźnie do mikrofonu Charlie Charlie Charlie

No dobra nie to nie

Lubię cię bo nie płaczesz ale jesteś daleko

Charlie po co

Nie przejmuj się lubię ciebie

Urodziłam ci dwoje dzieci

Bądź przez chwilę cicho posłuchaj nie nie słyszysz naprawdę nie

Czy ja się zabijam czy zabijam to gęste grząskie czego pragnę czego nie umiem osiąść wpijam się w to wargami płucami sercem całym sobą mściwie wysysam tempo tempo najwspanialszy saks-alt epoki zaraz to już blisko czyżbym tym razem

Brawo

No powiedz coś Charlie

Oni tak się lubią wypowiadać

Oni sami czy faceci od reklamy ich impresariów każąc na chwilę wypluć trombon czy puzon wkładają im w usta te zgrabne

Jeden czarny dureń namaszczony powiedział kocham jazz tę muzykę ludzi szczęśliwych

Tak ciepło się robi na sercu powiedział gdy gram

Lód

Lodowa lawina

Oddechem nuty zamrażam coraz szybsze szpilki lodowe  
szesnastki trzydziestkidwójki sześćdziesiątkiczwórki z saksofonu  
polarnej ryby wypadają jak ikra rośnie z nich długi wijący się  
biały sopel ostry sopel wrasta wam w serce

Wreszcie coś czego nie mogą ukraść i sprzedać

To was nie bawi

Kulicie się z zimna drżycie cofacie się

Och złapali

I to też złapali szczękając rozpiłowują dzielą próbują

A ja

A ja

Dość Charlie

Idź popatrzeć na telewizję pośmiejesz się trochę

Idę

Śmieję się

Nie mogę przestać

Padam

Leżę na stole sekeyjnym wyjmują ze mnie jelita synkopy  
smutek chłodny błysk żółtymi gumowymi rękami wyjmują dwu-  
nastnicę żołądek blues biała lampa z góry sześćdziesiąt lat orze-  
kają i wyjmują rozkładają wątrobę heroinę alkohol rytm śmierć  
którą nosiłem w sobie trzydzieści cztery lata i leżę wypatros-  
zony milczący w środku

Patrzcie panowie tam nic nie było

Chce mi się śmiać

Po wieczorze autorskim w klubie prasy (wciąż w tym pu-  
stym i wietrznym mieście), kiedy ubierałem się w szatni, docie-  
kając z wysiłkiem, czego mi od pewnej chwili zabrakło, prze-  
pchał się do mnie starszy jegomość w garniturze z szerokimi  
klapami, wyglądał na zmartwionego, prosił pana, powiedział,  
chciałbym zapytać, zatrzymałem się więc z jednym ramieniem  
w rękawie płaszcza, tak, proszę?

Na zakończenie przeczytałem tam „Zagładę gatunków”, nie  
miałem właściwie zamiaru, wybierałem teksty łatwiejsze, pu-  
bliczność nie sprawiała wrażenia zbyt wytrawnej, ale słuchała  
z dobrą wolą, i naraz zdecydowałem się, bo poczułem, że bez  
tego wiersza spotkanie będzie wymijające, niejedno moje spot-  
kanie bywa wymijające, lecz właśnie dziś, przeczytałem zatem  
wiersz, który powstał prawie dwa lata temu, bez związku, natu-  
ralnie, z wszystkim, co teraz mogło wydobyc go ze mnie, powstał

z inspiracji literackiej, w każdym razie pamiętam dokładnie swoją ówczesną lekturę, była nią praca Antoniny Leńkowej „Oskalspowana ziemia”, opowiadająca o wyniszczeniu rozmaitych gatunków zwierząt i roślin, uczona autorka oskarżała cywilizację, lecz mnie się zdawało, że dramat rozgrywa się w scenerii głębszej i trwalszej niż stworzona przez działalność techniczną człowieka, i że jest on jednorodny z dramatami sam gatunek ludzki miewającymi za przedmiot. W owych tygodniach, gdziekolwiek obróciłem wzrok, zdawało mi się, że widzę rozpadlinę, w której pograżają się milcząco czworonogie i dwunogie gromady, brzegi rozpadliny zrastały się błyskawicznie i na rozległej równinie pojawiały się nowe gromady, zacząłem wreszcie, wyliczałem fakty podane przez Leńkową i kazałem im sąsiadować z innymi, nie chciałem wychodzić poza fakty, a jednocześnie chciałem, żeby wiersz znaczył więcej niż ich katalog, to „więcej” zaś, które czułem, lecz nie umiałem wysłowić, a może bałem się wysłowić, żeby wysłowione nie zmieniło się w „mniej” i „łatwiej”, otóż to „więcej” miało samo, bez pośrednictwa słów, przenieść się ze mnie w pole wiersza, wypełnić czerń jego znaków i biel pomiędzy znakami, niestety, autor nigdy nie wie, czy to się stało — odczytując własny utwór jest przecież obecny całym sobą i nie wie, co tkwi tylko w nim, a co w tekście.

Kiedy teraz, w klubie prasy, skończyłem czytać „Zagładę gatunków”, zapadła niezdecydowana cisza, niezdecydowanie dotyczyło, być może, kwestii, czy to już koniec, zebrałem papiery, zamknąłem teczkę, wtedy zaczęli klaskać, oklaski trwały dość długo, a ja w popłochu myślałem, czego mi brak, i nie mogłem sobie przypomnieć. Proszę pana, powiedział zmartwiony mężczyzna w garniturze z szerokimi klapami, ta poezja współczesna jest strasznie trudna, czy ja dobrze zrozumiałem, że to było, tu zawahał się szukając w pamięci znajomego z gazet terminu, o dyskryminacji rasowej, dokończył z ulgą. Ogarnęło mnie zakłopotanie, wadziłem się z przyrodą jak wadziłbym się może z Opatrznością, gdybym dawno nie stracił wiary, przytłaczała mnie zrastająca się z przyrodą historia, cóż miałem mu odpowiedzieć, szukać bliżej i może miał rację, choć mnie użyte przez niego słowa wydawały się bez siły i nadziei kuśtykać za ginącą w oddali treścią, cóż mi jednak pozostało, no tak, zawahałem się, można i tak, dziękuję panu, tak właśnie myślałem, odsapnął. Wyszedłem na ulicę, wiatr pchał mnie w pierś i uświadomiłem sobie, że od jakiegoś czasu zabrakło w niej bólu, zaczerpnąłem tchu i zmagając się z wiatrem podążyłem na przełaj przez kamienny plac, dalej park szumiący ciemnością, w stronę patetycznej bryły teatru.

Tamte suche liście chrzęszczące pod nogami były z dwóch różnych miast, w których żegnałem jakiegoś siebie oraz ludzi jakiemuś mnie przypisanych, nie przestałem kochać tych miast, chociaż pierwsze z nich przestało mi się śnić od czasu, gdy długo po opuszczeniu na zawsze wysiadłem w nim na parę godzin z pociągu w trakcie pewnej podróży, przedtem śniło mi się noc w noc przez dziesięć lat prawie, a drugie miasto, znacznie później poznane, nie śniło mi się nigdy, chyba nie umiałem już nauczyć się nowych snów, a więc wysiadłem z pociągu w mieście, w którym nie było nikogo, czyje rysy potrafiłbym jeszcze rozpoznać, tylko ten jeden z trzech przyjaciół dzieciństwa, nie pisywaliśmy do siebie listów, ostatni raz widziałem jak pochylał niby szybkobiegacz ciało do przodu opierając się ciągnącemu w tył plecakowi, z dziecinną twarzą, dumną i zakłopotaną zarazem, w niedopasowanej, zjeżdżającej na czoło furazerce, na jezdnię z obu stron opadały żółte i brunatne liście, nagła komenda szarpnęła tłumem mężczyzn, kroki ich zabrzmiały miękko jak w lesie, jeszcze przez мгновение widziałem napięty uśmiech przyjaciela, a później minął mnie i stał się jednym z żołnierzy, pod dźwięki marsza niewprawnie wyrównujących szeregi. Wszystko działo się tu, na niewielkiej przestrzeni, ulica, którą odeszli zmobilizowani na wojnę, przylegała do parku, przez który wiodła droga do szkoły, powtarzałem ją teraz, gdy wysiadłem z pociągu, zajrzałem do szkoły, ogłuszył mnie gwar i tupot na korytarzu, była duża przerwa, jakiś szczeniak z hawurą zaciągał się papierosem, schował go na mój widok, myśmy kupowali papierosy w sklepiku po drugiej stronie, w ten róg trafiła bomba, skręciłem, minąłem dawny zbór ewangelicki, zamieniony na skład beczek, i znalazłem się na ulicy mojego przyjaciela, krzywe płoty i furtki, zielone okiennice, czy mieszka jeszcze w tym drewnianym domku, czy mnie pozna, czy ja go poznam, może się zestarzał, jest tylko o rok starszy ode mnie, ostatni rocznik, który wzięli na dogorywającą już wojnę, otworzyła mi nieznajoma kobieta, przepraszam, powiedziałem, czy tutaj mieszka, pan pyta o, właściwie o syna, przecież jego zabili na wojnie, przepraszam, pan nie wiedział, zawróciłem od furtki i depcąc osypujące się liście poszedłem na dworzec.

Z listu Borysa Pasternaka do Jacqueline de Proyart (lipiec 1959): „... Życie zawsze jest sobie wierne. W łonie wielkich miast współczesnych znajdujemy je tak samo pełnym odkryć i niebezpieczeństw jak w lesie... Aktorami tego życia są: Bóg, kobieta, przyroda, powołanie, śmierć... Oto prawdziwi bliscy



uczestnicy, przyjaciele i rozmówcy. Wyczerpują oni wszystko, co ma znaczenie.”

Znamy się już dwadzieścia osiem godzin.

Ja ciebie od chwili, kiedy mówiłaś monolog Aktorki: „Co dzień zabijać siebie karierą, pieniędzmi, łóżkiem — nie ma ratunku! Cóż nam po późnych wnuków szacunku! Trzeba podobać się reżyserom!”

Nie wiedziałam, jak mam ten wiersz powiedzieć, to było zbyt prawdziwe, nie, nie tak, jak sobie teraz pomyślałaś, ja nie żyję w ten sposób!

Wcale nie pomyślałam.

Ale to jest prawdziwe i dlatego musiałam włożyć ten monolog w usta stworzenia, które nie potrafi się już wyzwolić ze swoich gierek, nawet mówiąc prawdę o własnym życiu.

Na próbie generalnej zaszokowało mnie takie ujęcie, a na premierze poczułam, że nie można inaczej. I wtedy właśnie to się stało.

Wtedy — zauważyłaś mnie?

Wtedy przestałam widzieć i słyszeć całą resztę. Rozumiesz? Wszyscy zrobili się szarzy i ktoś jeden tylko w kolorach. Płaskie tło i ktoś jeden trójwymiarowy. Wszyscy niemo poruszający wargami i jeden głos.

To cudowne, co mówisz, ale ja się boję.

Przecież nie będzie nic czego nie chcesz.

Drogi mój, kiedy ja chcę, żeby wszystko było, a boję się, że będzie nie wszystko, niepełne, takie, no wiesz.

Boisz się, że ja.

Nie, że ja. Bo ja, wiesz. Ty miałeś na pewno dużo kobiet.

Tak sobie.

A ja miałam, mam, jednego mężczyznę. On jest dużo starszy ode mnie.

Jak ja. Gdzie on jest?

Nie ma go tutaj. Rzadko się spotykamy. On ma, no, zobowiązania. To się ciągnie już trzeci rok, jeszcze ze szkoły.

On jest reżyserem?

Nie, nie pytaj mnie, kim on jest, nie reżyserem, nie z teatrem, przecież ja, w twoim pytaniu było coś takiego.

Przepraszam cię.

Gdybym chciała w ten sposób.

Nie musisz w ten sposób.

Wiesz, miałam grać w filmie, to znaczy miałam jechać na próbne zdjęcia, ale koleżanki zadzwoniły z Łodzi, że reżyser

kazał mi nie przyjeżdżać, bo nie ma czasu, ucieszyłam się nawet, jestem straszna tremiara, potem okazało się, że na mnie czekał.

Dlaczego to zrobiły?

Tłumaczyły się, że to był żart, a ja go wzięłam na serio. Wszystko biorę na serio. Gniewasz się?

Nie.

Jesteś drugim mężczyzną, który. Gdyby nie tamten.

To ty mi wybacz. Nie chcę, żebyś się szamotała.

Nie chcę, żebyś teraz odchodził. Wierzysz mi?

Możemy się nawet umówić, że mnie będziesz oszukiwała na każdym kroku, a ja we wszystko uwierzę.

Wolę, żebyś mi wierzył odrobinę.

Nie miałem pojęcia, co odpowiedzieć słuchaczowi pytającemu o treść „Zagłady gatunków”, śpieszyłem się zresztą, może powinienem był ujawnić różnorakie źródła wiersza, te przynajmniej, które mnie samemu zdają się jawne, wieczór w Erywanii przed laty, park, lampiony na drzewach, taniec małej dziewczynki, w układzie swym i melodii radosny, a w poszczególnych gestach szczupłych ramion i spojrzaniach spod rzęs trzepotliwych — jakby bolesny, wylękły, lecz nie bólem i lękiem indywidualnym, przynależnym temu dziecku akurat, w tym parku, tego wieczoru, nie, bólem, nie nazwałem go tak wówczas, gatunkowym, lękiem odziedziczonym, wpisanym przez rodziców i rodziców rodziców w ciało noworodka i oto realizowanym bezwiednie przez małą tancerkę, ufającą zapewne, że samą radością darzy zgromadzonych pod lampionami, w końcu może i tak, może ja jeden, przejęty usłyszanymi tego dnia opowieściami o rzezi, w taki sposób odczytałem taniec dziewczynki, nie wiem, nazajutrz opuściłem Erywań, niebawem zaś napisałem wiersz „Oczy Metakse” i dałem go do druku, redaktor pogroził palcem, znów aluzje, czy nie dosyć tych rozrachunków, ależ nie! krzyknąłem, to Turcy! Turcy! wiersz się ukazał, nie był zbyt dobry, a milion wymordowanych Ormian zapadł w mój cmentarz. Popołudnie czerwcowe, dużo później, kiedy w podwarszawskim domu artystów kończyłem książkę, niechętnie odrywając się od maszyny i na posiłki jedynie schodząc do wspólnej jadalni, był to jeden ze zdarzających mi się okresów utraty tożsamości na rzecz bohatera, tym razem nie wyimaginowanego zresztą, na podstawie dokumentów odtwarzałem jego losy, coraz niespokojniej wplątując się w dramat i coraz niechybniej zmierzając ku samounicestwieniu na ostatniej stronie, z takiego to stanu wytrąciła mnie propozycja Starego Pisarza, bym wraz z nim i jego Panią wybrał się do pobliskiego miasteczka, wsiałem do rozklekota-

nego forda i potoczyliśmy się szosą ku Wiśle, między polami i ogrodami, ziemia tchnęła ciepłem i przychylnością dla rodzaju ludzkiego, niebo ogromniało nad nami przelewając się przez widnokrąg, bywałem tam przed wojną, powiedział odwracając się od kierownicy Stary Pisarz, zajmowała mnie kwestia żydowska, to była ich stolica, z cadykiem-cudotwórcą w lisiej czapie, z jego dworem, to był cały odrębny świat, wjechaliśmy w źle brukowaną ulicę, minęliśmy parę gmachów z czerwonej cegły i zaczęły się małe domki, pochylony człowiek zmiatał chodnik, Stary Pisarz zatrzymał auto i wdał się w rozmowę, widziałem ich, kiwał głową człowiek z miotłą, jak pana przed sobą widzę, co się z nimi stało, kto to wie, Niemcy wywieźli, spalili czy jak, a kto tutaj teraz mieszka, dopytywał się z auta Stary Pisarz, taki nietutejszy w swoim czarnym garniturze i muszce, ludzie mieszkają, burknął jego rozmówca i odwróciwszy się zaczął energiczniej zmiatać chodnik, spłoszyłeś go tym pytaniem, powiedziała Pani, kiedy ford toczył się z powrotem po kocich łbach obok domów z czerwonej cegły, wyobraził sobie, powiedziałem śmiejąc się, że przyjechał pan z Ameryki po spadek, teraz jechaliśmy wolniej, pod górę, wysiedliśmy koło rozchylnych wrót, była to jakby łąka porośnięta dzikimi trawami, pusta, dziwnie pomarszczona, gdzieniegdzie tylko wyzierały z ziemi wrosnięte w nią płasko tablice, pokryte zatartym pismem, to był cmentarz, powiedziała pani Zofia i zmrzyła oczy jakby raziło ją słońce, wracaliśmy do domu twórczości i słyszałem, jak za naszymi plecami pośpieszne łodygi traw przerastają szczytki cmentarza, i pilno mi było do pojedynczego dramatu mojego bohatera, do zagłady nie gatunkowej, lecz wieńczącej los poszczególne, do klęski nie w przyrodzie, lecz w biografii, w parę tygodni później skończyłem książkę i, unicestwiwszy się na ostatniej stronie, ocalony na jej białym odwrocie, wyjechałem nad morze. Rozpadlina zaś wciągająca — to jeszcze później, inny rok, odrętwienie zimowe, prace ulotne, chaotyczne lektury, od niechcenia podejmowane (a wśród nich — rozprawa Leńkowej), i zniecka — właśnie ta rozpadlina, pogrążanie się w niej bezgłośnie gromad ludzi i zwierząt, i zwieranie się brzegów, i nowe gromady nad brzegami znów rozwartymi, ale nie rozpadlina ziejąca tak mnie prześladowała, jak zamknięta, na czas jakiś syta ofiary, jej powierzchnia zielenią świeżą porośnięta, tumultem życia, pełna blasku, wibracji, miłości, śpiewu, rozrodzona ponownie i szczelna, bez ubytku jawnego, bez cmentarza, bez szramy, o zbawienne prawo przyrody! więc ku chwale jego ująłem pióro? wiersz posuwał się z trudem, nie chciałem krzyknąć, chciałem słowem zaszcześcić spokój, może szczyptę ironii,

tym jednym odcinając się od przyrody, która nie zna ironii, chciałem, żyjący jak wszyscy prawem zapomnienia, wiersz nasyć pamięcią szerszą niż pamięć jednostki czy grupy, pamięcią wszystkiego żywego, tak powstał wiersz, który usiłował zrozumieć na wieczorze autorskim tamten mężczyzna i którego nie zdołałem mu wytłumaczyć, jeszcze w trakcie czytania ogarnięty pośpiechem i roztargnieniem, i zanadto wsłuchany w to, co mnie opuszczało.

Pociąg zarzucił narowicie, pamięć, zastanowiła się Krystyna, mam dobrą pamięć, nie dręczy mnie bez potrzeby, tak, pana pamiętam, takie piskłę w okularach przycupnięte pod ścianą, aniby się kto był spodziewał.

Okulary włożyłem w dziesięć lat później, a wtedy starczyło mi dla niej oczu.

Seminarium ciągnęło się od miesięcy, pod przewodem profesora dziobaliśmy Słowackiego i szlachetność jego duszy wprawiała nas wciąż w osłupienie, kiedy Krystyna po raz pierwszy podniosła się z miejsca i mówiąc o poemacie „Anhelli” zniżyła głos przy wyrazie: Sybir.

Nie siedziałem pod ścianą, krzesła były ustawione w półkole, a mnie przypadło takie miejsce, że bez ustanku mogłem patrzeć na nogi Krystyny, które wabiły mnie, choć smukłość ich nie była nieskazitelna, z rzadka podnosiłem też oczy na jej jasną twarz, jedyną tutaj mającą coś nieokreślenie wspólnego z naszym romantycznym tematem, ale ona nie widziała mnie, jak zresztą nikogo na sali, więc onieśmielony opuszczałem oczy na jej nogi, które nie mogły mi stawiać oporu, były wydane na łup moich spojrzeń, korzystałem tak z ich bezbronności do samych wakacji, ostatnie zebrania seminarium przypadły na upalny w tym roku czerwiec i wszystkie inne dziewczęta obnażyły już nogi, intrygowało mnie, że Krystyna uparcie chodzi w pończochach, przypisywałem to jej wstydlivości, po wakacjach zaś odszedłem z wydziału.

Były po prostu odmrożone, zaśmiała się, kiedy ją spotkałem po latach, czerwono-sine, nie sprawiłyby panu przyjemności ten widok, po czym, dając do zrozumienia, że czuła wtedy mój wzrok i że nie był jej wcale niemiły, napomknęła o tych okularach, próbowałem prostować, lecz teraz, kiedy ponownie spotkana w pociągu powtórzyła to samo, nie protestowałem więcej, słuchałem jej zresztą nieuważnie, myślałem przecież o kim innym, niepodobnym do niej dawnej, a tym bardziej do niej obecnej, tak była teraz, kiedy przesiadłszy się na niewielkiej stacji z pociągu lokalnego na dalekobieżny znienna znalazłem



się z nią sam na sam w przedziale pierwszej klasy, było to nasze drugie spotkanie od czasów studenckich, pierwsze zaś przyprawiło mnie o pewne wzruszenie, byłem lekko pijany, ona też, działo się to w trakcie tego samego bankietu, kiedy uciekłem od mówiącego do mnie per ty Siedleckiego.

Podszedłem do stojącej samotnie pod kandelabrem, była nadal ładna, choć już nie tą uduchowioną urodą, co niegdyś, pełniejsza, bardziej kobieca, w efektownym uczesaniu i toalecie, nie zaskoczyło mnie spotkanie jej tutaj, wiedziałem, że jeszcze przed końcem studiów małżeństwo przeistoczyło ją w wytworną partyjną damę, ona też powitała mnie bez zdziwienia i poprosiła, żebym napełnił kieliszki, powiedziałem o tej wstydlivości, zaśmiała się, po prostu odmrożone, potem piliśmy dalej, tańczyliśmy, była rozmowna, w pewnej chwili otarliśmy się o jej męża-dygnitarza, przyciskał do ściany drobne stworzenie, fotoreporterkę, rozpaczliwie chroniącą przed upadkiem swój aparat z lampą błyskową. Krystyna pogardliwie wyduła wargi, kompleks donżuana, rzuciła, a w łóżku myśli o swoich intrygach i ma za złe partnerce, przyszło mi do głowy, że mógłbym zostać jej kochankiem, i wzruszenie minęło.

Wracając z premiery mojego okaleczonego widowiska, na wezbranej piwem stacyjce przesiadłem się z pociągu lokalnego na dalekobieżny, który przystawał tu za ledwie na chwilę, było dobrze po północy i podróżni pozamykali się w ciemnych przedziałach, dopiero trzeci z rzędu był otwarty i jasny, Krystyna podniosła wzrok znad książki, dobry wieczór, powiedziałem, poznaje mnie pani, i zaczęła się ta rozmowa, nie wiem dlaczego padło słowo „pamięć”, chyba to ja powiedziałem, w jakimś obojętnie grzecznym kontekście, ma pani dobrą pamięć czy coś w tym rodzaju, mam dobrą pamięć, potwierdziła z namysłem, nie dręczy mnie bez potrzeby, nie zrozumiałem tego sformułowania, zaraz zresztą zmyliła trop wspominając chłopca w okularach, jaki nigdy nie istniał, a ja słuchałem jej nieuważnie, jeszcze nieobecny w pociągu unoszącym mnie do Warszawy, jeszcze wciąż pomiędzy zgaszeniem a rozbłyśnięciem światła w teatrze.

Pan nie słucha, ocknąłem się, owszem, słucham, niech pan zgasi, łatwiej mi opowiadać po ciemku.

Zgubiłem początek i teraz byliśmy już daleko, tam gdzie prawie od razu umarła od mroźnego wiatru jej babka, a matka po jakimś czasie, z głodu, i gdzie dwoje bliźniaków, dziewczynka i chłopiec, pracowicie obtykało śniegiem izdebkę, żeby zatrzymać w środku choć odrobinę ciepła, lecz nie o to chodziło w opowiadaniu, nie tylko działo się daleko, było również dalekie



opowiadającej, zmierzała do czegoś innego, poruszonego słowem „pamięć”, chodziło o ojca, którego wzięto zanim wywieziono rodzinę i nigdy go już nie ujrzała, o nim musiała mówić kiedy nie słuchałem i teraz z reszty historii domyśliłem się dopiero początku.

Niedawno zadzwonił ktoś do mnie, podjęła po chwili milczenia, nieznajomy, upewnił się, że to ja, i zaproponował spotkanie, mówił, że wrócił stamtąd z wieloletnim opóźnieniem, szukał mnie, nie mógł odnaleźć, bo noszę nazwisko męża, ma mi coś ważnego do powiedzenia, umówiłam się z nim, tu znowu zamilkła.

Opowiedział pani o ojcu.

On był z nim razem tam, był przy jego śmierci, to było straszne, opowiedział mi dokładnie, kilka razy powtórzył, dokładnie, żebym wiedziała.

Jak to było, zapytałem, sądząc, że czeka na moje pytanie.

Milczała, pociąg łomotał i szarpał na złączach, noc pędząca za oknem stroszyła ogony z iskier, nie ponowiłem pytania, jak przedtem zapadłem w siebie i drgnąłem, kiedy się odezwała.

Nie pamiętam.

Pomyślałem, że źle ją zrozumiałem, zdawało mi się, że rozmowa z przybyszem stamtąd miała miejsce niedawno, widocznie myliłem się, odczuła moje wahanie i powiedziała: to było latem.

I pani już nie pamięta?

Zapomniałam natychmiast kiedy go pożegnałem. Pan mi nie wierzy? Nie starałam się zapomnieć, naprawdę zapomniałam. Wiem, że to było straszne, ale nic więcej nie wiem, to było zbyt straszne, żebym potrafiła pamiętać, wyszłam na ulicę i od razu wytworzyła się we mnie taka pustka, wróciłam do domu, chciałam opowiedzieć mężowi i nie mogłam sobie przypomnieć. Początkowo wstydiłam się, a potem zrozumiałam, że moja pamięć zlitowała się nade mną, i jestem jej za to wdzięczna.

Okno niebieszczało powoli, z półmroku wyłaniała się spokojna twarz Krystyny z opuszczonymi powiekami, i ja także zamknąłem oczy. Obudziłem się od stuku otwieranych drzwi przedziału, puszyste futro mignęło w nich znikając na korytarzu, pociąg stał na Dworcu Głównym w Warszawie, ranek był słoneczny i rześki.

Do drugiego miasta, które rozbrzmiewa mi w uszach suchym chrzęstem opadłych liści, przyleciałem samolotem sanitarnym, skrzynki z lekarstwami i surowicą wypełniły nie cały kadłub i zmieściło się jeszcze nas kilku, znowu była wojna, lecz

niewielka, jedna z mnóstwa niewielkich wojen, w jakie obfitują czasy pokoju, niektóre nazwano brudnymi, ta nie miała nazwy i trwała krótko, my zaś nie uczestniczyliśmy w niej, byliśmy zaledwie sprawozdawcami, spełnialiśmy jak się dało obowiązki dziennikarski, nie znaczy to, że nie byliśmy po niczyjej stronie, to mieszkańcom tego miasta życzyliśmy niemożliwego triumfu i zarażeni ich gorączką wyglądaliśmy go wbrew wszystkiemu, może zresztą gorączkę tę przywieźliśmy już ze sobą, lecz tu zatargała nami gwałtowniej, to nie były halucynacje, raczej wyostrenie zmysłów w pewnym kierunku i stopienie ich w innym, nie jestem pewien, czy dostrzegałem znamiona otaczającej mnie pory roku, a także pór dnia i nocy, aż w pewnej chwili nastąpił finał, miasto było w rękach zwycięzców, rozejrzałem się, stałem na pustej ulicy, wiatr sychnął garścią tłuczonego szkła, uderzyło o mur krótkim i suchym brzękiem, i zamilkło, jakby dławiąc się nagle, na miękkim łonie liści wyściełających chodniki, jesień, pomyślałem i powlokłem się wzdłuż domów, z których jeszcze nie zdarto jednych chorągwi, by wywiesić inne, może nie miał tego kto zrobić, domy wyglądały na opuszczone przez mieszkańców, szedłem długo machinalnie skręcając lub przechodząc na drugą stronę, aż dotarłem do sztachet żelaznych, misternie powyginanych, w głębi jesiennego ogrodu stał biały pawilon, pchnęłem furtkę, ustąpiła ze zgrzytem, i ledwie wszedłem w rdzawą alejkę wiodącą do ganku natknąłem się na Obróncę Miasta, z nisko opuszczoną głową szedł w przeciwną stronę, nie byłby mnie zauważył gdybym go nie złapał za ramię, nie chcieli mnie tu wpuścić, powiedział, nie przejmuj się, powiedziałem, są wystraszeni, co z tobą, jestem ranny, powiedział, trzymaliśmy gmach prasy, teraz zauważyłem, że płaszcz ma zarzucony na plecy, a rękawy luźno zwisają, to nie, powiedział, lekko, Ferenc dostał w brzuch, nie wyliże się z tego, a ja chciałem pożegnać ciebie i Hankę, ale mnie nie wpuścili, brodziliśmy w zwałach opadłych liści, co zamierzasz, zapytałem, ukryję się gdzieś, a potem spróbuję przejść granicę, no tak, wy pewnie wyjedziecie, pewnie, Hanki tu nie ma, chyba nie, i tak się to skończyło, tak, może się jeszcze kiedyś spotkamy, na pewno się spotkamy, świat jest mały, chodziliśmy alejką tam i z powrotem, grzęźliśmy w liściach, a z drzew bez przerwy opadały nowe, jesień obsypywała nas hojnie strzępiastymi płatami cynobru i ochry, muszę już iść, pocałowaliśmy się, znałem go tydzień zaledwie, świat okazał się większy niż chcieliśmy podejrzewać, jesień, pomyślałem, stojąc sam, oparty o mokre żelazne pręty, liście płynęły przed oczyma i z szelestem opadały na ziemię.

Żeby napisać tę książkę, muszę wcielić się w siebie samego, a to jest dużo trudniejsze niż wcielanie się w innych, jeżeli nie wręcz niemożliwe, bo w tym celu muszę przecież najpierw wyjść z siebie, zatrzymać się poza swoim obrębem, obejść własne granice, rozpoznać siebie zamkniętego, potem zaś otworzyć i wejść do środka, nie sama wreszcie operacja jest trudna, lecz jej treść, jak bowiem mogę ujrzeć siebie pełnego, kiedy mój los nie dopełnił się jeszcze, jak mogę przydać mu znaczenie, skoro uzyska je dopiero później, zamykając się ostatecznie, tego jednak nie dane mi będzie zaobserwować ni doznać, póki istnieję, skazany jestem na niewykończenie, cząstkowość, niepewność, jakże wcielić się w ten półfabrykat losu ludzkiego, we wcielaniu się w innych mam pewną wprawę, czyniłem to nieraz, mogę być każdym, który wspina się i schodzi po stopniach, który jest łukiem i strzałą, i obszarem ogarnionym, dokąd w dowolnej chwili mogę przenieść się i uciec także przed sobą, lecz w siebie?

Wydaje mi się że śnię pomyślałem znowu jak tyle razy w ostatnich tygodniach. Śnię pomyślał z niedowierzaniem zstępując po cementowych schodach

Zaraz obudzę się w siodle usłyszę przyjazne parskanie karego łydką napiętą dotknę jego boku będzie tańczył pode mną jednym ruchem nawet nie ruchem drgnieniem dłoni powściągnę jego zapały kopytami wrośnie w murawę

A może snem było tamto

Jak szedłem miedzą i słońce świeciło mi w oczy w alejce stał powozik siostry zbiegły z ganku jedliśmy konfitury i nowa nauczycielka muzyki zatrzymała wzrok na moich wargach naraz spłoniona odwróciła się zaczęła coś mówić Skriabin

Niewiele starsza ode mnie

Zawsze zwracały uwagę na moje usta

Jak prosiłem ojca żeby kupił mi skrzypce lecz zboże wciąż taniało i nie zostałem wirtuozem wszystko potoczyłoby się inaczej

Czy chciałem inaczej

Jak wprowadzili starego generała nie zdarli mu jeszcze złotych epoletów rozejrzał się od progu i zwrócił wyprostowany do jednego z nas rzuciłem jakieś pytanie nawet nie spojrzął proszę odpowiadać dowodzącemu myślałem wyjąkał speszony że to

Pędziliśmy ich przed sobą zachodziliśmy tyły szable furkotały w powietrzu topnieli jak bura gruda zbitego śniegu

Pamiętam innego sadowił się w saniach kosmatym futrem niedźwiedzim otulali mu nogi kiedy oddział jazdy wpadł do miasteczka stać czemu nie oddajecie honorów ekscelencjo pałasz

jak co więc wy a ja sądziłem przecież wy jesteście o sto wiorst  
stąd

To był mój przełożony z korpusu kadetów

O pięć kroków przężyłem się takt marsza wybijałem stopami wyrzucałem rękę w bok i do czoła

Wpatrywał się we mnie z dobrotliwym marsem na twarzy

Szlify podporucznika dostałem już podczas wojny

Jak przeprawialiśmy się z dwoma żołnierzami przez rzekę szeleściły szuwary pociski świetlne spinały niebo potem odwijając rąbek chmury wyrzwał księżyc i znów się cofnął

Za wysadzenie w powietrze mostu dali mi order

Matka pewnie płakała kiedy przyszła wiadomość że zaginałem

Teraz czy płacze

I ta kobieta gdy odchodziłem ta która znalazła mnie w stogu po czwartej ucieczce z obozu jeńców odezwałem się w jej języku uśmiechając się byłem zziębnięty i głodny spojrzała na moje wargi i nieśmiało uśmiechnęła się także podchodząc bliżej

Nazywała mnie Małym Łakomczuchem a ja ją Markietanką

Maria jeździła ze mną w wagonie sztabowym nocami czytałem książki które zabieraliśmy z rozgromionych dworów skąd brodaci chłopci wyciągali serwantki i fortepiany z graniem szkieł brzękiem strun staczały się po stopniach w ciemność rozświetloną trzepotem ognisk dalej na horyzoncie płonący step

U łacińskich francuskich niemieckich autorów szukałem zrozumienia historii która obca była dotychczasowym posiadaczom tych tomów w nadgryzionych przez myszy oprawach nigdy nie otwieranych aż pojąłem naraz że historia jest jak muzyka i trzeba się w nią wsłuchać i dać się unieść

O świcie stukali do wagonu telegrafiści brałem do rąk serpenty wijące się z dyrektywami centrali doniesieniami o nowych frontach alarmach drogach

Przemawialiśmy na dziedzińcach i placach ja przemawiałem z siodła mówiłem oto z krwi i zniszczenia wstaje nowy świat w którym Hurra donośne przetaczało się po szeregach i szli do ataku bosi zmobilizowałem cały okrąg do plecienia łapci unosząc się w strzemionach przemawiałem a za mną łopotał

Żaden z nas nie skończył trzydziestki a ja miałem dwadzieścia pięć

Maria miotała się w tyfusowej gorączce

Uklęknąłem przy niej płonącymi palcami przesunęła po moich wargach



Szwadron oddał salwę nad grobem dosiadłem konia i raptem  
Nigdy na nic nie chorowałem Nina była krucha jak pisklę  
drzałem o nią pytałem doktora wytrzyma wszystko normalnie  
odparł córka proszę spojrzeć na tę twarzyczkę to wy

Jak ogłosiłem werbunek oficerów starej służby przychodzili  
skupieni zamknięci w sobie przecie nikt nam nie zaufa a ja  
popatrzcie na mnie

Dowodziłem armią potem frontem jednym drugim i trzecim  
szczęściarz mówili o mnie aż poniosłem klęskę i cofaliśmy się  
w kurzu dróg znad nie bardzo szerokiej rzeki

To wtedy zetknąłem się z tym człowiekiem który mnie  
zniechęcił czy za dzieciństwo w dworku skrzypace przyjaciół  
hurra rozgłośne wojenne szczęście kobiety był na lewym skrzy-  
dle odmówił wsparcia historycy prawowali się potem kto z nas  
zawinił

Jak po latach dowodziłem manewrami większymi niż tamta  
wojna podjechali zziębnięci dłonie przy daszku moi starzy towa-  
rzysze uszczęśliwieni manewry udały się znakomicie uśmiech-  
nąłem się przyszła wojna będzie zupełnie inna

Co mieliście na myśli twierdząc że przyszła wojna będzie  
inna

Miałem na myśli technikę samoloty czołgi

Nie kręćcie przyznajcie się

Skąd wiecie jaka będzie przyszła wojna

Wasz spiszek

Spiszek

Uderzył mnie w twarz i wydało mi się że śnię

Byłem silny jako chłopiec jedną ręką podnosiłem krzesło  
na którym siedział brat

Wasz spiszek Spiszek Wasz Wasz Wasz Przyznajcie się Nie  
kręćcie Wasz zbrodniczy tchórzliwy spiszek

Jak postępowałem za trumną króla angielskiego chwiała się  
bermyce gwardzistów białych koni parskanie we wszystkich  
gazetach było moje zdjęcie młody marszałek przybyły w oficjal-  
nej delegacji zdumiał pogrążoną w żałobie stolicę swoją inteli-  
gencją i manierami

Ta lady wysmukła mój Boże przedstawiali was jako barba-  
ryńców niewiele brakowało a uwierzyłabym że zjadacie dzieci  
spojrzała na moje usta i zaśmiała się nerwowo

W naszej prasie publikowano sprawozdania z procesu

Oskarżony: P. przyszedł do mnie z prośbą od marszałka

Prokurator: W związku z czym wymieniliście nazwisko  
marszałka



Oskarżony: Marszałek nie miał pojęcia o przestępczej działalności mojej i P.

Prokurator: To znaczy że P. przyszedł do was z polecenia marszałka w sprawie nie mającej nic wspólnego z waszą przestępczą działalnością w której marszałek nie uczestniczył

Oskarżony: Marszałek nie miał z tym nic wspólnego

Prokurator: Czy dobrze was rozumiem że P. należał do waszego sprzysiężenia i że powołaliście się na marszałka w związku z tym że P. przyszedł do was z polecenia marszałka który nie uczestniczył w waszej działalności.

Oskarżony: Potwierdzam że nigdy nie miałem z marszałkiem żadnych spraw związanych z moimi przestępczymi działaniami ponieważ

Nina rozplakała się

Uspakajałem ją że przecież nic mi nie zarzucają

Ludzie przestali nas odwiedzać

W dniu święta narodowego pierwszy zająłem miejsce na trybunie

Przyszedł mój stary towarzysz także marszałek nie przywitał się i stanął po prawej stronie

Przyszedł trzeci marszałek i stanął po lewej

Nie nie mówiliśmy nie patrzeliśmy jeden na drugiego a kiedy defilada dobiegła końca rozeszliśmy się bez słowa

Nazajutrz otrzymałem nominację do prowincjonalnego okręgu wojskowego

Ten sen trwał już kilka tygodni i myślałem że czas się obudzić unieść w strzemionach zawołać

W drodze do hotelu podeszli do mnie i powiedzieli wasza broń

I znów usłyszałem akord zamilkłej od lat historii dziwiłem się że nie brzmi fałszywie szczęściarzu gdyby ojciec kupił mi skrzypce

Co było snem

Wydaje mi się że nie śnię pomyślał uparcie czepiają się tego wrażenia i zstępując w dół do piwnicy skąd wiadomo było że wyjdzie tylko tamten idący z tyłu nie kat po prostu urzędnik.

Mój ojciec umierał zwyczajnie, w łóżku, po wojnie i po wyjeździe z naszego miasta, był już chory, kiedy wyjeżdżaliśmy, i wiedział, że umrze niedługo, chyba się z tym pogodził, martwił się tylko o mnie, że jestem obcy, ta obcość wytworzyła się wcześniej i nie przeminęła do końca.

Teraz wracając umarł dawno ojcowie, nad biurkiem Franciszka zobaczyłem fotografię mężczyzny o Franciszkowym wy-

pukłym czole i przeszywającym spojrzeniu, nieznajomy był tylko zarost wokół podłużnej twarzy, także w pokoju Jana pojawił się na ścianie portret, w którym rozpoznałem jego z kolei wydatne rysy, ale obdarzone jakby większym uporem i wolą działania, i naraz uświadomiłem sobie, że umarli ojcowie moich przyjaciół stali się ich rówieśnikami, może dlatego teraz wracają, że rówieśnikom łatwiej o porozumienie, a mój ojciec ciągle jeszcze jest dużo starszy ode mnie i nie śmiem dać do powiększenia jego fotografii, bo nadal spoglądałby na mnie z dezaprobatą i nie umiałbym się usprawiedliwić.

To już nie był czas, gdy stawaliśmy naprzeciwko siebie ciężko dyszący z wzajemnej wrogości, ani nawet czas zaciętego milczenia, w tych ostatnich miesiącach szukaliśmy dróg do siebie, ja chwilami przynajmniej szukałem ich mimowiednie, on zaś czynił to bez ustanku, z gorączkową nadzieją, wyczerpującą się w miarę nadiągania tego, o czym wiedzieliśmy obaj, ja wiedząc zewnętrzną, nadwątloną przez chłopięcy brak wyobraźni, on głębokim rozrastającym się bólem, szukaliśmy zatem siebie w owych miesiącach, lecz daremność naszych prób była z dnia na dzień jawniejsza, to, co stało pomiędzy nami, nie mogło zostać przezwyciężone, bo przecież wtedy właśnie ustalałem się w sobie, w swojej skórze, i musiało się to dziać przeciw ojcu, nawet gdyby nie było oplątane szczególnymi wątkami czasu, intensywniej zabarwiającymi rozbieżność każdego ze znaczeń, jakie dostrzegaliśmy w życiu, do końca stała pomiędzy nami moja radość i jego smutek, aż do tego wieczora, kiedy późno przyjechałem z miasta, podniecony, a on wypatrywał po wszystkich kątach miejsca do swego bólu.

Dawno nie ma już ani tamtej radości, ani tamtego smutku, i z biegiem lat widzę go coraz wyraźniej, może nawet zaczynam rozumieć, ale wciąż nie potrafię przypuścić, że on mnie zrozumie, i czekam chwili, kiedy dojdziemy ze sobą do ładu, i on wróci do mnie, jak wrócili umarli ojcowie moich przyjaciół, umarli przedwcześnie i gwałtownie, zanim synowie stali się obcy, a mój ojciec umarł w łóżku i pamiętam każdą minutę jego umierania, byłem przy tym, bezsilny, nie umiejący poradzić na jego śmierć, ani na moje obce mu życie.

Rendez-vous z Joanną w barku Hotelu Europejskiego, jak zawsze ironiczna w stosunku do mnie, dawniej była to czuła ironia, potem czułości zabrakło.

Nieszczególnie wyglądasz, pewnie wdajesz się znowu w coś zasadniczego, a może jesteś zakochany?

Proszę cię, Joanno, mieliśmy porozmawiać o Grażynie.

O tej porze pustawo, zresztą nigdy tu nie ma tłoku, bar przeznaczony dla gości hotelowych, ale ci z dolarami ruszają w Polskę, dla kochanków z miasta za drogo, ludzie interesu wystrzegają się aparatury, pozostają rozwiedzione małżeństwa i samotni miłośnicy drogich napojów.

Więc dobrze, co to było przedwczoraj w nocy?

Muszę się zatem tłumaczyć jak Bóg wie z jakiego przestępstwa, że nie posłałem córki do diabła, kiedy zadzwoniła o pół do trzeciej nad ranem, bo nie miała na taksówkę żeby wyostać się z Saskiej Kępy, skruszony tatuś, mruży oczy Joanna, według niej mam kompleks z powodu rozbicia rodziny i opłacam się dziecku, no tak, skruszony tatuś o trzeciej nad ranem ubiera się, schodzi na dół i czeka na taksówkę, którą panna nadjedzie, skąd właściwie, czy zapytałeś chociaż, gdzie była?

W końcu do kogo miała się zwrócić, jak nie do ojca? Póki bierze ode mnie, nie weźmie od innych.

Od sąsiedniego stolika czyjeś spojrzenie, odwracam się, to Aleksander, witamy się skinieniem głowy, jego małpia, ruchliwa twarz ściągnięta jest dziwnym grymasem.

Chciałeś powiedzieć: od innych mężczyzn. Mylisz się — nauczona brać, będzie brała. Już mnie szantażowała, że wie, jak w razie czego zdobyć pieniądze.

Próbuję Grażyny bronić i, naturalnie, od razu popadam w sprzeczność, mówię, że jest dziecinna, oni wszyscy są dziecinniejsi niż my byliśmy w ich wieku, trzeba się z tym pogodzić, a po chwili, że dorosła, chce się bawić, ubierać, jak wszystkie dziewczęta, nie chce znać ograniczeń, Joanna przypatruje mi się z coraz większą drwiną, wreszcie wrusza ramionami, zapewniam cię, że jej nic nie brakuje, z tego, co otrzymuję od ciebie, nie wydaję grosza na własne potrzeby.

Jestem zmęczony i bezradny, na karku ciągle wzrok Aleksandra, dlaczego tutaj siedzi, sam i zjeżony.

Może byłoby lepiej, żeby zamieszkała ze mną, rzucam niepewnie.

I twój przykładowy tryb życia działałby cuda.

Mówię poważnie.

Jeżeli tęsknisz za obowiązkami rodzicielskimi, mógłbyś się zdobyć na jedno: żeby czasem czegoś od niej wymagać, czasem być twardy. Potrafisz przecież być twardy i wymagający dla innych.

W ostatnim zdaniu słyszę jakby echo dawnych wyrzutów, i Joanna słyszy je również, ale dopiero po wypowiedzeniu tych słów, bo czerwieni się nagle i pragnąc pokryć zmieszanie mówi: strasznie dużo palisz, a jak twoja nerwica, do lekarza oczywiście

nie chodzisz, po czym robi się jeszcze bardziej zmieszana, gdyż troskliwość jest w naszym niepisanym układzie tak samo nie na miejscu jak podobne wyrzuty, no więc proszę cię, mówi, nie utrudniaj mi przynajmniej, zapalam papierosa i przyrzekam, że się postaram.

Rozstajemy się na ulicy, siąpi deszcz, Joanna rozpina parasol i idzie w stronę Krakowskiego Przedmieścia, nie zastanawiam się dokąd, nie wiem nic o jej życiu, jej szczupła sylwetka pod parasolem znika za rogiem, poznałem ją na plaży pierwszego powojennego lata, była wtedy w wieku Grażyny.

Aleksander dogonił mnie w połowie pustego Placu Zwycięstwa, obaj ociekaliśmy wodą, on był w dodatku bez kapelusza i jego kędzierzawe włosy zlepły się w śmieszne kosmyki, chciałem zażartować z jego wyglądu, ale zaniechałem tego na widok grymasu, który z bliska wydał mi się jeszcze dziwniejszy niż przedtem.

Słuchaj, wykrztusił Aleksander, mam kłopot z dzieckiem, umówiłem się z Franciszkiem, ale nie przyszedł, widać nie mógł, to „nie mógł” zabrzmiało tak, jakby Aleksander wkładał w nie inne znaczenie niż dosłowne, nie nie rozumiałem.

Co się dzieje, zaśmiałem się, wszyscy mamy kłopoty z dziećmi, starzejemy się, ale Wojtuś jest jeszcze mały, zobaczysz za kilka lat.

Wojtuś urodził się w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym, wyrecytował Aleksander i znowu poczułem, że nadaje tej informacji jakieś szczególne znaczenie. Pobił się wczoraj z kolegą, dorzucił, zanim zdążyłem zapytać, co go właściwie trapi.

I tym się przejmujesz, wrzuciłem ramionami, a ty się może nie biłeś?

Minęliśmy grób Nieznanego Żołnierza, wartownicy surowo wpatrywali się w przestrzeń, zawsze wstydziałem się patrzeć na ludzi, którzy nie mogą mi odpowiedzieć spojrzeniem, przyspieszyłem kroku, potem zwolniłem, żeby Aleksander nie pomyślał, że uciekam od jego zwierzeń, znaleźliśmy się w Ogrodzie Saskim, gdzie poobtłukiwane boginie płakały ślepymi oczyma nad swoim opuszczeniem, Aleksander milczał przez dłuższą chwilę.

Czy pamiętasz, jak mój Wojtuś wygląda, zapytał wreszcie.

Nie pamiętałem.

On jest kropla w kroplę podobny do mnie, mruknął Aleksander.

Zatrzymałem się: stary, przemawiasz zagadkami, w tym gatunku nie jestem biegły.



Ten kolega, z którym się pobił, wymamrotał Aleksander, powiedział mu: Niemcy was palili, ale nie wszystkich zdążyli, i ciebie ja spałę.

Gówniarz nie rozumiał, co plecie, wyjąkałem, Aleksander jednak nie usłyszał już chyba moich słów, bo machnął ręką, ni to na znak pożegnania, ni to lekceważenia, i szybkimi krokami zaczął oddalać się w kierunku, z którego dopiero co nadeszliśmy, zostawiając mnie w towarzystwie zażawionych pseudoklasycznych bogiń i królewskich wierzb przemokłych do ostatniego włókna.

Nie stało się najlepiej, że zacząłem tę książkę jesienią, od razu wtargnęły w nią wiatry listopadowe i deszcze, z niepokojem nagłych podmuchów, melancholią deptanych liści, konturami dni rozmytymi przez szare strugi, ulegam temu, jesień wdziera się we mnie i przenika całego, z zakamarków wydobywając inne jesienie, współpracuję z każdym szarpnięciem wiatru, ciągnącym korowód szarpnięć minionych, z zamiecią liści przez czas, z rozpełzaniem się kropel po obrzeżach pamięci, ulegam, łaknę przecież czego innego, pogody, jasności, gdybym książkę tę zaczął był wiosną lub latem, słońce przywołałoby słońce, wszystkie wilgi i makolągwy sfrunęłyby się do tej pierwszej za moim oknem, żółty piasek dzieciństwa przesypywałby się przez palce, szedłem, brązowy i silny, przez wszystkie plaże, których niegdyś dotknąłem, także tę, gdzie ujrzałem Joannę, jej popielate włosy rozsypane półkuliście na przetartym ręczniku, mnie uśmiechnęła się do intruza, była wzgardliwa i szorstka, ale mnie przepelniała radość, mieszająca się z radością wcześniejszą, odczuwaną od chwili, kiedy po raz pierwszy usłyszałem szum morza, odtąd zawsze ilekroć przyjeżdżam nad morze ogarnia mnie radość, ostatniego lata znów przyjechałem sam, jak wtedy po maturze, i plaża była ta co wtedy, tylko bardziej tknięta cywilizacją, niemal nad brzegiem stała kabina telefoniczna, było jeszcze bardzo wcześnie i plaża niepokalanie pusta zsuwała się w fale, w kabinie jednak ktoś był, młody długowłosa, może też maturzysta, nie domknął drzwiczek i kiedy przechodziłem obok dobiegły mnie jego tętniące podnieceniem słowa, babciu, wołał do słuchawki, słyszy mnie babcia, jestem już nad morzem, zaraz babcia posłucha jak szumi, otworzył na oścież drzwiczki kabiny i wystawił słuchawkę, trzymał tak przez chwilę, po czym cofnął, słyszała babcia, to morze, kiedy indziej zaś, na innej plaży, było to nasze ostatnie wspólne lato z Joanną, z rzadka odzywając się leżeliśmy obok siebie na pledzie, miałem zamknięte oczy, ramieniem dotykałem jej gorącego ramienia, policzkiem



jej włosów, spokój falował we mnie łagodnie i ociężale, łącząc się z rytmem miarowym szumu morskiego, który zacierał wszystkie inne odgłosy, a także owo wzburzenie i niecierpliwość, od jakiegoś czasu przeciwstawiające nas sobie wzajem, była cisza i słońce, i wtem cień jakiś przesliznął się po mnie i stanął, otworzyłem oczy i ujrzałem małego umorusańca w kusych majteczkach, przypatrywał się badawczo mnie i Joannie, a kiedy spojżenia nasze zetknęły się, czy mógłbym tu posiedzieć, zapytał, mimowoli podwinąłem nogi, co on zrozumiał jako przyzwolenie i usadowił się skwapliwie na pledzie, twarzą do morza, chudymi łopatkami z łuszczącą się skórą do mnie, przez chwilę byłem zły na tę bezceremonialność i miałem ochotę go przepędzić, skoro wszakże poradziłem się wzrokiem Joanny, skinęła z uśmiechem głową, więc i ja w odpowiedzi skinąłem, dalej podwijając nogi, nie mówiliśmy nic, rozbrojeni ufnością chłopca, że zostanie przez nas przyjęty, i pokrzepieni przyjęciem w zamian przez niego do bezpiecznego świata, w którym można liczyć na życzliwość promieni, fal i spotkanych na brzegu ludzi, pozostawaliśmy w nim jeszcze po odejściu małego, leżąc obok siebie bez ruchu, wsłuchani w miarowy szum morza.

Jako dziecko nie znałem skłócenia racji, wspólnota uczuciowa świata ludzkiego wydawała się nie podlegać zwątpieniu, czyż można było nie odróżniać Strony Dobrej od Strony Złej? o zwolennikach tej drugiej dowiadywałem się z gazet, nosili trudne imiona, kidnaperzy, naziści, byli dalecy i abstrakcyjni jak w strasznej bajce, później przyszli Niemcy i dziwiłem się, że mają twarze i głosy, śmieją się, piją wodę przy studni, lecz zadbali sami, by nie zatrzeć granicy, strzelali do psów na jezdni, czasem do ludzi, na wystawie sklepu z zabawkami leżał trup kobiety z napisem „zaraziłam żołnierza Rzeszy”, po nocach łomotali do mieszkań i brali ludzi, wywozili za miasto, do starych fortów, niektórych zaś trzymali w więzieniu po środku miasta, i tym postępkiem Niemców nie dziwiłem się wcale, byli bowiem po Tamtej Stronie, poza obrębem oczywistej solidarności człowieczej, także przeciw nim istniejącej.

Któregoś z tych wieczorów po ich wkroczeniu ktoś zadzwonił do drzwi i baliśmy się otworzyć, otworzyliśmy jednak, to mógł być chory, a ojciec mój był lekarzem.

Wsunął się sąsiad, niepozorny człeczyna, widywałem go za płotem w ogrodzie, lubił pracę na grządkach, miał długie ręce o ciężkich brunatnych dłoniach, jedną z nich chował teraz za plecami, drugą wtykał ojcu na powitanie.

Dobry wieczór, wystraszył nas sąsiad, powiedział ojciec, czy ktoś u sąsiada chory?

Nie, ja z takim kłopotem, znaczy się, po sąsiedzku, ale pana doktora nie chciałybym fatygować, może chłopiec, tutaj rękę zza pleców wyciągnął, ze zwiniętym w trąbkę białym arkuszem, ta ciemnota dokucza, poskarżył się, nie poradzę prośby napisać, może tak po sąsiedzku.

Usiadłem przy biurku ojca, zamoczyłem pióro w atramencie i na rozłożonym arkuszu pod dyktando sąsiada napisałem: „Do Szanownej Komendantury. Ja, Anzelm Gabrys, urodzony w roku 1907, żonaty, rzymski katolik, o posadę strażnika w miejskim więzieniu upraszam, bo już dawno żywiłem chęć.”

Sąsiad podpisał się, zwinął arkusz w trąbkę, podziękował, podał ojcu rękę na pożegnanie i wyszedł.

Nikt nic nie mówił, ojciec uśmiechał się ironicznie, matka głośno przestawiała talerze, a we mnie obsuwało się głucho coś, co dotąd było oczywistością, miałem czternaście lat, i już wtedy z zaciętym uporem zacząłem to w sobie odbudowywać.

Z rozmowy z Martą: czytałam w gazecie, że Niemcy wydają twoją powieść, tu wymieniła tytuł, no, nie tak zaraz wydają, wzięli opcję po prostu, ci z zachodu biorą mnóstwo, a potem, ale ty byś się zgodził, chyba tak, dlaczego miałbym, czułem jak Marta sztywnieje, dziwię ci się, powiedziała nie swoim głosem, ja bym nigdy, właśnie tę powieść, u Niemców.

Czy to była Marta, a raczej: czy muszę napisać, że Marta, skoro naprawdę to była inna kobieta, lecz nie mogę wprowadzać tu wszystkich osób z mojego życia, oto kolejna trudność tej książki, jej przestrzeń jest ciasniejsza niż przestrzeń życia, surowy kontroler sprawdza karty wstępu, ta pani nie przejdzie, ależ ona ma istotną kwestię i w ogóle jej obecność liczy się dla mnie, więc zgoda na kwestię, kontroler mięknie, bez zaplecza jednak, bez opisu nowej postaci, niech się zmieści w roli już obsadzonej, oto Marta na przykład, jej rówieśnica, nie udawaj zresztą, że obce ci są takie sposoby, a Aleksander, czy na tego, którego nazywasz Aleksandrem, nie składa się dwóch mężczyzn przynajmniej, więc dobrze: Marta.

Gniew Marty na mnie miał parę warstw, które w tej rozmowie były nie do wyodrębnienia, ale nieco później uświadomiłem je sobie wyraźnie, najpierw zatem sama powieść, która swego czasu spodobała się Marcie, ale teraz to, co ceniła najbardziej, ironia wobec naszego świata, satyryczna zjadliwość w przedstawieniu jego swoistych struktur, zresztą nie w planie realnym, to był rodzaj bajki, choć z czytelnymi podtekstami,

otóż to wszystko, co cieszyło Martę, gdy powieść wydano u nas, obecnie, skoro miało zostać przełożone na język obcy, wydało jej się czymś nielojalnym, nieprzyzwoitym, jakto, inni mają bawić się naszym kosztem, szok, urażona duma, nie pomaga tłumaczenie, że cały świat bawi się satyrą Szwajcarów na Szwajcarię czy Anglików na Anglię i nikogo to nie obraża, to co innego, a dlaczego właściwie, co innego i już, i tu druga warstwa jej irytacji: Niemcy, właśnie oni, przecież takie pokazanie nas usprawiedliwi ich natychmiast we własnych oczach, poczują się oczyszczeni, niewinni, wiesz, mówię, a możebyśmy sprawy niemieckiego samopoczucia pozostawili ich własnemu sumieniu i zajęli się swoim, nienawidzę ich, wybucha Marta, kogo, Günthera Grassa czy berlińskich studentów, ona: to demagogia, kiedy naprawdę nie wiem, dlaczego mam się czuć solidarny z Józkiem Kapuciem przeciw Güntherowi Grassowi, och, wydaj, wydaj to swoje dzieło, niech się cieszą, na policzkach czerwone plamy, mam ochotę na gest: nie wydaj, skoro ciebie to drażni, lecz milczę.

Moja pamięć nie jest przecież tak dobroczynna, starczy że pamiętam ten jeden dzień, siódmego stycznia 1943 roku, gdy o świcie skrzypiącym szliśmy z ojcem przez miasto, ojciec ciężko opierał się na moim ramieniu i myślałem, że powinienem się zatrzymać, dać mu odsapnąć, nie zdobyłem się jednak na to, bo wraz z dniem przybywało ludzi po drodze, ojciec zachwiał się i podrzynywałem go, zostaw, wykrztusił, już nie mogę, nie odpowiedziałem i szliśmy dalej, wlokłem i popędzałem to chore, znużone ciało, zmuszałem je do ucieczki przed śmiercią inną, niż tkwiąca w nim samym i mogąca w każdej chwili wyprzedzić tamtą, tak zbliżyliśmy się do pułapki, której niepodobna było ominąć, do mostu łączącego miasto z przedmieściem za rzeką, weszliśmy w tę żelazną klatkę, strzeżoną przez wartownika, dreptał w kółko, miał karabin i groteskowe buciory ze słomy, sylwetka drugiego Niemca z karabinem i w takich samych buciorach rysowała się u wylotu mostu, dołem twardo czaiła się rzeka, od jej białoszarej powierzchni poderwał się ku nam lodowaty wiatr zagłuszając nierówny oddech ojca, znajdowaliśmy się w połowie drogi między wartownikami, kiedy nadchodzący z przeciwka człowiek uchylił kapelusza, nogi się pode mną ugięły, ale to jeszcze nie był ten, ojciec zaś, odwrotnie, jakby się uspokoił i na chwilę, odpowiadając na ukłon, z powrotem stał się sobą dawnym, sprzed czasu ukrywania się i ucieczek, szliśmy dalej i myślałem, że wartownik z tyłu już by chyba nie trafił, tylko tamten z przodu, szliśmy, most chybotał się i wyslizgiwał

spod stóp zmarzniętych, ojciec znowu łąpał powietrze otwartymi ustami, przestałem wierzyć, że kiedykolwiek doprowadzę go tam, dokąd szliśmy, sylwetka wartownika ciągle widniała przed nami, nie zapomnę nigdy tej wędrówki o świcie, chociaż pułapka nie zatrzasnęła się wtedy, a dzień się dopiero zaczynał.

Jestem więc sędzią, wszyscy jesteście sędziami, to nie takie trudne, wszystko toczyło się na naszych oczach, zbrodnia i przewód, mamy plenipotencję zabitych, wyrok zapadł, teraz tylko nie sprzeniewierzyć mu się, żadnym gestem nie zatrzeć granicy, którą sami wryli, ale to już trudniejsze, oto na nowym miejscu, w pustych ścianach, wśród skrzyń nieodbitych jeszcze, ta kobieta z gorącym czajnikiem, pierwsza poślanka powszedniości tutaj, już po tamtym, skończonym, kiedy wszystko od nowa, i zniecka, spomiędzy słów statecznych i bez zdumienia: kwaterunek, ubezpieczalnia, kartki, jej uśmiezek przepraszający: bo ja jestem Niemka, później ojciec w rozterce: a jak jutro przyjdzie, co robić, podać jej rękę, i matka: przecież to zwyczajna kobieta, no tak, wszyscy teraz będą zwyczajni, kobiety w schludnych fartuszkach, starzy mężczyźni z podagrą i gasnącymi fajkami, dzieci puszczone zajęczki, najwięcej dzieci, urodzą się nowe, już po tamtym, skończonym, ale wyrok zapadł, jestem sędzią i wykonawcą.

Ten malarz, od granicy francuskiej do polskiej nie opuszczający siedzenia wozu: nie tknę ich ziemi, posilający się zapałkami z torby: nie tknę ich chleba, jechaliśmy w dwa samochody, ja z moimi Francuzami, on ze swoimi, w jakimś miasteczku nadreńskim zatrzymaliśmy się na nocleg, on nie ruszył się z miejsca, my w gospodzie zamawialiśmy dania i mój Francuz zapytał, czy przyjmą franki, bo nie zdążył wymienić, ależ tak, Monsieur, z przyjemnością, po kolacji jednak okazało się, że nikt nie zna kursu, zaczęto szukać tabeli, wtedy podniósł się od sąsiedniego stolika starszy jegomość, jeżeli państwo pozwolą, to dla mnie prawdziwy zaszczyt, za francuskich przyjaciół, stał nad nami z otwartym pugilaresem, mój Francuz stropił się, ten drugi zaś na cały głos: teraz płaci za ciebie, a jutro pośle na mydło, Niemiec zbladł, w gospodzie zapadła cisza, oni rozumieją, wyjąkała żona mojego Francuza, mam w dupie, równie głośno jak przedtem powiedział tamten, rzucił banknot na stół i z hałasem odsunął krzesło, jedziemy, biegliśmy za nim do wozów, co się stało, zapytał malarz, przecież mieliście tu nocować, nikt mu nie odpowiedział.

I pędziliśmy w dwa wozy białą autostradą, gdzieś wysoko nad nami świdrowały mrok samoloty, jak wtedy gdy słychałem



ich skulony wyobrażając sobie, że to Rosjanie lecą na Prusy, i wstrząsała mną triumfalna nienawiść do tych, którzy zaraz obudzą się w blasku i huk, i tę nienawiść powtarzając w sobie jak pacierz zasypiałem na dnie nocy okupacyjnej, ale teraz, teraz nie byłem do końca wierny nienawiści i sądowi sprawowanemu.

Jak te młyny miały Jaki chleb z tej mąki To  
wiek przemiału Spójrz  
na tę aktorkę W pół  
obrotu w pół roli zmielona Zmielona!  
w pół młodości Kurtyna zapadnie W pół sło  
warto było przypinać te skrzydła błagalne Spójrz  
na tego malarza Jeszcze świat  
się nie ustał Pod zboczami farby  
żar tektoniczny wątku i osnowy Już  
gaszą światła zdzierają afisze Dwadzieścia  
innych poczęć czeka by je  
pochłonął obrót żaren Spójrz na tę  
nadzieję w rękopisie Do druku Na przemiał  
Wniebowstąpienie Błysk Diabelski młyn  
Tak zima lato schodzi Ze sceny z tapety  
na psy do piekieł z oczu z wysokości  
Czas na tym schodzi Towar jest nietrwały  
Już po sezonie Kto tam jeszcze świeci  
Zapomnieli go zgasić Kość fosforyzuje  
Słyszałeś kiedy to nazwisko Nie wie że

O taneczne pośladki gniewne manifesty  
erotyzm ergo sum errata erozja  
erynie ścigające Muzy  
przemiału Dopadły Szczęki  
w pół łydki Non omnis moriar  
w pół uda Mam dwadzieścia dwa lata Non  
omnis Mam trzydzieści dwa Na powierzchni  
symplicie poruszam jeszcze szyją językiem mogę  
dialog na pół arkusza językiem przemiału  
rozumiemy się dzisiaj Współ  
zawodniczę z gazetą szyldem Na  
przemiał! z gipsowymi  
popiersiami z uśmiechem  
tej dziewczyny z wstępem  
krytycznym z melodią co w uszach  
przemienia się w miarowy klekot młynów



Dobre, nie wiem, czy dobre, powiedziałem tej niedzieli w Kawiarni, właśnie skończył się doroczny poranek jednego wiersza, wystąpiło nas ze dwudziestu, potworna impreza, nie umiem wyrokować, powiedziałem, czy dobre, odróżniam ludzki głos i śluz rymowany, było kilku ludzi, to dużo, jednakże, zaprotestowała śliczna żona Teodora, w takich wierszach jak Jana jest coś nieuczciwego, nie wolno apelować do wzruszeń spoza obszaru wiersza, to za łatwe, czuję się do czegoś zmuszona, nie czuję się do niczego zmuszony, po prostu to jego, co stało się wierszem, sprzymierzyło się z moim, bliskim mu, przyjąłem to jako odbiorca elementarny, nie masz prawa, zaproponował Teodor, znasz rzemiosło, winienesz do sztuki przykładać kryteria właściwe sztuce, to moja słabość, nie znam właściwych kryteriów, i w tym miejscu przypomniałem sobie łyż Borysa Pasternaka, wielki poeta, którego również Teodor szanuje, płakał po usłyszeniu wiersza, jednocząc się z zawartym w nim wzruszeniem i nie dbając o kryteria właściwe sztuce, nie odważyłem się opowiedzieć tej historii, bo to mój wiersz wycisnął łyż z oczu poety, gniew Franciszka, sprzeciw Jana, powiedziałem, to się dzisiaj liczyło, i jeszcze ten fragment poematu sprzed lat parunastu powtórzony dzisiaj, zauważyliście, jak to przyjęła publiczność, ty jednak przeczytałeś „Młyny”, przypomniał Teodor, no tak, przeczytałem „Młyny”, było to złośliwe, powiedział w stosunku do wszystkich, a tych szlachetnych najbardziej, czy złośliwe, czytałem ostatni, zgodnie z porządkiem alfabetycznym, ci przede mną, cokolwiek wszeptywali i wkrzykiwali w mikrofon, traktowali bardziej niż serio, a tu ja ze swoim „na przemiał!”, w dodatku wchodząc na trybunę poczułem to ssanie co niegdyś przed każdym występem, minęło mi to od jakiegoś czasu, a teraz znowu, przeraziłem się, że zrobi mi się niedobrze i nie doczytam do końca, szarżowałem więc, zgrywałem się teatralnie, byle pokonać to ssanie, jakoś dobrnąłem, złośliwość, może, lecz najbardziej wobec siebie samego, przyznać się publicznie do kompromitującej niewiary w trwałość tego, co moje, nie liczyć na współczucie słuchaczy, no tak, przeczytałem „Młyny”, napisałem, więc przeczytałem.

Spostrzegłem się, że odnotowuję wieczory i poranki autorskie jak gdyby naprawdę zajmowały znaczne miejsce w moim życiu, ale tak przecież nie jest, nie tylko dlatego, że miesiącami nie mówiam podobnych spotkań, lecz przede wszystkim, że to najważniejsze, co dzieje się ze mną i we mnie, co biorę i co oddaję, ani tam, ani wtedy przecież, przynoszę gotowe, albo i nie przynoszę wcale, więc dlaczego? chyba właśnie dlatego, że tam

jestem wyjęty, z poucinanymi wątkami, nie proces, lecz preparat do oglądania, i to staje się obiektywne, sam gapię się na to, jak nie potrafię w żadnych innych okolicznościach, dziwny widok, dorosły człowiek wywraca się na nice i oczekuje aplauzu, a cóż on ma takiego, że obejść powinno tamtych wzrok wlepiających, wydaje się przekonany, że ma, może naprawdę, ale widok dziwny i dosyć śmieszny.

A w kularach szu-szu-szu, nieznajomi, znajomi, ten się kłania przymilnie, ów nie dostrzega, i zamiast wątków uciętych doklejają się inne, kim jestem, czy tym, który wszystko poza tą salą, czy tym, komu się ukłoniono, kogo nie dostrzeżono, kogo porównują w tej chwili z poprzednikiem i następcą na trybunę wchodzącym, świetnie że pana widzę, mieliśmy w radio ambasas z pańskim przekładem, czyżby Majakowski niecenzuralny, nie, chodziło o pańskie nazwisko w zapowiedziach, że i przed, i po słuchowisku, uznano, że za dużo, wywaleczyliśmy jakoś, bardzo dziękuję, świetnie że pana widzę, chciałem dzwonić, skonfiskowano ten wywiad, cenzor powiedział: pozwalamy mu wydawać książki, ale nie będziemy z niego robili postaci, bardzo mi przykro, że przeze mnie miała pani, ja po prostu nie byłem poinformowana o pańskiej sytuacji, także nie byłem poinformowany, ale teraz już jestem, byle nie wyszło że, może pani być spokojna, więc to jest moja sytuacja? więc to ja, ten, z którego cenzor może zrobić postać albo nie zrobić? jeszcze jeden ja, najbardziej zobiektywizowany w tajnej instrukcji, pouczające te spotkania autorskie.

I teraz wejść na trybunę, otworzyć usta, jak te młyny miały, jaki chleb z tej mąki, ujawnić się, złapać kontakt, wyminąć, kogo widzi ten chłopak poważny w trzecim rządzie na prawo, kogo słyszy ta pani w zielonej bluzce, kogo widzę wyjęty z siebie i siebie przedrzeźniający, to nie moja sytuacja, ale to sytuacja.

Odwiedziny u Pasternaka, o których nie odważyłem się opowiedzieć Teodorowi i jego ślicznej żonie, opłątane są w mojej pamięci całym kłębkim zawstydzeń, nie tylko to, że płakał po moim wierszu nie całkiem z wiersza zasługi, zawstydzające było samo zaproszenie na obiad niedzielny, wzdragałem się, Jaromir zaciągnął mnie prawie siłą, i oto gospodarz prowadzi nas po drewnianych schodach do gabinetu, Jaromir opowiada coś z ożywieniem, Borysie Leonidowiczu, powiedziałem, Jaromir urwał, Borysie Leonidowiczu, napisałem kiedyś o panu okropne głupstwa, już dawno, zdawał się nie słyszeć moich słów, podszedł do półki, wyjął z niej książkę, z książką w ręku obrócił się ku mnie i spojrzał pełnymi zdziwienia ogromnymi niebie-

skimi oczyma, czy pan był moim wrogiem, ach nie, odpowiedział natychmiast na własne pytanie, panu się po prostu nie podobały wiersze, mnie się także nie podobają, Borysie Leonidowiczu, nie rozumiałem ich wtedy, lecz teraz, są zbyt zawile, powiedział, poezja musi być prosta, zdumiewa mnie, kiedy ktoś je ceni, przesłano mi z Paryża prozę Maryny (była to właśnie książka, którą trzymał w ręku), pisała o mnie, zdumiewające, moje wiersze były jej droższe niż mnie samemu, włożył książkę z powrotem na półkę, nachylił się, wydobyl spod sterty papieru dwa grube oprawne foliały i podał Jaromirowi, to jest ważniejsze od wierszy, pracowałem nad tym od dawna.

W ten sposób przeszedł do porządku dziennego nad przyczyną mojego zawstydzania, było to mniej proste niż przyjmował, musiałem jednak zaniechać dalszych tłumaczeń, czy potrafiłbym wytłumaczyć siebie sprzed kilku lat, zapatrzonemu w inny wzorzec egzystencji poetyckiej i gardzącego tym, co się z nim nie pokrywało, gdybyż o samo niezrozumienie chodziło, podówczas nie pozwalałem sobie na rozumienie, tamten ja był mi teraz daleki, ale czułem się z nim związany jak z krewnym o tym samym nazwisku, był maj 1956, w wagonie kolejki elektrycznej, którą jechaliśmy z Jaromirem, popiskiwały harmonie, pijani inwalidzi o chytrych oczach żebrali wystawiając na pokaz kikuty, amnestionowani więźniowie wyliczali paragrafy kodeksu i nazwy geograficzne, inwalidom i więźniom wtykano za pazuchę zmięte papierki, wysiedliśmy na małej stacyjce i ruszyliśmy najpierw po drewnianych podkładach, następnie w bok od toru, błotnistą drogą, mijając zagajnik brzozowy i górę ementarną z białą cerkiewką na szczycie, Jaromir żwawo wyrzucał w powietrze długie kończyny, a ja wlokłem za nim swe zawstyżenie.

To jest ważniejsze od wierszy, pracowałem nad tym od dawna, powiedział wręczając Jaromirowi dwa grube oprawne foliały, i wtedy wszyscy zwróciliśmy oczy ku drzwiom, stała w nich Zinaida Nikołajewna, wysoka, masywna, lekko zgarbiona, nie słyszeliśmy kroków, ale poczuliśmy jej obecność, spoglądała z dezaprobatą na Jaromira, pan powinien wiedzieć, że jestem przeciwna, Borys Leonidowicz grzeszy lekkomyślnością, wczoraj dał egzemplarz Włochom, dzisiaj panu, on sobie nie zdaje sprawy, ale ja go muszę strzec, ależ Zinaido Nikołajewno, odezwał się poeta, wszystko się zmieniło, trzeba o tych strachach zapomnieć i żyć zwyczajnie, zresztą książka wyjdzie niebawem u nas, obiecano mi to, jestem przeciwna, powtórzyła sucho Zinaida Nikołajewna, jednakże Jaromir nie zdradzał ochoty rozstania się z tym, co otrzymał.

Pasternak niecierpliwie zadreptał w miejscu i zmienił temat rozmowy, nieszczęsna Maryna, powiedział, wciąż mając na myśli Cwietajewą, spotkałem się z nią w 1935 roku w Paryżu, już wtedy mówiła o powrocie, przestrzegałem ją, nie chciała słuchać, twierdziła, że skoro ja przyjechałem i wracam, ale ja wiedziałem dokąd, a ona, już na granicy zabrali męża i córkę, początkowo wierzyła, że się wyjaśni.

Proszę do stołu, powiedziała Zinaida Nikołajewna, schodziliśmy po drewnianych schodach, Pasternak miał twarz cierpiącą, najwidoczniej rozpamiętywał los poetki-samobójczyni, i teraz ogarnęła mnie zawstydzenie, że usiłowałem zaprzętnąć jego uwagę błahymi porachunkami z sobą sprzed lat paru, a także dlatego, że jeszcze przed kilkunastu minutami, mniemając że już go rozumiem, nadal nie rozumiałem, żył w sferze tragedii i tego swym wierszom nie mógł wybaczyć, iż żyły poza nią, schodziliśmy po schodach, dokoła domu poety stłoczyły się chroniąc go przed wiatrami świerki strzeliste Rosji, bór ciągnął się na wschód i gdzieś tam była osada zagubiona w śniegach wojennej zimy, kostniejące dłonie, kartki żywnościowe, które ktoś jej zapomniał przydzielić, tak zamykał się los Maryny, a jego los oraz jego dzieła? nie znałem zawartości foliów wręczonych Jaromirowi i nie przeczuwałem, co nastąpi w niezbyt dalekiej przyszłości, na ostatnim stopniu Pasternak zatrzymał się i powiedział: córka teraz wróciła, szuka jej wierszy.

Na dole gwar powitań i prezentacji, Zinaida Nikołajewna wskazała nam miejsca przy długim dębowym stole, gospodarz napełnił kielichy, naprzeciwko siedziała stara kobieta o smagłej cerze, w milczeniu wodziła po twarzach czarnymi wschodnimi oczyma, jak gdyby usiłowała doszukać się jakiejś utajonej prawdy, była to wdowa po przyjacielu Pasternaka, rozstrzelanym gruzińskim poecie, i chyba dlatego właśnie, że ją miałem przed sobą, ten akurat wiersz przyszedł mi na myśl, kiedy po sprzątnięciu półmisków i ponownym napełnieniu kielichów odezwał się mój sąsiad przy stole, w tym gronie starych przyjaciół, powiedział, mamy kogoś nowego, wiemy, że jest polskim poetą, ale nie słyszeliśmy jego wierszy, prosimy, goście zachęcająco pokiwali głowami, ja dlatego jeszcze proszę, dodał mój sąsiad, siwy, szczupły, z łagodną kreszczką wąsów, podobny do mojego ojca, był to Henryk Neuhaus, pianista, dlatego proszę, że chciałbym usłyszeć dźwięki mowy, którą pamiętam z wczesnej młodości, nie patrząc przeto na Ninę Tabidze powiedziałem wiersz, który napisałem zeszłego lata na Kaukazie, tego samego lata, kiedy w Erywaniu tańczyła mała Metakse i kiedy od ciężkiego słońca Gruzji i lekkiego jej wina zakreśliło mi się w głowie na samym



początku wędrówki i tak już zostało prawie do końca, na końcu zaś szara szpalta gazety przysłoniła mi olśniewający krajobraz, nie dlatego, żeby zieleń raptem zrudziała i promienie zatraciły jaskrawość, lecz dlatego, że notatka wskrzeszała z martwych trzy imiona człowiecze, niegdyś wraz z ciałami zamordowane, ciała nie zmartwychwstają, jednakże wskrzeszenie imion też było świętem bardziej cudownym niż festyn nieustający kaukaskiej przyrody.

Powiedziałem więc teraz ten wiersz niebogaty o powracających imionach poetów — Tycjana Tabidze, Paola Jeszwili, Mikołaja Dżawachiszwili, o bezinteresownej radości przyrody ustępującej wobec gorzkiego wzruszenia takich ludzkich zwyczajstw z za grobu, zacinalem się mówiąc z pamięci, skoro zaś skończyłem, nie spojrzałem na Ninę Tabidze, lecz na Pasternaka, i przejął mnie dreszcz, — Pasternak płakał, z jego niebieskich oczu toczyły się po policzkach duże jasne łzy, dziękuję, powiedziała chropawym głosem Nina Tabidze, Pasternak zerwał się z miejsca i uczynił krok ku mnie, wstałem także, przycisnął mnie do piersi i pocałował.

Potem z twarzą rozświetloną od wewnątrz, z kielichem jak hostia wzniesionym, pełen jakiegoś radosnego wzburzenia, w które widać obróciło się wszystko, co działo się przedtem, myśli o ukończonej książce, wiersze, wino, wspomnienia, od wielu lat żyliśmy pod przytłaczającym ciężarem, mówił, nie rozumieliśmy jego istoty, chcieliśmy ufać, ale przeczuwaliśmy, ja przeczuwałem, obecnie powiedziano nam rzeczy straszne, może to jest początek nowego życia, którego nie nie przytłoczy, bądźmy zdolni do świętowania, uwierzmy że.

Zapadał zmierzch, kiedy szliśmy z Jaromirem na stację, pachniała czeremcha, minęliśmy górę cmentarną i zagajnik brzozowy, stąpaliśmy po drewnianych podkładach, aż ziemia zadrżała pod nami, uskoczyliśmy na bok i pociąg przemknął z łoskotem, i mocniej zapachniała czeremcha.

Ze stenogramu zebrania pisarzy moskiewskich 31 października 1958: „Bohaterowie tej powieści wprost i bez osłonek głoszą filozofię zdrady. I oczywiste jest, że tak samo jak powieść stanowi akt zdrady wobec wszystkiego świetlanego, pod sztandarem czego, tak samo oczywiste jest, że dalsze postępowanie. Żyjąc z nami, jedząc nasz chleb, korzystając ze wszystkich. Powinniśmy w imieniu naszej społeczności powiedzieć: Precz z naszego kraju, panie Pasternak. Nie chcemy oddychać jednym powietrzem z panem. (Oklaski). Idź, zainkasuj tam swoje trzy-



dzieści srebrników! (Oklaski). W obecnej nadzwyczaj wymagającej atmosferze moralnej. Towarzysze pozwolą, że odczytam projekt uchwały. (Głos z miejsca: — Wydaje mi się, że należy w uchwale słowo kosmopolita zastąpić słowem sprzedawczyk). W projekcie jest również to słowo i słowo zdrada, ale człowiek zdradzający ojczyznę i idący na służbę międzynarodowej reakcji jest bezojczyźnianym kosmopolitą. (Głos: — Tutaj mamy w formie pytania: komu jest potrzebny? Należy powiedzieć wyraźnie, że nikomu). Czy będą jeszcze poprawki? (Głos: — To zdanie, że dawno oderwał się od rzeczywistości, od narodu, jest niesłuszne, bo nigdy nie był związany z narodem). Odczytam jeszcze raz to zdanie. Dawno oderwany od życia i narodu, zachowany w sobie esteta i dekadent. Można sformułować: zawsze oderwany. Kto głosuje za przyjęciem uchwały, proszę podnieść rękę. Dziękuję. Kto przeciw? Nie ma. Kto się wstrzymał? Nie ma. Uchwałę przyjęto jednogłośnie. (Oklaski)”.

Siódmego stycznia 1943 roku, w warsztacie pana Burka, ojciec odmarzający, jak termometr słupkiem rtęci powoli wypełniający się sobą, w palcach kubek blaszany z gęstym czarnym płynem, i wtedy od drzwi mężczyzna w półkożuszku i w czapce z nausznikami: ja pana znam, ojciec ani słowa, tamten: tylko proszę się stąd nie ruszać, dlaczego nie zgarnął ojca od razu, może musiał się z kimś porozumieć, ledwie drzwic się za nim zamknęły, szewc gorączkowo do ojca, że jak skręci na lewo, trafi na szosę w stronę Łosośny, tam wracają furmanki kontygentowe i na pewno któraś zechce go zabrać, a o Wiktora może pan doktor być spokojny, w razie czego zawsze kawałek chleba, to jest fach na każdą godzinę, i kiedy tamten znowu od drzwi: gdzie ten gość, co tu siedział, nawet nie wiem, znad kopyta bez trosko pan Burek, nie znam, zajrzał rano względem chromu na buty, ale że nie miałem, nie względem chromu, tylko schronu, podniósł głos nieznamy, chciałem z wami po ludzku, a jak tak, to przyjdzie gestapo.

Jak ci się podobam w tych trepkach, bezbłędne, prawda?

Grażyna wiruje po całym pokoju, ma na sobie luźną czerwoną sukienkę do pół uda, ażurowe białe pończochy i pantofelki z miedzianymi sprzączkami, tańczy, wygina się efektownie, kokietuje mnie jak obcego mężczyznę, nie widzę, mówię, przystań na chwilę, bo kręci mi się w głowie.

Siada na biurku i macha mi przed nosem swoimi długimi nogami.

A co na to szkoła, pytam, czy szkoła uważa taki strój za odpowiedni?

Tato, nie bądź nudny, szkoła, szkoła, wszyscy nauczyciele to idioci, nudzi mnie ta szkoła, zresztą od poniedziałku jeszcze nie byłam, zeskakuje z biurka i znów kręci się po pokoju, dlaczego nie masz magnetu, przecież starczy ci forsy, co to za życie bez magnetu.

Grażynko, upieram się beznadziejnie przy roli wychowawcy, czy nie sądzisz, że tym razem warto by było przejść do następnej klasy?

Przejdę, przejdę, robi niedbały ruch ręką, a poza tym, jeżeli chcesz być moim kumplem, nazywaj mnie Dżina.

Związki przyczynowo-skutkowe są jej notorycznie obce, nie chce dostrzec zależności pomiędzy przykładaniem się do nauki a promocją, przysięgam, mówię, że w urzędzie stanu cywilnego nadałem ci imię: Grażyna, to było dawno i nieprawda, przerywa, o, carmeny, poczęstuj mnie, sama bierze papierosa z otwartej paczki, podaje jej ogień, myślisz, że ci z tym do twarzy, tato, co ci się stało, jesteś dziś przeraźliwie nudny.

W gruncie rzeczy powinienem być zadowolony, jest przecież taka, jaką sobie kiedyś wymyśliłem, z tą różnicą, że spodziewaliśmy się chłopca, nazywałby się Olgierd, całymi miesiącami rozmawialiśmy o Olgierdzie, chcę, żeby był podobny do ciebie, mówiła Joanna, nie, oponowałem, on będzie beztroski, rozumiesz, kompletnie beztroski i łatwy, z niczego nie będzie sobie robił problemów, będzie żył tak jak się oddycha, samym instynktem życia, będzie wszystko brał jak należne i wszyscy będą mu to przyznawali, będą go lubili za lekkość, za jasność, chcesz, żeby był głupcem, gniewała się Joanna, on będzie mądrzejszy od nas, kładłem rękę na jej wypukłym brzuchu i palcami słuchałem energicznego dobijania się Olgierda, chcę, żeby był szczęśliwy, nie więcej.

Któregoś słotnego popołudnia powiedziała uśmiechając się blade: zdaje się, że to już, odwiozłem ją taksówką do kliniki, lecz jeszcze przez sześć dni pokazywała się w oknie na pierwszym piętrze, stałem na dole w rozmiękłej glinie, dziarskimi gestami dodawaliśmy sobie nawzajem otuchy, wieczorami przesiadywałem u Franciszka, bo w naszym nowym mieszkaniu nie założono jeszcze telefonu, mówiłem o Olgierdzie, ale kim on zostanie, dopytywał się z całą powagą Franciszek, to nie ważne, odpowiadałem, architektem, malarzem, podróżnikiem, kim zechce, byle był beztroski i jasny, mam nadzieję, że świat, jaki wtedy będzie, nie udaremni mu tego.

Kiedy zabrzmiał ten przenikliwy dzwonek, zerwałem się z fotela: to Olgierd, żona Franciszka podniosła słuchawkę, dziękuję, powiedziała, tak, dziękuję, zaraz powtórzę, jestem ojcem, popatrzyła na mnie wesoło, masz córkę, waży trzy i pół kilo, Franciszek rozlał wódkę do grubych szklanek, za rodziców, podniósł swoją do góry, pierwszych rodziców pomiędzy nami.

Nie wściekaj się, Grażyna całuje mnie w policzek, jak na desę jesteś całkiem możliwy, tylko niepotrzebnie wmawiasz w siebie, że musisz mnie wychowywać, ostatecznie mogę przy tobie nie palić, jeżeli nie lubisz, gasi papierosa i całuje mnie w drugi policzek, no to pa, lecę, aha, zapomniałam ci powiedzieć, że te treпки wzięłam na słowo, obiecałam, że jutro ureguluję, prawda, że mi w nich genialnie?

Imaginacyjny monolog młodego Europejczyka, chyba Niemca, lecz niekoniecznie, zapisany po powrocie z pewnej podróży:

Dziękuję pokornie za oczy i ręce, za jamę ustną i brzuch, otrzymałem zgodnie z umową, kwituję odbiór. Nogi w porządku, nie skrzypią, włosy mogłyby być nieco ciemniejsze albo jaśniejsze, ostatecznie zgoda. Zębów tyle a tyle, gryzą. Czoło i nos używane, nie da się ukryć: po ojcu, głupie oszczędności, lecz umowa pewnie i to przewiduje. Dziękuję za ślinę i krew, za paznokcie i struny głosowe, za wszystko, co jest mięsem, kością istnieniem.

Resztę możecie sobie zatrzymać. Nie próbujcie mnie tym obarczać. Nie przyjmę.

Nie byłem nawet różowym bąbelkiem do wyskrobania, kiedy wyrzynaliście się nawzajem i układaliście pieśni. Dlaczego każecie mi się wstydzić, być dumnym, wiedzieć? Dlaczego mam tęsknić za trawą, którą wyście deptali, przymierzać szczęki do śladu waszych złamanych szczęk, pić wino, którego wyście nie zdążyli wychłęptać, salutować zgniłe onuce sztandarów?

Dlaczego coś, czego nie widziałem, nie dotykałem, ma być sprawą pomiędzy mną a innymi, którzy także nie mieli jeszcze oczu i rąk?

Jeżeli byliście bohaterami, dlaczego mnie każecie się chępieć?

Jeżeli bestiami, dlaczego mnie oddają pod sąd?

Twierdźcie, że wszystko działo się w moim imieniu. Ale imię dostałem później.

Twierdźcie, że chodziło o moją przyszłość. Jak możecie nazywać ją moją, kiedy mnie w niej nie było, a ta, która stała się, jest inna od przewidzianej.

Urodziliście mnie gołego.

Chcę pozostać goły.

Kiedy wetknęliście mi w usta sutek nabrzmiały mlekiem, nie uprzedzaliście, że z nim razem mam wyssać wasze uczucia, waszą pamięć, wasz grzech.

Wolałbym wyrzygać to mleko.

Jestem goły.

Widzą mnie w waszym mundurze.

Kiedy rozchyłam wargi, słyszam wasz hymn.

Zabierzcie, zabierzcie wszystko, zostawcie mi tylko mięso, gołe i własne.

Każdym zatem, który się wspina? ten od trzeciego do piątego piętra to także ja, schody ciągle wąskie i ciemne, przecież inny ja, niż od bramy na prawo, z wierszem w garści, zrobione, powiedział Siedlecki, weźmiemy was do działu miejskiego, a teraz na obiad, napisał kilka słów na skrawku papieru, i ruszyłem po schodach poważnym krokiem reportera wielkiej gazety, pod zmarszczonym czołem dźwigałem nagłówki przyszłych artykułów, i nie schodów zaplutyh dotykałem stopami, lecz szczebli, które w barwny świat prowadziły dorosłych przywilejów i zajęć. Tęga kobieta w fartuchu wytarła stół i postawiła przede mną miskę z kaszą, wzdychając przyglądała się jak jem, dawno nie jadłeś? co? tak dużo nie jestem przyzwyczajony, zawsze przychodź trochę wcześniej, to ci dam dobrą porcję, już więcej nie mogę, odsunąłem miskę, jedz, nie krępuj się, przysunęła z powrotem, mizerny jesteś. Pani Wójcikowa, do stołówki wszedł jakiś szary i porowaty, czy pani wie, kogo karmi, to poeta, jego wiersz idzie do numeru, i parsknął śmiechem, siedziałem zatka-ny kaszą i wstydem, pan redaktor żarty sobie stroi, zachnęła się, albo nie wiem, że szukali gońca, wąsy, pomyślałem z determinacją, zapuszczę wąsy, ba, żeby to było takie proste, więc z pierwszej pensji kupię sobie kapelusz, wszystko daremne, wyhodowałem te wąsy niemal włoski po włosku, od kapelusza czerwona pręga na czole, i wciąż to samo, goniec, pęta-kinny mistyfikator, zbyt nieśmiały, zbyt zuchwały, nie na miejscu, nie na serio, nie do wiary, z tą buźką, z tymi ruchami, świat dorosłych to zмова i nie wystarczy to wszystko, co się o nim wiedziało, żeby wyjść, być u siebie, żeby nie szydzi-li i nie współczuli, krztuszę się papierosem, wódka pali mi podniebienie, ale ciągle ta kasza grdulasta w przełyku, ciągle nie znający hasła i śmieszny.

Kiedy przeczytałem pamiętnik Siedleckiego, pierwszy tom, ogłosił go pięć lat przed śmiercią, następnego zaś, który zapo-wiadiał, już nie ogłosił, a ja teraz dopiero przeczytałem ten



pierwszy i ostatni, dzieciństwo i młodość komunisty, i raptem, kilkanaście stron przed końcem, jego schody, tak niepodobne do moich, ale wbiegłem na nie, jak on, zdyszany, prosto z placu, gdzie wśród pustych straganów harcujące konie policji, koński pysk spieniony i rozdarty wędzidłem, i spocona twarz policjanta z paskiem pod brodą, i wzniesiona szabla w skwarnym powietrzu, zaraz spadnie cios płazujący, z labiryntu straganów rozpaczliwym susem do bramy i na schody kamienne, i pędem na trzecie piętro, jakieś drzwi uchylone, obcy ludzie, niech pan siada, i nie mogąc z siebie wydobyć słowa na tym krześle do wieczora, po czym w dół po schodach beztrąsko, w cudzej czapce na drogę ofiarowanej, on, Siedlecki, w tej czapce, a ja, w cudzym losie, po jego schodach, z jego myślą, której racji zaprzeczam, odczuwałem braterską wdzięczność, napisał, dla tych, co mi udzielili schronienia, i dla tamtych, co widzieli wszystko z okien i balkonów dokoła, nie zdradzili przecież, był to akt solidarności ze sprawą, to nie tak, prostuję, tylko odruch współczucia dla ściganego i niechęci do ścigających, sprawa nie ma tu nic do rzeczy, i owszem, uśmiecha się pobłażliwie, siedzimy naprzeciw siebie na najwyższym piętrze budynku zajętego przez podległe mu redakcje i nie ma między nami tej rozmowy, nie czytałem jeszcze pamiętnika i nie mogę przypuścić, że to może na zbawczych schodach tak umocnił się w przeświadczeniu, iż tej sprawie, której życie całe poświęcił, nikt nie zechce się sprzeniewierzyć, z najwyższego piętra swojego życia wyciąga do mnie rękę ufając, mam zadzwonić do jego podwładnego, dzwonię dopiero po kilku miesiącach, gdy Siedlecki nie żyje, a ja muszę chwycić się słomki, podwładny jego następcy obiecuje odezwać się w najbliższym czasie, naturalnie nigdy do tego nie dochodzi, już nie wejść z przepustką na schody zimnego gmachu, które były jego ostatnimi schodami, ale czytam pamiętnik człowieka, którego tyle lat znałem i wcale nie znałem, i schody, tu wyrastające przede mną, nagle dużo bardziej się liczą.

To nie muszą być schody, mogą ale nie muszą, to może być wagon albo plaża nadmorska, albo koński pysk, albo czapka, wszelkie miejsce i przedmiot może być tym, w którym odkryję wspólny rdzeń życiorysów biegnących różnie, któremu refleksją post factum nadam wagę dla siebie i innych, i wyobraźnią zgęszczającą wspomnienia nawarstwiał wokół niego to co wydobę jak kryształ z przejrzystego roztworu pamięci, więc wagon repatriacyjny, tłuczemy się nim po kolei, Siedlecki, Tadeusz (wymawiam wreszcie to imię), ja, a także bohater napisanej prawie pół wieku temu powieści, najważniejszej dla paru pokoleń w Polsce,



młody człowiek, który, jak Siedlecki, Tadeusz, ja, zetknął się na wschodzie z nędzą urzeczywistnianego marzenia, a jednak pokochał je i zapragnął ziścić we własnym kraju, i dlatego, choć niby nie dlatego, stukot wagonu, przenoszącego nas, rozdzielającego i łączącego, całą książkę mogę w jego rytmie napisać i będzie w niej wszystko, i wszyscy, również ci, którzy teraz odjadą od nas, zaś koński pysk, ruch konia, policjant najjeżdżający na Siedleckiego, koński pysk, lejce, bryka, sanie, wierzchowice, a to znowu z powieści, w której młody przybysz świat szlachecki poznaje i pogrąża się w jego przemijającej już urodzie i nieprawości, by za chwilę odwrócić się szorstkim gestem i do góry dźwignąć czerwony sztandar, koński pysk, ja w pana Burka warsztacie, prosto z mrozu klient wąsaty, tam furmankę zostawiłem przed domem, to niech chłopak za węgiel, idź, Wiktor, obojętne skinienie majstra, terminator ze wsi, kto pomyśli że mu pierwszyna, szkapy oko łagodne dodaje otuchy, gdy emocji ukrytej pełny biorę za uźdę, a ta czapka na głowie też darowana, jednak schody ciągle najwyraźniejsze, te po których w dół z Janem ciężkim od wódki, niemal że na plecach go taszczyć, potykając się na stopniach, z Janem bełkocącym: dziecko z ciebie, nie nie rozumiesz, dużo lat minie zanim pojmę jego schody w dół, zawsze w dół, całym ciężarem ciała, no a schody, po których wchodzi Tadeusz, wreszcie on, choć tak długo się ociągałem, czy ze względu na nie i czy te, czy potrafię je właściwie rozpoznać, te, na których go widzę, znam dobrze, siódme piętro bez windy, mój z Joanną pierwszy pokój w Warszawie, Bolek wszedł pół godziny przed nami, lecz dla niego na pewno się nie liczyły, czy wolałbym, żeby inne, których nie znam, były tymi schodami dla Tadeusza, wszystko jedno, skoro w ogóle musiały, czy musiały, każdy musi po schodach? może bywa życie jak płaszczyzna bez wspinania się i schodzenia, wagon, koński pysk, czapka, plaża, most pomiędzy brzegami, okno, wszystko jest w takim życiu, a schodów, może bywa takie, lecz ja nie potrafię go ujrzeć.

W górę zatem jeszcze, schodami, drabinami, windami, po deskach chybotliwych, jak trapy ukośnie przez powietrze płynących, na rusztowania, konstrukcje z rur wydrążonych, gołe piętra ceglane, z wiatrem w uszach i piosenką: budujemy biały dom, stupańtrowy biały dom, podaj cegłę, transporterów lśniącym łożyskiem w górę, jak prądowi wiosennemu na przekór, żółte brzegi zbóż rozpruwając, na bocznicy zapach rumianku, srebrny pył cementowy i wagonów przetaczanych szczełkanie, wyżej, dłońią gorejącą od cegieł chwycić się poręczy i, nad wid-

nokrąg pocięty geometrią Wielkiego Planu, nad tę bitwę ostrych kątów i pionów strzelistych z krajobrazu gnuśną obłością, stanąć, wzrokiem zatoczyć, z tchem zapartym, z wierszem jak te konstrukcje rozkołysanym, z odą wzlatującą ku wieszce niedostrzegalnej, jaką jutro, tak budując, zawiesimy nad światem, a więc tamtych wiosen inżynierią i świetlistą wiarą natchnionych, tamtych schodów, rusztowań, dźwigów, tamtych ramion, bluz, transparentów koślawych i namiotów, i srebrnego nurtu przez pola, i nadziei, i braterstwa z tymi, którzy nocą stawali do wyładunku i wspinali się pot rozmazując na twarzy, i śpiewali te pieśni, i wiechy wypatrywali nad głową, czy nie było tego najrzeczywiście, czy to było tylko zewnętrzne i mimolotne, i bez śladu we mnie minęło i nie zostało, tak z dnia na dzień odcięte jakby skokiem z rusztowania, w świat poziomy, innej gęstości i barwy, ale przecież i dlatego właśnie ów świat jest inny, że wchodzenie to było, jego trasy wpisały się w moje oczy i mięśnie, tylko wiersze zapomniałem i pogubiłem, i ochoty najmniejszej nie mam pogubionych odnaleźć.

W tym tygodniu, w dwu czasopismach jednocześnie — stare teksty Tadeusza, jak gdyby dlatego, że akurat przywołałem to imię, tyle lat nie było go, tylko raz ktoś młody obruszył się wspominając go w artykule: do kogo ta mowa? dajcie nam wreszcie spokój z literaturą budowniczych piramid! w dwu czasopismach jednocześnie bombowy materiał — odgrzebany Tadeusz, ale redaktorzy są naszymi rówieśnikami.

Tylko w jednym naprawdę odgrzebany i naprawdę chodzi o niego: nieznane wiersze młodzieńcze, z okupowanej Warszawy, sprzed aresztowania, miał dwadzieścia lat, kiedy je pisał. Miał dwadzieścia lat, jak ten zdolny szczeniak, który go nie rozumie, i pisał:

Jest tylko człowiek. Słepa rzeka  
wieczności płynie, wrogi prąd.  
Oto wołamy o człowieka  
jak o przyjazny, dobry ład.  
Bo ludzki los: iść w nurt. I w walce  
mijać straconym pokoleniem.  
I tylko to: człowieka znaleźć,  
który by ramię wsparł ramieniem.

I tylko to. Jeszcze nie był sobą i mógł się nim nigdy nie stać, jak jego przyjaciel, może równie utalentowany, który w tym samym czasie pisał pierwsze zdanie pamiętnika: „Łudzę się, że jeszcze cokolwiek zdążę”, jak tyłu innych z pokolenia, po prostu tęskniący, wrażliwy chłopak, a jednak był już sobą,

bo wiedział, że „tylko to”, później zakamufłował tę swoją wiedzę, znalazł dla niej najokrutniejsze z możliwych przebrań i został pisarzem, ale w całym przebraniu zawsze tkwiło „tylko to” z naiwnego wiersza studenta.

A przyjaciel zaczynał inaczej, Bóg raczy wiedzieć, czy pozostałby przy tym, gdyby ocalał, wtedy jednak odnotował w pamiętniku swoją wiarę „w etyczne perspektywy otwierające się przed siłą, prawdziwą siłą”, i Tadeusza to odpychało — „przyjaźniłem się z nim i nie lubiłem go”, napisał powróciwszy z wojennej tułaczki, i jeszcze: „nigdy nie wiedziałem, co w nim jest z udania, z pozy, a co z prawdy, z żywego człowieka”, lecz skoro tak, czemu w ogóle napisał ten pośmiertny „Wizerunek przyjaciela”, przedrukowany teraz w drugim z czasopism wraz z pamiętnikiem tamtego, najwidoczniej po to przedrukowany ażeby, mniejsza jednak o taktyczny manewr redakcji, co skłoniło Tadeusza do napisania w 1947 roku tego wspomnienia?

Określał Andrzeja surowo, jednoznacznie — i starał się wytłumaczyć: „Urzekła go idea polskiego faszyzmu. Cóż, w okresie, gdy naród jest rozbity i staje się mierzwą dla zwycięzcy, wtedy zawsze jak płomień wybucha mesjanizm, wiara w postanictwo narodu, w jego ponadludzką wartość. Gdy naród nie ma odrobiny własnej ziemi, marzy się zawsze o granicach, dotyczących trzech mórz, obejmujących ziemie innych ludów i podporządkowujących te ludy własnemu narodowi.”

Dalej idzie niezmyślona fabuła — jakieś spotkania pełne wzajemnej ironii i rozstanie na zawsze, po czym powrót Tadeusza i usłyszana od kogoś historia śmierci Andrzeja. I ostatnie zdanie: „Ilekoć przechodzę koło tego rudawego, strzaskanego muru, wydaje mi się, że jestem winny ja i my wszyscy, że żyjemy.”

Więc o to chodziło? o poczucie winy wobec zabitego rówieśnika, że nie podzieliło się jego losu? więc to była ta granica, na której nie chciał zatrzymać solidarności z każdym żywym istnieniem, o jakie się otarł — granica między życiem i śmiercią — i której nie przekroczenie wyrzucał sobie przez wszystkie lata, on, cudem ocalony, aż na końcu przekroczył ją dobrowolnie?

Przyjaźniąc się z Tadeuszem, nie uświadamiałem sobie nic z tego i nie pamiętałem, że nasza znajomość zaczęła się też od starcia o jego zamordowanych kolegów, których idee odpychały go wtedy i zawsze.

Na tamten zjazd ja i moi koledzy przyjechaliśmy do Warszawy ciężarówką Komitetu Wojewódzkiego, listopadowe popo-

Łudnie wcześniej chlusnęło w powietrze błotem pól okolicznych, byle minąć Łowicz, powiedział kierowca, tam już nie wyskoczą zza krzaka, pistolet zatknięty za pasek spodni uwierał mnie boleśnie, wydano nam broń niedawno, kiedy zaczęła się akcja przedwyborcza, minęliśmy Łowicz, wkroczyliśmy na amfiteatralnie sklepioną salę i zasiedliśmy na lewicy, nieubłagani i czujni, zerkający z ukosa na przeciwległą stronę, gdzie siedzieli nasi wrogowie, w battle-dressach i oficerkach. Już niebawem przestano nas odróżniać, wielkie przymierzanie kostiumów dobiegło końca i poczuliśmy się pokoleniem, które wspólnie dokonało wyboru, teraz jednak przyczyny wrogości kłębiły się w nas zawile, bez wątpienia grały tu rolę idee, lecz u nas — także poczucie krzywdy, że im, obcym, powierzono to, czego odmawiano nam, „swoim” — redagowanie pisma, nie potrafiliśmy przyjąć do wiadomości, że właśnie ich prawicowy rodowód był atutem, którego nam brakowało, i przedmiotem przetargu, oni zaś zdawali sobie z tego sprawę i pozwalając się protegować dbali usilnie, by przed czasem nie upodobnić się do nas, przychodziło im to bez trudu, nie znaleźmy jeszcze swoich twarzy, zamykaliśmy je przed sobą nawzajem, raziły nas, toteż kiedy już z trybuny popatrzyłem na siedzącego najbliżej, niskiego blondyna o wystającej szczęce i zimnych wodnistych oczach, wrogość zagotowała się we mnie i podniesionym głosem powiedziałem, że nie podobna ufać ludziom, którzy wczoraj jeszcze składali hołd ideom najbardziej nam nienawistnym, a dziś nie potrafią spojrzeć krytycznie na swoją przeszłość. Na sali ustały szmery, w grobowej ciszy przełknąłem ślinę i zacytowałem fragment wiersza, który wypłynął nagle w mojej pamięci: „Imperium gdy powstanie, to tylko z naszej krwi” — imperium? powtórzyłem zjadliwie, imperium, tak? i wychyliłem się ku przodowi, w stronę blondyna o wystającej szczęce, nie wiadomo dlaczego wydało mi się w tej chwili, że to on jest autorem przytoczonego utworu, lecz on wzruszył ramionami, a mnie przytrafiło się raptem coś całkiem nieprzewidzianego, bo oto guzik marynarki odskoczył, poły frunęły na boki i oczom moich adwersarzy ukazał się potężny bębenkowiec, co mogło sprawiać wrażenie, jakbym tym groźnym widokiem zamierzał wzmóc siłę przekonywującą przemowy, speszony ściągnąłem rozbiegające się poły i przytrzymując je dłonią opuściłem trybunę, ale zanim jeszcze znalazłem się na dole wskoczył na trybunę nie prosząc o głos krępy puciołowaty chłopak, którego przedtem nie zauważyłem, bo nie siedział razem z tamtymi, i zaczął wykrzykiwać namiętnie, zachłystujące się zdania. Któż dał wam prawo szydzić, wołał, z wyżyn jakiej mądrości politycznej czepiacie się



tych ludzi, którzy nie mogą wam odpowiedzieć, oni nie żyją, zginęli, może się mylili, może pisali niemądre wiersze, ale nie żyją i przestańcie rozgrzebywać ich groby, czyj to był wiersz, zapytała półgłosem siedząca za mną dziewczyna, nie wiem, burknąłem nie odwracając głowy, tymczasem chłopak na trybunie uspokoił się i zmienił temat, teraz on był tym, który szydził, powiadacie demokracja, ironizował, to stare słowo, pod którego przykrywką zrobiono niejedno świństwo, demokracji też trzeba patrzeć na palce, ktoś z prezydium odchrząknął i skrzypiącym głosem oznajmił: nie chodzi o demokrację burżuazyjną, lecz o wyższą formę demokracji, którą gwarantuje władza robotników i chłopów, dobra, machnął ręką pucołowaty, na przykład ilość ludzi trzymanyh w mamrze też może być wskaźnikiem demokracji, i kołyszającym się marynarskim krokiem zeszedł z trybuny. Następnym mówcą był karzełek o rzadkich siwych włosach i uduchowionym obliczu, znany poeta starszego pokolenia, moi młodzi przyjaciele, westchnął rozpościerając w kazondziejskim geście wątle ramiona, moi młodzi przyjaciele, reprezentujecie tutaj, jak obserwuję, różne poglądy, czego nie biorę za złe, smuci mnie jednak wasza zapalczywość, przez całe życie bowiem wyznawałem zasadę, iż przeciwnika należy brać in optima forma. Na sali rozmawiano, pokasływano, przechodzono z miejsca na miejsce, kto to był, teraz ja zapytałem o pucołowatego, dziewczyna siedząca za mną zdziwiła się, pan i tego nie wie, przecież to, aha, mruknąłem, lecz nazwisko niewiele mi powiedziało. W przerwie podszedł do mnie ten skrzypiący z prezydium, na kwadratowej twarzy malowało się niezadowolenie, i po co wam to było, nie uzgodniście i zaraz zamieszanie, wszystko co trzeba i tak załatwi się na drodze organizacyjnej, a dyskusje tego rodzaju, nie nam po nich, rozumiecie mnie, towarzyszu, mówił podczas gdy posuwaliśmy się szerokim korytarzem, pośród debatujących grup, i zbliżyliśmy się właśnie do jednej z nich, w której był mój przeciwnik z trybuny, wszystkie siły należy skupić, głośno wyrecytował skrzypiący, założymy klub młodych twórców, będą się odbywały imprezy, pucołowaty zwrócił ku nam drwiące spojrzenie, bar pod Marksem, zawołał, tawerna pod czerwonym sztandarem, i wybuchnął donośnym śmiechem.

I z tym śmiechem pozostał mi już, nie, nie z tym, w kularach zjazdu, z którego wróciliśmy nazajutrz, zmęczeni i osowiali, z innym śmiechem, lecz tak samo szerokim, tubalnym, całą twarzą i ciałem, zaś pomiędzy tymi dwoma śmiechami zawarła się nasza przyjaźń i wszystko, co przeżywaliśmy razem,



trwało to pięć lat niespełna, a minęło odtąd o wiele więcej, i nie pamiętam teraz powodu śmiechu, musiał sam powiedzieć coś, co go ubawiło, siedział na parapecie otwartego okna w redakcji, stałem obok, jeszcze kilka osób stało i siedziało w pobliżu, wszyscy zgrzani, w rozpiętych koszulach, był upał, widzę jeszcze tę scenę, lecz nie pamiętam rozmowy, znaleźliśmy się już zbyt dobrze, zbyt blisko obcowaliśmy ze sobą, żeby jakiegokolwiek słowa zabrzmiało nieoczekiwanie i ostro wryło się w pamięć, pozostał tylko dźwięk głosu, Tadeusz śmiał się zaraźliwie, serdecznie, śmiech wypełniał wszystkie kąty pokoju i my wszyscy odpowiadaliśmy śmiechem.

W parę dni później, w ciemnych kulisach Teatru Rozmai-  
tości na Marszałkowskiej, tuż przed rozpoczęciem wiecu na cześć walczącej Korei, ktoś nachylił się do mnie: co z Tadeuszem, jak to co z Tadeuszem, drgnąłem, i podnieconym szeptem zosta-  
łem poinformowany, że Tadeusza nieprzytomnego zabrano do szpitala, to był gaz, Tadeusz wrócił późno do domu i postawił wodę na herbatę, woda zalała płomień, a gaz ulatniał się dalej, on tymczasem zasnął nad książką, książka ciekawa, „Burza” Erenburga, ale zasnął, był pewnie pijany, gosposia przyszła póź-  
no, nie musiała się śpieszyć, bo żona w klinice, siedziałem na wiecu, machinalnie klaskałem wraz z innymi, potem wybiegłem na rozprażoną ulicę, na placu Trzech Krzyży mignęła mi jakaś znajoma twarz, co z Tadeuszem, nie, będzie żył, już mu zrobiono transfuzję, wróciłem do domu i sięgnąłem po „Burzę” Erenburga, jakby tam ukryte było wytłumaczenie tego, co się stało, zasnąłem późno, a nazajutrz rano przyszedł Bolek, miał mokrą twarz, milczał, i siedzieliśmy we troje z nim i z Joanną, nie nie mówiąc, wreszcie wstał i powiedział: znaleziono też pustą fiolkę.

Dopiero po pogrzebie odważyliśmy się pójść do kliniki, to była prywatna klinika, żona Tadeusza miała separatkę i dziecko było z nią razem, przez kwadrans rozmawialiśmy o niczym, aż jakby mimochodem rzuciła: nie wiecie, gdzie się podziewa mój mąż marnotrawny, uśmiechała się ukrywając niepokój, wyje-  
chał w teren, powiedziałem, w sprawach związkowych, przez chwilę panowała cisza, po czym Bolek wymamrotał: miał wypadek, ona ciągle patrzyła na nas z tym samym uśmiechem, nikt się nie odzywał, wstałem i zbliżyłem się do kołyski, za plecami usłyszałem jej głos: nie żyje.

Śpiące niemowlę miało okrągłą buzię Tadeusza, uderzyło mnie to podobieństwo, i teraz, kiedy o tym piszę, uderza na nowo, przywołując też na myśl, że jednak wiem, czego dotyczył jego ostatni śmiech, który zapamiętałem, dotyczył narodzin dziecka, był dumny ze swego ojcostwa, chwalił się synem, ktoś

zapytał, czy już go widział, no pewnie, potwierdził i, tak, teraz jestem prawie pewien, że to pamiętam, powiedział: piękny, dodając niby to chętnie: podobny do mnie i zadowolony z żartu roześmiał się głośno, a myśmy ten śmiech podchwycili.

Pozostał z tym śmiechem, jednocześnie wszakże zaczął dziwne ogromnie przez lata, najbardziej ogromnie w tym, co zrobił jeszcze zanim ujrzałem go na trybunie, lecz także w niepojętym zawikłaniu swojego życia, w tajemnicy, którą tylekroć już odtąd interpretowano, ja również pisałem o nim i mnie również to się wymknęło, chociaż znałem epizod, który prócz mnie znał tylko Bolek oraz ktoś anonimowy, do dziś pozostający w ukryciu, może zresztą już nie istniejący, czy jednak w tym epizodzie akurat zawarty jest klucz do wszystkiego, nie wiem, tyle lat borykam się z tym bez skutku, i nie wiem, czy wolno mi spróbować raz jeszcze, wiem jedynie, że nie próbując i tak nie obronię się przed tym.

Owa ciemność ogarnęła mnie zaraz potem, wierzyłem jeszcze w przypadek z zalanim przez wodę płomieniem, fiolka? były w niej po prostu środki nasenne, wszelkie aluzje, że mogło być inaczej, przyjmowałem jak zniewagę, a wiesz, oznajmił nasz wspólny znajomy, widziałem go o ósmej rano na Żoliborzu, wsiadał do taksówki, to co, że do taksówki, zachnąłem się, na Żoliborzu, o ósmej rano, powtórzył z naciskiem, tego samego dnia redaktor w wydawnictwie, z którym spotkałem się w sprawie przedmowy do zbioru wierszy o obronie pokoju, zacierając ręce zapytał: no i co z tym Tadeuszem, nie żyje, rzuciłem wrogo, odął wargi, wiem, że nie żyje, i położył przede mną pokreślony manuskrypt, w tym zdaniu dwa razy występuje „który”, może lepiej rozbić na dwa zdania i uniknąć, proszę bardzo, choćby na dziesięć.

Poszedłem do kwaterunku, po przydział, przyznany Tadeuszowi tydzień temu w związku z powiększeniem rodziny, czterdzieści metrów na MDM-ie, urzędnik wzruszył ramionami, nieaktualne, a jakby umarł w pięć dni później, powiedziałem błędnie, tobyście teraz odebrali wdowie i dziecku, chcecie żeby wracała do klitki, gdzie to się stało, to są argumenty uczuciowe, odparł, trzasnąłem drzwiami i poleciałem do KC, uspokójcie się, kierownik wydziału położył mi rękę na ramieniu, załatwimy to, ma się rozumieć, ale swoją drogą, zdjął mi rękę z ramienia i zaczął się przyglądać paznokciom, czekałem co swoją drogą, nie sądzicie, podjął, że było w tym coś chorobliwego, wynaturzonego, przecież on już kiedyś, nie o tym nie wiem, ale my wiemy, a ponadto czy zauważyliście, że on nigdy nie patrzył w oczy, zawsze uciekał oczyma gdzieś w kąt czy w podłogę, zdawało

mi się, powiedziałem, że byliście mu życzliwi, zawsze bałem się o niego, powiedział, jego żarliwość była niepokojąca, graniczyła z, zawahał się i nie dokończył zdania, czy zaraz zadzwonicie do kwaterunku, zapytałem, tak, poczekajcie, bo wiecie, że i wy jesteście w gorącej wodzie kąpani, o mnie też się boicie, mniej, przyznał, o was mniej, no, zaglądamy w razie czego, dziękuję, zmusiłem się żeby spojrzeć mu w oczy ściskając rękę na pożegnanie, i tak, z wytrzeszczonymi źrenicami, z podniesionym czołem, zszedłem po marmurowych schodach wyściełanych czerwonym chodnikiem, aż na ulicy jaskrawe słońce lipcowe zmusiło mnie do zaciśnięcia powiek i zostałem w ciemności.

To zastępuje linię czasu, która nie istnieje, albo której nie potrafisz odtworzyć, a tę linię, te linie z mniejszym kresłem mozołem, zabudowuję nimi przestrzeń, która staje się mną, czy staje się mną prawdziwym, przestrzeń z liniami niezbieżnymi, czy możliwe jest spotkanie w jednej przestrzeni Pasternaka i Gombrowicza, a ta linia wzwyż, to wchodzenie, wspinanie się, fałsz architektury zbyt wzniosłej, gdzie tu ja, łakomy i lekko-myślny, błaznujący, rozmiłowany w błazeństwie, w wywracankach słownych i niedorzecznych wierszykach, oto ja — w beczie śmiechu podrygującej na szynach, w chórze podchmielonych kompanów: bo! ja! mam! swój intymny ma! ły! świat! uszczęśliwieni szmirowatym tekstem szlagieru, znający tylko tę frazę i nie ciekawi następnych, rozeczochrany dyrygent podnosi rękę i znowu: bo! ja! mam! swój intymny ma! ły! świat! chwila ciszy i znów od początku, upojeni niedorobstwem weszła, opadnięciem wszelkich znaczeń, śmiechem z niczego (a w sąsiednim przedziale wściekła Karolina, później będzie mi wyrzucała, że i to było przeciw niej, nasze rozśpiewanie, rozchichotanie, chciałeś dowiedzieć, że się nie liczę, że ci dobrze beze mnie, tak? och, Karolino, moja niebezpieczna zabawko, z tobą w każdym razie nie było mi dobrze, chciałem cię rozkręcić jak składanego pajaca i na długo rozkręciłem sam siebie), do rozpuku więc, do zachłyśnięcia: bo! ja! mam! swój intymny ma! ły! świat! spokój, panowie, teraz propozycja intelektualna, propozycja? kontrapozycja! kontrajekt, ależ bardzo kontrastną, kontrafesorze, ksiądz kontraboszcz, kontrastactwo, kontrastytutka za wysokie kontragi, kontraces, kontraśba, kontragram, doryć tego, kontratestuję, czas wprowadzić propunkt, zagrać na probasie, cóż, jeżeli prohenci pozwolą, nie zwracaj profałdy, prodmirał, prokt, o, rozkoszne możliwości wymiany cząstek znaczących, ktoś wsadza zdumiony łeb z korytarza, co się tu dzieje, czemu tu tak głośno, koledzy, koledzy? precz z cudzoziemskimi

przedrostkami, odtąd ma być: współledzy, i współleżanki, jeśli łaska, współbiety, bardzo je współchamy, współtek kici-kici, współgut, współbyła, współciołek, współpalnia, każdy jest współwalem własnego losu, współleż, współlano, intruz wycofuje się na korytarz, nie, na współfrytarz, a my za nim: współrzeń! współnar! współrale! współść!

Wielkie serio Borysa Pasternaka, heroiczne, rozdzierające, żył w sferze tragedii i tam go musiałem spotkać, a sfera, w której spotkałem Witolda Gombrowicza, nie ma nazwy, nie może mieć, bo wszystko, co wie o sobie, nie pozwala jej na to, świadomość fałszu każdego samookreślenia, parodyjności każdej powagi, niedojrzałości każdej dojrzałości, to on, wędrowiec ze starożytnego sofizmu, którego na rogatkach czekała śmierć przez powieszenie za kłamstwo i przez ścięcie za prawdę, będą powieszony, oznajmił i uniemożliwił egzekucję, gdyby bowiem, znamy, znamy, wygrana Gombrowicza dzięki nieustannemu psuciu gry sobie i innym, rujnowaniu sytuacji, ale sytuacja już wie i podkłada się ochoczo, i wciskając mu w rękę atuty, odbiera je tym samym, jak wówczas, gdy dzwonił do fałszywej hrabiny.

On: Dzień dobry, pani, przyjechałem właśnie i...

Hrabina: Witam, witam, panie Witoldzie, już czekamy na pana, jak przeszła podróż?

On: Pani się mnie spodziewała?

Hrabina: No jak to, przecież pan Florian...

On: Jaki pan Florian?

Hrabina: Chwileczkę, czyżby zaszło, mówię z panem Witoldem Woroszylskim, nieprawdaż?

On (lodowato): Woroszylski ma na imię Wiktor, a tu Gombrowicz, przyjechałem właśnie i...

Hrabina (speszona): Aa, pan Wiktor Gombrowicz.

On: Witold!

Hrabina: Słyszałam, naturalnie, bardzo proszę też przyjść na obiad.

Podczas obiadu, sztywny, z gębą, którą mu przyprawiła niechęć, jakże taką gębą karczochy i pieczone smakować, jakże mieszać szyk konwersacji, wreszcie przy owocach uboga protegowana hrabiny: więc osiedlił się pan w Vence, to uroczą miejscowość, Chagall już od lat nie rusza się stamtąd.

On (z ulgą): Kto taki?

Hrabina i uboga protegowana, z wypiekami: Chagall! Wielki malarz! światowej sławy! Marc Chagall! Wie pan, te bydłatka, skrzypce, narzeczeni w powietrzu!

On: Nie słyszałem.



Już opanował sytuację, zniweczył swoje uprzednie zaskoczenie i poniżenie, to ja zostaję z gębą, że Gombrowicza wzięto za kogo, za Woroszylskiego, pomyłono nasze imiona i z nas dwóch, absurdalnym przypadkiem trochę więcej wiedziano o mnie, którego istnienia nie jestem w tej chwili pewien, bo moje znikome n a p r a w dę nie ma tu nic do powiedzenia, wchodząc w sferę Gombrowicza straciłem wagę i kształt, jemu zaś powróciła elokwencja, teraz pastwi się nad malarstwem, nad absurdem mazania płócien, wie już, oczywiście, że Florian jest malarzem, obie panie słuchają w świętej zgrozie, tylko że jest w tym ataku Gombrowicza, od pierwszego „kto taki” i „nie słyszałem”, coś z rutyny, i ja z Florianem łapiemy to i on łapie, że my łapiemy, i widać po nim zmęczenie sobą i nami, ale właściwie dlaczego z czworgiem obcych i nieważnych nie miałby uciekać się do rutyny, nie miałby przywdziewać „Gombrowicza” na Gombrowicza, którego stworzył w sobie z tych samych pierwiastków, tyle że niezutytych, niespodziewanych, więc to wysuwanie „Gombrowicza” przed Gombrowicza, ta mała doraźna destrukcja na odczepne, w której zapleczu kłębi się wielka destrukcja o tyle serio, o ile jakieś serio może istnieć w tej lekceważącej je świadomości, to wszystko objawia raptownie swój inny niż dotąd znałem dramatyzm, którego nie śmiem tak nazwać, a zachwycona hrabina zorientowała się wreszcie, który gość najważniejszy, przysuwa mu owoce, a uboga protegowana, którą z czasów zanim wybrała wolność pamiętam jako wykwiintną intelektualistkę w Kawiarni, cierpi, że nie może też wykonać jakiegoś gestu, sytuacja wszakże trwa w całym swym stłamszeniu i pomieszaniu, i rozwija się samoistnie, jedziemy do Vence, hrabina przy kierownicy, wracamy z Vence, już bez niego, hrabina z nienawiścią: cóż to za okropna dziewczucha, widzieliście państwo, te pończochy i biustonosze po kątach, uboga protegowana marzycielsko: nie taka potrzebna mu opiekunka, hrabina ostro: spóźniła się pani do technika dentystycznego, reguluję rachunek, ale w końcu to pani zęby, trzeba dbać o siebie, najdroższa, uboga protegowana buntowniczo: potrzebne mu ciepło, bardziej niż pieniądze, Florian chichocząc: przecież on jest, panie nic nie wiedzą, on jest, i figlarnie obserwuje zawiedzione miny obydwu kobiet.

Gombrowicz w fotelu, Gombrowicz w złotej koronie, na wysokim koniu Gombrowicz nagi i chory, już nie musi się wprasać na obiad do fałszywej hrabiny, ani listów pisywać, że gdybyś zechciał, mój drogi, porozmawiać o mnie z tym wpływowym, co się tyczy zaś przekładu twoich sztuk w Argentynie, a



to mi się udało, chichocze Gombrowicz bogaty i sławny (to jest druga, ostatnia moja wizyta u Gombrowicza), a to mi się udało, że ta głupia Amerykanka wtedy, nudne, oświadczyła, nie zdołałam przeczytać do końca, i nie dali nagrody, jestem winien jej wdzięczność, bo tym razem podwoili sumę, znów ktoś chciał mnie podkopać, to podejrzany zwyrodnialec ten Gombrowicz, masochista, onanista czy pederasta, no i dali chętnie, cieszy się Gombrowicz stary i żółty, wydawany we wszystkich językach, udzielający serii wywiadów Francuzowi piekielnie inteligentnemu, lewicowo-prawicowemu, Gombrowicz w sytuacji, której nie pomiesza już szyków, no bo jak, wszystko mam, mówi nagle ze smutkiem i nie do mnie jakby, lecz dialog kontynuując z niewidzialnym partnerem innej gry niż zawsze, prymitywnej, zdyszanej, bez min i masek, wszystko mam, sławę, dom, pieniądze, nawet żonę, bo wie pan ożeniłem się z tą dziewczyną, t e r a z mam, kiedy nie już nie mogę, kiedy, wzrok jego pada na aparat fotograficzny mojego towarzysza podróży, chce się pan ze mną sfotografować? Potwierdzam skwapliwie i czekam na wydrwienie swojej ochoty, lecz Gombrowicz już wkomponuje się ze mną w niebo Vence przezroczyste, pstryknięcie, i odjeżdżam do siebie od jego umierania, tak nie mającego nic wspólnego ze zwycięskim Gombrowiczem literatury, kolorowa błona wywołana zostanie później, wszystkie zdjęcia wyjdą wspaniale, góry, morze, osiołek w parku, tylko jedna klatka zaświeci pustką, i w jej ciemnych smugach ostateczną minę odczytam, jaką robi do nas, bez premedytacji, ostateczna nieczułość świata.

Wyciągnąłem z szuflady rękopis sprzed dziesięciu lat, to także miała być książka, pewnego dnia odłożyłem ją na bok w związku z jakimś niecierpiącym zwłoki zajęciem i nigdy już nie zajrzałem, aż dopiero teraz, pamiętając, że wtedy także chodziło o Tadeusza, okazało się jednak, że nie napisałem o nim ani jednego zdania, zatrzymałem się przed samym progiem jego historii, a zdawało mi się, że napisałem, i to coś ważnego, co teraz pomogłoby mi odtworzyć resztę, lecz nie, na starych kartkach znalazłem jedynie ów cień samobójczyni z mojego dzieciństwa, który dawno już przestał mi towarzyszyć, oraz napomnienie o Hance, od tego się zaczynało, od rozmowy z mężem Hanki, siedział naprzeciwko mnie, spokojny, ociężały, zdawałoby się, że nie tyle przejęty, co po prostu zdziwiony, po co ona to zrobiła, powtarzał, przeciwieństwo mówiłem jej, wszystko można było załatwić, a ja wiedziałem, że nic nie można było załatwić, bo Hanka żyła o ton wyżej od innych ludzi, czułem to już w obłąkanym mieście, na tej małej wojnie, z której oboje nadawa-

liśmy sprawozdania, otworzyła gaz w kilka miesięcy po naszym powrocie, pewna dziennikarka, która była razem z nami w tym mieście, powiedziała po jej pogrzebie: zawsze dziwiła mnie łatwość, z jaką ta dziewczyna pchała się pod kule, ja nie mogłam przez chwilę zapomnieć, że w domu mam męża i dzieci, a ona, nic nie odpowiedziałam, po powrocie widziałem Hankę tylko raz, trzymając się za ręce biegli z wysokim jasnowłosym chłopcem alejami Ujazdowskimi, to było samobójstwo z miłości, a raczej ze skruchy za miłość, do której nie przyznawała sobie prawa, zacząłem wtedy pisać książkę o niezgodach i ucieczkach, o ludziach napiętej struny, których nie można przestroić na niższą, więc nadchodzi chwila, zastanawiałem się nad nieuniknionością tej chwili, teraz zdaje mi się, że we wszystkich historiach o samobójcach szukałem dojścia do tamtej, najbliższej, i nie znalazłem go widać, skoro urwałem przed samym początkiem, ale może było inaczej, może cień samobójczyni z dzieciństwa był najważniejszy i to on powłókł za sobą te inne, i dlatego też one zaczęły znaczyć, że szły za tym cieniem, który wcale nie przestał mi towarzyszyć, trzeba więc znowu powrócić między smugi wakacyjnego słońca, wytapiającego żywicę z sosnowych desek werandy i usłyszeć te dziwne słowa: a my tańczymy — bez troskie i trochę wyzywające słowa młodej kobiety w kwiecistej sukni bez rękawów i w sandałach na opalonych nogach, i rozpocząć raz jeszcze w tym miejscu pierwszego mojego pożądania, pierwszej grozy i pierwszej zagadki, tę historię mogę prawie w całości przepisać z porzuconego przed laty rękopisu.

Nie wiem, czy naprawdę słyszałem te słowa, może dotarły do mnie znacznie później, w naszym mieście wiele mówiono o dramatycznie zakończonej rywalizacji dwóch kobiet, często powtarzając zuchwałe „a my tańczymy”, i skąd właściwie mógłbym się wziąć na tej werandzie podmiejskiego pensjonatu, wśród krążących w tańcu dorosłych, jest coś z przedwojennego filmu w tym, jak widzę tę scenę, nie brak nawet ilustracji muzycznej, gramofon gra rumbę, mógłbym zanucić melodię, tak żywo ją słyszę, widzę zaś wszystko w dwóch planach, na dalszym, zatarłym, krążą tańczące pary, i blisko, w słonecznej ramie — ona, wysoka, śniada, o błyszczących oczach i rozchyłonych w uśmiechu czerwonych wargach, tu spoza ramy rozlega się jakiś głos, w trakcie trwania tej sceny nie wiem, co mówi, dopiero później, mówi zatem coś w rodzaju: państwo słyszeli, inżynierowa F. zastrzeliła się wykradzionym mężowi browniingiem, i urywa, dostrzega bowiem tę, przy której wypada powściągnąć język, piękną winowajczynię, ona jednak nie dając po sobie nic poznać

beztrosko i trochę wyzywająco rzuca: a my tańczymy, i opiera się o ramię przybyłego, pan tańczy rumbę? Jakże jej pożałowałem, nie nie wiedząc jeszcze o pożądaniu, nie znając określeń na to, co mnie trawiło, nie kochałem, lecz właśnie pożałowałem, kochałem małą dziewczynkę w białej koszulinie, Danusię, córkę dozorczy, o anielskiej twarzyczce i złotych włosach, było to uczucie jasne i tkliwe, nie komplikujące mi życia, niepodobne zupełnie do tego drugiego, skażonego nieczystym sumieniem, potrzebą maskowania się i systemem spontanicznych chytrych, czy nie po to przyjaźniłem się z Lutkiem, żeby być bliżej jego matki, i gwałtownie zrywałem przyjaźń, żeby uciec przed nią, a potem, nie mogąc znieść oddalenia, znów zmierzałem do zgody, Lutek z pokorą przyjmował moje kaprysy, nie domyślał się niczego, a ona domyślała się zapewne, bo przypatrywała mi się niekiedy z rozbawieniem, wtedy wysychały mi wargi i pały policzki, raz pogłaskała mnie po twarzy i powiedziała uśmiechając się: ty mężczyzno, było to na urodzinach Lutka, kończył osiem lat, ja skończyłem o miesiąc wcześniej, krew uderzyła mi do głowy, gotów byłem popełnić jakieś szaleństwo, na przykład wpić się zębami w głaszczącą mnie rękę, albo uklęknąć i powiedzieć, że obronię ją przed wszystkimi, kiedy ochłonąłem, już jej nie było, i odczułem bolesne upokorzenie, że jestem mały, że tkwi we mnie coś, czego nie rozumiem i wstydzę się, i że w jakiś sposób zależę od niej, złej kobiety, tak, wiedziałem, że jest zła, lecz to również pociągało mnie do niej, cień tamtej drugiej, którą zabiła, cień śmierci zawinionej przez nią i z taką łatwością odsuniętej, zlekceważonej, związek pomiędzy jej triumfalną urodą a smutkiem i lękiem mieszkańców domu, do którego także chodziłem, bo syn tamtej był także moim rówieśnikiem, ale zacząłem chodzić już po jej śmierci, nigdy nie znałem umarłej, tylko jej cień, krążyłem tak pomiędzy blaskiem żywej i pięknej, a mrokiem w którym nie było już tamtej drugiej, lecz nieobecność jej zdawała mi się dojmującą obecnością, i bez niej cielesność tej, której pożałowałem, nie byłaby tak upajająca, trwało to kilka lat, z których nieporównanie słabiej pamiętam dom rodzinny i szkołę, niż ów ruch magnetyczny pomiędzy pożądaniem a grozą, blaskiem a mrokiem, pożądaniem i blaskiem tym jaskrawszym, im bliższym mrokowi i grozie, grozą i mrokiem tym nieuchronniej dławiącym, im wyraźniej spokrewnionym z pożądaniem i blaskiem, wszystko zaczęło się na werandzie podmiejskiego pensjonatu, pod dźwięki gramofonu, w letnie popołudnie, którego może wcale nie było.

Kiedy dużo lat później wdałem się w nieszczęsną awanturę

z Karoliną, pociągnął mnie do niej ten sam smak zła, którego zaznałem w dzieciństwie, ten sam nieprzeparty urok niedobrej kobiety, zdolnej do zdeptania cudzego życia, porzuciłem Joannę kochając ją jeszcze, Karoliny nie kochałem, ani ona mnie, to co się zaczęło było jednym pasmem udręki, ale pragnąłem Karoliny jak niegdyś tamtej, do której była podobna także z urody, i biorąc ją mściłem się za każdym razem na tamtej, niedostępnej moim wczesnym pragnieniom, i nienawidziłem za śmierć samobójczyni z mojego miasta dużo wcześniej nim znienawidziłem za mękę, jakiej powodem stała się przez ten rok, kiedy byliśmy razem.

Jasnowłosa Danusia, kucająca na stopniu ze szmacianą lalą w ramionach, zlewała mi się z inną Danusią — z fotografii w piśmie ilustrowanym — laureatką konkursu na najpiękniejsze dziecko Kresów Wschodnich, nie uświadamiałem sobie, że pożółkły numer pisma od niepamiętnych czasów leży w poczekalni ojca i tamta Danusia, w sukience z falbankami i lakierowanych bucikach, jest już dużo starsza od mojej ukochanej z podwórka, dla mnie były jedną istotą, o której myślałem tkliwie i opiekuńczo, w kolorze białym, w łagodnej aureoli słonecznej, nie mającej nic wspólnego z przepalającym blaskiem tamtego słońca, w którym jawiła mi się matka kolegi, błogie uczucie, związane z obrazem Danusi, nie wlokło za sobą żadnego niepokoju, żadnego bólu i wstydu, wcześniejsze od tamtego, przez jakiś czas istniało z nim równolegle, bywając mi nawet schronieniem przed jego burzliwym przyborem, aż uległo wreszcie, zbyt bezbronnie, by stawiać opór gwałtowi namiętności, i pewnego dnia przeszedłem bez słowa obok Danusi, jej błękitne oczy rozszerzyły się w zdumieniu, lecz ani mi w głowie powstało zatrzymać się przy niej i zapytać o zdrowie lali, potem przez kilka dni wpatrywała się we mnie z oczekiwaniem i zawodem, gdy mijałem ją obojętnie, w końcu przestała przesiadywać na stopniu i zapomniałem o niej, nie sięgałem też więcej po pismo, w którym jej rzekome wcielenie w tanecznej pozie unosiło się na paluszkach, tak bez żalu zdradziłem swą pierwszą miłość dla czegoś, co nie było miłością, i co opuściło mnie później, również znienacka.

Nie znałem Danusi-podlotka, nie widziałem, jak dorastała, teraz myślę, że to niemożliwe, żebym jej nie widywał, była tuż obok przez wszystkie następne lata, a jednak nie ma jej w moim ówczesnym krajobrazie, dopiero u schyłku wojny wynurza się w innej postaci i przyprawia o nagłe ściśnięcie serca, w chwili kiedy ktoś mówi: ta kurwa niemiecka, Danka od dozorecy, uciekła ze swoim Szwabem, i widzę ją znowu przez moment, złoto-



białą, anielską, na wyszczerbionym kamiennym stopniu, ze szmacianą lalą w ramionach, i znów niknie, już mówią o czym innym, a z daleka słyhać głucho dudnienie artylerii, to podchodzą Rosjanie, potem nic nie słyhać i nic nie widać, w powietrzu unosi się pył ceglany, ulicami miasta, w którym nie ma już Niemców, dźwigam dwa wiadra z wodą, stację pomp wysadzili zanim odeszli i teraz wszyscy czerpią z nielicznych studzien, jest ciągle lato i upał, pot zalewa mi oczy, stawiam wiadra na chodniku żeby odsapnąć i wytrzeć twarz, patrzę na dziewczynę, która idzie przeciwległym chodnikiem, ona staje i odwraca głowę, czemu pan mi się tak przygląda, panie Witku, głos ma lekko ochrypliwy, nie widział pan niemieckiej kurwy, milczę, przechodzi na moją stronę, widzę z bliska jej podkrążone oczy i spierzchnięte wargi, jest brzydka, niech pan nie wierzy, błaga tym nieznanym ochryplym głosem, miałam tylko jego jednego, to był najlepszy człowiek na świecie i Niemcy sami go powiesili, milcząc nachylam się do wiader i mocno ujmuję ich blaszane uchwyty.

Jedna z fabuł, wymyślonych o Tadeuszu i jego śmierci, nie całkiem wymyślonych, zrekonstruowanych z elementów po części przynajmniej prawdziwych, dopiero w pobliżu finału zakrada się domysł, którego nie sposób sprawdzić, otóż jedna z tych fabuł (i ja ją gdzieś powtórzyłem) opowiada o wielkiej miłości, gorącej i nieustępliwej, takiej, wobec której śmierć jest błahostką a katusze fizyczne — przedmiotem drwiny. Był sobie student podziemnego uniwersytetu w okupowanej Warszawie, pisał wiersze, w których dawał wyraz przeświadczeniu o niepoznawalności świata i absurdalności historii, a kiedy gestapo aresztowało jego dziewczynę, poszedł do jej mieszkania, z niedoczytaną książką Huxleya pod pachą, i trafił do kotła, o którym wiedział na pewno, że tam będzie. Z Pawiaka wywieziono oboje do Oświęcimia, ją do żeńskiego obozu, jego do męskiego. Przez trzy lata umierali co dzień o krok od siebie. Ona nie przetrzymałaby tego, gdyby nie on. Zdobywał dla niej i przez druty szmugłował żywność oraz lekarstwa. Nie znał rozkoszy miłości, ale doskonale poznał jej ciężar i ból. Nie znał ciała swojej dziewczyny jako kochanek, ale wiedział o nim wszystko, co mogliby wiedzieć lekarze. Potem poznał jeszcze tęsknotę do zaginionej, tuż przed końcem wojny część żeńskiego obozu ewakuowano w niewiadomym kierunku i przez rok szukał jej po całej Europie, znalazł wreszcie, i tu, gdzie rozbrzmiewa radosne *Veni Creator*, a rozczulona publiczność powstaje z krzesel, zaczęła się udręka, której nie zdołał przeczuć: miłości umarłej,



Możesz się powtarzać, kiedy mówisz miłe rzeczy. Ale miało być jeszcze coś wesołego.

List małej dziewczynki do redakcji Płomyczka: „Kochany Płomyczku, odpowiedz, co to jest niż i wyż i od czego szybciej rosną piersi.”

O, to nie takie wesołe, jak ci się zdaje, ja też się martwię, że mam za małe piersi.

Ale uśmiechnęłaś się. I wcale nie masz za małych, masz bardzo dobre.

To także pozwalam ci powtarzać od czasu do czasu.

Skąd ty się właściwie wzięłaś?

Teraz czy w ogóle?

W ogóle to się trochę domyślałam. Teraz.

No, przyjechałam. Trzy dni nie gramy, więc wsiadłam w pociąg i przyjechałam.

Do niego.

Słuchaj, ja nie lubię jak holi. Może to ostrzeżenie, ale nie lubię. Gdybym była z tobą, nie bolałoby tak?

Nie wiem. Bądź ze mną.

Lubię twoje usta.

Ja twoje.

Twoje ręce.

Twoje.

Z rąk jestem dosyć zadowolona. Czy w monologu Aktorki było je widać?

Nie zauważyłem.

To brzydko z twojej strony.

Ale z bliska wiem, jakie są. I zauważyłem twój głos. Lubię go.

Ja twój.

Powinniśmy zrobić listę, co razem lubimy i nie lubimy.

Dobrze. Wino Feteasca, tak?

Tak. I piwo, chociaż to mniej eleganckie.

I piwo. A ser?

Ser też. I nie lubimy szampana.

Nie lubimy. Ani Dyrektora Teatru.

Jasne. Ani rozplotkowanych bab?

Ma się rozumieć. Ani telewizji. Ani hałasu motocykli. Lubię las.

Ja też. I morze.

Ja też, tylko nie umiem pływać.

Nauczę ciebie. Rosyjskie wiersze?

Lubię.

Amerykańską prozę?

Tak.

Zbyszka Herberta?

Trochę za trudny, ale chciałabym lubić. Jak mi wytłumaczysz, polubię.

Julie Christie?

Czy to moja rywalka?

Nie, skądże. Wcale mi nie zależy, żeby tu ze mną była. Tylko w kinie.

W takim razie możemy ją lubić. Lubimy się trochę wygłupiać, tak?

Bardzo. I całować się.

I żebyś ty opowiadał, a ja żebym słuchała.

Albo na odwrót. I żebyś przyznała się wreszcie, że ci zimno, a ja żebym zamknął okno.

O nie, tego nie lubię.

Wiesz co? Wyjedźmy.

Dokąd?

Gdziekolwiek.

Myślisz, że to takie łatwe.

Jak się uprzemy.

Może. Ale muszę już iść.

Do niego.

Nie gniewaj się. Ja wiem, że z tobą byłoby mi dobrze.

Nie wiem, czy ze mną byłoby ci dobrze, ale chcę, żebyś była.

Nienawidzę spotkań z zegarkiem w ręku.

Ja też.

Znowu chce mi się płakać. Nie bój się, nie będę, już się uśmiecham.

Cieszę się, że przyszedłeś. Powtarzam się?

No powtarzasz się. Dziękuję.

Kiedy się zobaczymy?

Nie wiem. Napiszę, chcesz?

Na tej wąskiej i stromej uliczce paryskiej, którą od dwóch tygodni zbiegałem co rano, w gorączkowym pośpiechu, nieomal w transie, gnany łapczywością z dnia na dzień rosnącą i lękiem, że może to już po raz ostatni, nie oglądając się, powstrzymując rozbieg oczu i wszystkich zmysłów, żeby nie wyczerpać za wcześnie, żeby jeszcze starczyło na ten dzień i może następny, i dopiero na dole, pomiędzy rozgrzanym wylotem metra a pomnikiem spalonego na stosie kacerza, na którego cokole kredą wypisano „Wietnam zwycięży”, wśród straganów z pomarańczami, rybami, połciami mięsa, tam dopiero pozwalając sobie



na radosne spuszczenie ze smyczy wzroku, węchu i słuchu, otóż na ulicze, która dotąd była zaledwie przejściem granicznym pomiędzy krótkim snem na najwyższym piętrze hoteliku a jawnie-jawą zapuszczania się w Miasto, krążenia na fali jego oddechu i tętna, zatrzymałem się nagle przed wystawą rosyjskiej księgarenki, by spośród wszystkich tłoczących się i usiłujących wysforować jedna przed drugą książek dostrzec tę właśnie i poznać ją natychmiast, widziałem ją przedtem raz w życiu, wyjętą z półki i włożoną z powrotem na półkę, zdumiewające, powiedział, ważąc w dłoni zamkniętą książkę, moje wiersze były Marynie droższe niż mnie samemu, pchnąłem drzwi księgarenki i całym wysiłkiem woli pomyślałem, że nie kupię, ledwie starczy mi przecież na dwa ostatnie najtańsze obiady u Greka, przy stole pokrytym białym papierem z plamami po musztardzie i winie, skąd, nie kupię, tylko dotknę, tylko zważę w dłoni jak wtedy Pasternak.

Ocknąłem się późnym wieczorem w pokoiku nad krzywymi dachami, słaba lampa na suficie mrugała w takt ciosów, jakie za ciekawą ścianą Północny Afrykanin zadawał swojej jasnej dziewczynie, ta wznosiła gardłowe okrzyki rozkoszy i bólu, za drugą ścianą przeciągle rzeźbiły rury, potem tonacja okrzyków za ścianą zmieniła się, teraz było to słodkie pojękiwanie, lecz rury bełkotały ciągle tak samo, i zdałem sobie sprawę, że Cwietajewa czytała Pasternaka i pisała o nim też w takim hoteliku, kilkanaście lat spędziła w takich hotelikach i stąd właśnie wróciła tam, dokąd nie radził jej wracać, i raptem, na chwilę, przestałem lubić to Miasto u dołu, i już przeciwko niemu, choć nie tylko przeciwko niemu, rzuciły mi się do gardła zdania przeczytane zanim zamknąłem książkę, i poczułem się emigrantem, więźniem przestrzeni bez echa, stęsknionym za krajobrazem tak dalece otwartym, że prawie nieistniejącym, był to przedostatni mój wieczór w Paryżu, nazajutrz zanurzyłem się w nim raz jeszcze, przebiegłem nabrzeżami Sekwany i z Małego Mostu wrzuciłem drobną monetę do wody, lecz dopiero w startującym samolocie Polskich Linii Lotniczych i pożałowałem, że to już i że może już nigdy więcej, i na nowo przejąłem się cudownością tego miasta uchodzącą spod skrzydeł.

Ze „Światłej ulewy” Maryny Cwietajewej (Berlin 1923?): „Pasternak — to jedno wielkie na ościerz: oczy, nozdrza, uszy, wargi, ręce. Przed nim nie było nic. Wszystkie drzwi z zawiasów: w Życie!... Piorunujący — Pasternak istnieje dla wszystkich brzemiennej doświadczeniem nieba. (Burza — to jedy-

ny wydech nieba podobnie jak niebo — to jedyna możliwość bycia burzy: jedyny jej teatr!)

... To nie recenzja: próba wyjścia, żeby się nie zachłysnąć. Jedyny współczesny, na którego nie starczyło mi klatki pierśsiowej.

... Tylko z ufnością, nie oglądając się, z całkowitą pokorą: zniesie lub ocali! Zwykły cud ufności: jak drzewo, pies, dziecko w deszcz! — I nikt nie zechce do siebie strzelać, nikt nie zechce rozstrzeliwać...”

Przykro mi stary  
Nadużywam twojej gościnności i przysparzam kłopotów przy-  
kro mi naprawdę nie chciałem  
Ale muszę i nie mam innego miejsca  
Nie jestem tym kogo ze mnie robią  
Kiedy przyszedł Bill myślałem że pragnie mi pomóc  
Jeżeli nie sprawi ci to różnicy powiedział wolałbym żebyś  
nie przyjeżdżał więcej do Cliveden rozumiesz  
Albo może powiedział wolelibyśmy lady Bronwen i ja żebyś  
nie przyjeżdżał  
W porządku Bill powiedziałem żadnej różnicy  
Dawno przeczuwałem że zdarzy się coś takiego  
Że znajdę się nagle wśród wilków  
Ty wiesz czego po mnie oczekiwali  
Jak w szkole  
W starej głupiej szkolnej konwencji  
Jak wtedy w Canford kiedy stłukli do nieprzytomności moje-  
go sąsiada w sypialni bo chrapał i milczałem wyciągnięty z sze-  
regu oskarżony jako najbliższy sąsiad milczałem nikt się nie  
przyznał ukarany ciągle milczałem  
Po latach pojechałem do Canford czy wierzył pan Sir zapy-  
tałem że wtedy  
Przykro mi odparł na kogoś musiało wypaść jasne było że  
klasa nie zdradzi wypadło na ciebie  
Teraz znowu wypadło na mnie  
Nie jestem tym kogo ze mnie robią  
Złożyli mnie na ołtarzu narodowej hipokryzji i liczą że  
Nie jestem  
Nie jestem  
Wszyscy pytają skąd  
Nie jestem  
Skąd mój wpływ na kobiety  
Kochałem je po prostu  
Może byłem w tym kraju jedynym mężczyzną który

Vicky spotkałem pod daszkiem wystawy sklepowej na Oxford Street pewnej nocy w deszcz zziębniętą i przemoczoną

Podwożę panią

O naprawdę chce mnie pan podwieźć to daleko

Miała piękne usta i potworny akcent przedmieścia

Taxi halo taxi

Może wstąpimy do mnie pani się osuszy i

Halo taxi

Nie jestem tym kogo

Przed kominkiem suszyła włosy rysowałem ją i wtedy pojąłem że będę jej Pigmalionem

Galatea pierwsza z serii którą

Moje nienasycenie

Dlaczego Stephen

Przecież możesz mnie mieć kiedy chcesz i jak chcesz

Kiedy cię mam jestem tylko sobą zanadto sobą nie rozumiesz jakie to straszne nie móc się utożsamić z kobietą którą się kocha im bliżej jest tym bardziej przestaje istnieć odnajduję w tym tylko siebie mężczyznę kobiety nie ma chęć być tą którą kocham czuć to co ona nigdy nie mogłem to męka nienasycenia

Kocham cię co mam zrobić żebyś

Nie wiem daję słowo że nie wiem

Mężczyzna w akcie kocha intensywnego siebie lecz ja

Podczas wojny płynęliśmy do Azji trzystu nas na pokładzie ich trzy tysiące byliśmy jak robaki w mięsie chłopcy piali z zachwytu pod koniec przestali odróżniać ciała wili się drążyli tę ciepłą miazgę szczęśliwi wtedy ogarnęło mnie przerażenie że nie jestem mężczyzną

Nie jestem tym kogo ze mnie

Kiedy zacząłem domyślać się powiedziałem Vicky

Naprawdę chcesz zapytała

Zrobię to jeżeli naprawdę

Była już damą wprowadziłem ją do salonów kiedy otwierała usta nikt nie poznawał że ona

Z każdej z nich uczyniłem damę

To ja zapoznałem Bronwen z Billem

Była wdzięczna i sprawiło jej radość że może mi to

Domek w Cliveden stał pusty w zarośniętym ogrodzie o milę od rezydencji możesz tu zamieszkać powiedział Bill nie wiem Bronwen twierdzi że byłoby ci przyjemnie

Przyjeżdżałeś czasem wiesz jak tam było

To najlepszy okres mojego życia

Dzieciństwa i wczesnej młodości nie

Mój ojciec był pastorem

To więzienie

W Cliveden czułem się wyzwolony

Ten kraj w którym wszyscy wstydzą się swoich pragnień

Wszyscy są na tym tle stuknięci

Nie wiedziałem jak bardzo póki

Ty wiesz stary że ginę nie z tej przyczyny że ja

Lecz dlatego ginę że Bill pewnego wieczoru podejmował  
obiadem ministra i tak się złożyło

Dziecko powiedziałem Christine pływającej w basenie ten  
kostium jest obrzydliwy zdejmę powiedziała zrób to powiedzia-  
łem ze śmiechem

I wtedy właśnie nadszedł Bill ze swym gościem Christine  
w świetle reflektorów tańczyła i podskakiwała na brzegu kiedy  
nadeszli i spłoszona zamiast wskoczyć z powrotem do wody w  
geście trwogi podniosła ręce

Ty bezwstydna dziewczyno dałem jej klapsa rzuciła się do  
ucieczki oni za nią ze śmiechem

Wtem zza krzaków wynurzyła się bardzo wytworna Bronwen

Może przedstawiś mi panią lodowatym tonem zwróciła się do  
mnie

Przedstawiłem Christine wtedy podała jej ręcznik nie ulega  
wątpliwości moja droga że jest pani potrzebny

Schwyciłem spojrzenie ministra za oddalającą się Christine

Od tego się zaczęło

Nie jestem tym kogo

Nie jestem

Ten cudzoziemiec był jednym z moich przyjaciół

Nie wierzę że był szpiegiem

Był czarujący

Nigdy nie obchodziła mnie polityka

Ale przeraziłem się kiedy spostrzegłem że Christine

Gazety

Gratka dla gazet

Zaczęło się

Mandy szalała z zazdrości że Christine

Zaczęła paplać

Moje małe zwierzątka

Wychodząc z sądu nie mieszają się z tłumem żeby nie psuć  
fotografom ujęcia.

Szczęście im Boże uśmiechniętym z okładek zrobią na tym  
kariere szczęście Boże



Kochałem je jak żaden inny mężczyzna  
Nie jestem tym kogo ze mnie robią  
Kiedy minister podał się do dymisji i wyjechał z kraju  
cudzoziemca zaś odwołano z placówki ja  
I kiedy zaczęły nadchodzić te listy  
Wyobrażam sobie pana doktorze Ward w chwili  
Wszyscy są na tym tle stuknięci  
Moje nienasylenie  
Vicky najprawdziwiej mnie rozumiała i kiedy zginęła w  
wypadku samochodowym nie powinienem był może  
To lustro dwustronne było już wcześniej w mieszkaniu  
Nie jestem tym kogo  
Oczekiwali po mnie że tak jak w szkole  
Myślałem  
Z twojej strony to ładnie stary  
Przykro mi tylko  
Nie robię tego ze strachu  
Po prostu nie chcę żeby mnie mieli  
Nie jestem tym  
Zostawiam ci jaguara skrzynię biegów trzeba podregulować  
niech dobrze ci służy  
Nie jestem

Sen, że skończyłem książkę i zaniósłem ją do wydawnictwa,  
sen dziwny i złowrogi, bo cóż mam oprócz niej, skończyć książkę  
to skończyć siebie, jest przymus materiału zmierzającego do jakie-  
goś tam kresu jak przymus ciała, które dąży do śmierci, ale ciało  
nie pyta o zgodę, a książka, łudzę się, że nie zrobi tego wbrew  
mojej woli, a jednak we śnie skończyłem ją i oddałem, i co dziw-  
niejsze, nie czułem przy tym goryczy.

Potem wydawca zaprosił mnie na rozmowę, był przyjazny jak  
dawniej, za naszej wspólnej młodości, nie wspominaliśmy jej  
teraz, choć powiedział: niektóre fragmenty przejęły mnie głę-  
boko, i domyśliłem się, może niesłusznie, że to te fragmenty, w  
których we mnie odczytał siebie, fragment o chłopcu nie roz-  
szczepionym jeszcze na dorosłych i różnych, nieczytelnych jeden  
dla drugiego, siedzących po dwu stronach stołu, kiedy jeden czeka  
na wyrok, a drugi robi pauzę, zanim mówi: nie spodziewałeś się  
chyba, że ją wydamy.

Wyliczył wątki uniemożliwiające wydanie, Borys Pasternak,  
polityka literacka, wreszcie ta mała wojna w kraju, którego nie  
nazwałem, co niczego nie zmieniło, ale ja nie dlatego nie nazwa-  
łem żeby łatwiej przemycić, tylko że odczuwałem niechęć do  
nazywania, nie wszędzie wprawdzie udało mi się uniknąć, ależ

robisz ten unik, powiedział, poprzestając na argumentacji lirycznej, a jako czytelnik, naturalnie, jeśli to ciebie interesuje, interesuje mnie, jako czytelnik łaknąłbym większej dyskursywności, w sytuacjach osadzonych społecznie, na przykład, zawałał się, kiedy usuwają cię z partii, kiedy usuwają mnie z partii, nie pamiętałem żebyś włączył taki epizod, chociaż kompozycja wymagałaby go zapewne, więc gdybym napisał, jak miałbym nie połykając w zawstydzeniu słów ich i moich, towarzyszu, chrząknął przewodniczący, czy zdajecie sobie sprawę, że świat jest podzielony na dwa obozy, towarzysze, wyjąkałem, zatem naszym obozem musi rządzić strach powszechny i odrętwienie, towarzyszu, rozumujecie mechanicznie, argumenty, nie mam argumentów, mój jedyny argument to ja, to co ze mną, napisałem książkę żeby wykrztusić ten argument, gdyby to zależało ode mnie, powiedział wydawca, ale w tej sytuacji, kiwnąłem ze zrozumieniem głową, może za kilka lat, dorzucił, kiedy sytuacja w obozie, a na razie dostaniesz oficjalne pisemko, taka procedura, wiem, powiedziałem, i ciągle nie czułem gniewu ani goryczy.

Ten sen był tak konkretny i szczegółowy, że kiedy notuję go mniej dokładnie niż wciąż pamiętam, ogarniają mnie wątpliwości, czy nie był jawą, ale jeśli był jawą, tym większa ulga, bo oznacza to, że skończenie książki nie jest kresem śmiertelnym, skoro to, co się dzieje później, także do niej należy, i potrafię to wpisać w jej obręb, bliżej początku niż końca, i urwać ręką, gdy za oknem trzepotanie zieleni i firanka obłoku podmuchem wydepta na letnim niebie.

W tym samym tomie, gdzie Cwietajewej zachłyśnięcie się Pasternakiem — wspomnienie pod tytułem „Mój Puszkina”. Pierwsze dziecięce kontakty z legendą poety i z jej odlanym w żelwie wcieleniem — pomnikiem na Twerskim bulwarze w Moskwie. „Puszkina był Murzynom... rosyjski poeta — Murzynom, poeta — Murzynom, i poetę zamordowali.” I zaraz potem, w nawiasie, gwałtowny komentarz z perspektywy nie dziecinnych doświadczeń: „Boże, jak się spełniło! Który poeta spośród minionych i istniejących nie jest Murzynom, i którego poety — nie zamordowali?”

I tyle tutaj, zaś gdzie indziej, w poemacie miłosnym (Praga 1924), raptowne stwierdzenie:

„W siom christianniejszem iz mirow  
Poety — żydy!”

Żydostwo poetów, murzyństwo poetów, rozdzierająca obcość, odmienność (biała, jasna, rosyjska, z domieszką parę pokoleń wstecz krwi niemieckiej i polskiej), odtrącenie, skazanie, fatal-

ność Dantesowej kuli zabijającej Murzyna, błękitnookiego Murzyna, to szło za nią przez całe życie, przez młodość, przez miłość, przez macierzyństwo, aż dopadło w tej osadzie wśród śniegów, chyba nie była zdziwiona, była na to przygotowana.

A Pasternak, w którego poezji nie ma takich motywów, odwrotnie — ciągle powraca poczucie pokrewieństwa „z wszystkim, co jest i będzie potem”, Pasternak u schyłku życia oplwany, napiętnowany, wyzuty, pod pręgierzem, na ustach głupców i szczwaczy, co czuł Pasternak, czy wierzył też w prawo murzyńskich losów i polowania z nagonką, i śmierci na białym polu, czy przed śmiercią sięgnął jeszcze raz po tę książkę, była wiosna jak wtedy gdy odwiedziliśmy go z Jaromirem, maj rozpierał się za oknami, bujnie kwitła czeremcha.

Z notatnika: motyw obcego w utworach i życiorysach pisarzy rosyjskich opatrzony był znakiem dodatnim.

Obcy — to człowiek wolny, nie podległy przytłaczającej rutynie, wnoszący w skostniałość zastanego układu pierwiastek życiodajnej destrukcji.

To Cygan Puszkina, Bułgar Turgieniewa, a jeśli Rosjanin — to ginący na barykadach Paryża.

Jedynie u Dostojewskiego „Polaczek” — to szalbierz, szuler, niebieski ptak.

Dostojewski nie znosi obcych, bo wstrętne mu jest nowinkarstwo okcydentalistów, zbawienia szuka w niezmienności rodzimej gleby, stałości, nienaruszeniu obyczaju i wiary.

Sam jednakże jest obcy: wierzy zbyt płomiennie, boleśnie, budzi grozę i ociera się o herezję.

Konserwatyzm neofity, człowieka niewiadomej proweniencji każe podejrzewać tłumioną tęsknotę za rewolucją.

Kult obcego w romantyzmie europejskim.

Niezrozumiany, skłócony, żegnający ojczyste brzegi.

W Polsce — Mickiewicz zwiastujący przyszłego Mesjasza narodowego: „... z obcej matki, krew jego dawne bohaterzy...”

Doktor Judym jest obcy przez pochodzenie społeczne, Cezary Baryka — przez wychowanie daleko od kraju i doświadczenie tam kataklizmów, jakich kraj jeszcze nie przeczuwa; dzięki tej obcości jeden i drugi ostrzej odbiera degradację moralną „Cisów” czy „Nawłoci” i podejmuje z nimi walkę.

Conrad, obcy z urodzenia, pisarz brytyjski z wyboru, ze swoją zdumiewającą ówczesnych władców Imperium problematyką straconych posterunków, samobójczych rozstrzygnięć w imię wierności sobie, ze swoim przeraźliwym „jądrem ciemności”.

Osaczenie Kafki, nonkonformizm obyczajowy Joyce'a, bani-cja Tomasza Manna.

Lecz gdzieś na drugim planie — stale! — ta inna literatura, której bohaterem pozytywnym musi być „swój”, dzielny Anglosas (jeśli piszą to Anglosasi), szczerzy Słowianin, prawdziwy syn Francji etc., „obcy” zaś, odmieniec, przybłąda — to uosobienie jakichś mocy dwuznacznych lub wręcz złowrogich.

Stanley Kowalski w „Tramwaju zwanym pożądaniem” — niezrównoważony, niebezpieczny, nie do przyjęcia.

W polskiej powieści politycznej sprzed lat paru całą sympatię skoncentrowano wokół ludzi o rdzennych, zgrzebnych nazwiskach, jak Zimnoch, Cieloch, Maśloch, zaś czarny typ nazywa się Melek Tumin.

Może tu nawet nie być intencji naznaczenia niemiłej postaci symptomem obcości, stereotyp funkcjonuje niekiedy automatycznie.

Skoro jednak rozbrzmiewają donośne rogi nagonki, ową tępą wizję szczwacze mają na podorędziu.

Nie tylko Cwietajewa i Pasternak, także Majakowski. W swoich niedawno ogłoszonych wspomnieniach Katajew pisze, jak poruszyła go nagle „prosta myśl, domysł, niejedno tłumaczący w charakterze Majakowskiego, w jego twórczości. W gruncie rzeczy był on człowiekiem z innego kraju, południowcem, przybyszem. I dotychczas w żaden sposób nie potrafił się aklimatyzować. Zamorski strus”. Katajew cytuje wiersz Majakowskiego „Rosja”:

„Wot idu ja, zamorskij straus... Ja nie twój, sniegowaja urodina. Głubże w pierja, dusza, ułoiś! I inaja okazetsia rodina, wiżu — wyżżena jużnaja żiżń... Cztoż, bieri mienia chwatkoj miorzkoj! Britwoj wietra piera obriej. Pust' iszczeznu, czużoż i zamorskij, pod nieistowstwa wsiech diekabriej.”

Obcy i zamorski, ze zdumieniem i nagłym zrozumieniem powtarza Katajew, obcy i zamorski, w każdej chwili gotowy zniknąć, szczeznąć, dać się unicestwić przez mroźne grudnie ob-czynny.

Obcość przyrody, klimatu, temperamentu — czy tylko?

Dramat nieprzystosowania fizycznego — czy większy jeszcze dramat wrażliwości wewnętrznej, obcej grubym rysom tego, z czym namiętnie usiłował się zjednoczyć, wrażliwości własnoręcznie dławionej, gwałczonej, zagłuszanej — z coraz większą męką — i w końcu daremnie?

Nie chciał być obcy i zamorski — chciał być swój, tutejszy, ufał że to się uda.



Mój defekt fizyczny, moja ułomność od urodzenia. Po raz pierwszy zoperowano mi stopy, kiedy miałem kilka miesięcy. Po następnych nieudanych operacjach matka zawiozła czteroletniego do Wiednia. Wiedeń — to wielka biała sala, gdzie leżą, najmłodszy z dzieci, i nie rozumiem ich mowy, sam na sam ze swoim bólem i nudą, godzinami ukołysując się rytmiczną konstatacją: „bólą nogi, nogi bolą”, co z czasem zamienia się w dziwniejsze: „nolą bogi, bogi nolą” — zakłęcie wypełniające pustkę istnienia i chyba kojące ból, może także pierwszy załazek poetyckiego bełkotu, którego rozwinięciem jedynie będą wszystkie zawiłe monologi przyszłości. Lato w buciorach z gipsu, ich ołowiany ciężar na ścieżkach ogrodu, wreszcie zdzieranie białych płatów gipsowych jak kory z drzewa, to moje nogi są pieńkami ogołocanymi z kory, cienkie, białe i słabe, pierwszy krok, drugi, ból wraca, usiąść z kolanami pod brodą, w tej pozycji odpoczywają, postawić je znowu na ziemi, iść coraz prędzej, pobiec, nie wolno ci biegać, musisz uważać, masz serce osłabione narkozą, lecz nie jestem posłuszny, ścigam się sam ze sobą, nie ma już we mnie tamtej szpitalnej melodii, jest pęd do utraty tchu, do łomotu serca, jestem szczęśliwy, jestem taki jak wszyscy, buciuki z wkładkami ortopedycznymi to drobiazg. Nie jestem taki jak wszyscy. Sześćcioletni, wyruszam do szkoły, i tu, w jakiejś zwadzie chłopięcej, padają słowa: nie narywaj się, bo sprężynki ci z nóg wyskoczą. Robi mi się gorąco, jakie znowu sprężynki, nie mam żadnych sprężynek, ale mój przeciwnik czeka ze złośliwym uśmiechem, rzucam się więc na niego i już tarzamy się, nienawistnie szczepieni, po korytarzu, duszę go, łamiesz, on mnie także, jest silniejszy, ale moja determinacja przewyższa jego siłę, odnoszę zwycięstwo w chwili gdy brak mi już tchu, wróg rejteruje z płaczem, mnie też ciekną łzy po policzkach, choć zwyciężyłem. Odtąd pierwszy szukam zaczepki, biję i zbieram ciosy, zaczyna mnie otaczać skandaliczna sława zabijaki, szkolnego chuligana, szanują mnie, mam już drobnych pochlebców, a kierownik wzywa rodziców, nie rozumiem, mówi, zdawałoby się, inteligentne dziecko, dobry uczeń, a jednocześnie. Nadal jednak przeżywam upokorzenia, terenem ich są lekcje gimnastyki, nie potrafię przejść po równoważni, biec mogę tylko na krótki dystans, po czym beznadziejnie zostaję w tyle, nie jestem mocny również w grach ruchowych, które wymagają szybkiej zmiany pozycji. Nikt mi już nie dokucza, wywalczyłem sobie uznanie, ale wiem, że nigdy nie będę taki jak oni, nie wykrzeszę w sobie pasji do zabaw i sportów, w których nie mogę się spodziewać sukcesu, może dlatego uciekam do książek, codziennie zmieniam je w wypożyczalni, wyczytałem już wszystkie

powieści, zabieram się do poezji, wraz z nie całkiem zrozumiałą treścią wzruszają mnie nastroje i dźwięki, na stacji Chandra Unyńska, gdzieś w mordobijskim powiecie, telegrafista Piotr Płaksin nie umiał grać na klarncie, i któregoś dnia sam zaczął pisać, ja zaczęłam czy moja ułomność, inność, odtrącenie, ale od tej chwili inność pogłębia się, muszę ją ukrywać, to łatwiejsze do zatajenia niż defekt fizyczny, wcale nie łatwiejsze, bo w inności jest też pycha, której nie ma w tamtej, pycha żąda ujawnienia, wywyższenia się innością odświętną nad tym, co poniżej inność powszednią, pycha i wstyd walczą we mnie bez przerwy, mimo wszystko wstyd bierze górę, ukrywam swoje dziwne zajęcia, nie chcę wyniesienia, w którym tkwi odtrącenie.

Z protokołu narady kierownictwa partii „Ittihad we Terakki” (młodoturków) na początku roku 1915:

„Doktor Nazym”. Trzeba działać szybko i zdecydowanie. Ormianie są niebezpieczni jak ropny wrzód... Jeżeli poprzestają na ich częściowym wytępieniu, jak to było w roku 1909 w Adanie i innych rejonach, to zamiast pożytku przyniesie to tylko szkodę ... Naród ormiański należy wykorzenić do szczytu, aby nie ocalał na naszej ziemi ani jeden Ormianin i zapomniane zostało to imię. Obecnie toczy się wojna, tak dogodna okazja więcej się nie nadarzy. Interwencje wielkich mocarstw i hałaśliwe protesty prasy światowej pozostaną niezauważone, a jeśli świat dowie się o tym, stanie przed aktem dokonanym i tym samym kwestia będzie wyczerpana. Tym razem działania nasze muszą doprowadzić do totalnego wytępienia Ormian; niezbędnym jest wybicie ich co do nogi.

Być może, niektórzy z was uznają to za bestialstwo, zapytają: czym grożą nam starcy, dzieci i kaleki, że należy ich unicestwić?... Proszę was, panowie, nie bądźcie tacy łagodni i litościwi, to niebezpieczna choroba. Obecnie toczy się wojna. Zapytuję was, czy wojna nie jest barbarzyństwem? Okrucieństwo — to prawo przyrody, uznać je lub odrzucić można jedynie teoretycznie. Czyż żywe istoty, nawet rośliny, nie żyją pożerając się i unicestwiając wzajemnie? Może ktoś powie: trzeba im tego zabronić, to barbarzyństwo!

*Hasan Fehmi.* Tak, mój panie, mnie też nie jest obca ta teoria pożerania słabego przez silnego, znana w biologii.

*Doktor Nazym.* ... Pragnę, żeby na ziemi tej żył i niepodzielnie panował Turek i tylko Turek. Niech zginą wszelkie elementy nietureckie, do jakiegokolwiek należą religii i narodowości...

*Doktor Szakir.* My, rewolucjoniści, budując w imię narodu tureckiego Państwo Osmańskie na fundamentach nacjonalizmu, ustanowiliśmy rzeczywistą władzę Ittihad. W swojej kulturze narodowej możemy zaakceptować jedynie owocowanie tureckiego nasienia. Mamy obowiązek oczyszczenia naszej ojczyzny od narodów innej krwi, wytępienia ich jak chwastów. To cel i dewiza naszej rewolucji...

*Hasan Fehmi.* ... Przyszedł mi na myśl łatwy sposób eksterminacji... Wszystkich Ormian zdolnych do noszenia broni pošlemy na pierwszą linię frontu, a z tyłu otworzymy ogień przy pomocy specjalnie do tego przeznaczonych sił i wszystkich zniszczymy. Pozostałych w domu inwalidów, kobiety i dzieci, zgodnie z rozkazami, w mig zlikwidują nasi prawowierni, zagarną ich dobytek i zabiorą dziewczęta...

*Enwer Pasza.* Opracowanie sposobów likwidacji należy do specjalnie powołanego organu.

Na propozycję Talaata Paszy zebrano i obliczono głosy. Rezultaty wykazały, że wszyscy obecni jednogłośnie uchwalili całkowite unicestwienie wszystkich Ormian, co do jednego."

Bezradność Marty: była z synem na filmie dokumentalnym, wyszła z ciemnej sali przejęta, po chwili popatrzyła na chłopca, ze złością wydymał wargi, nie odważyła się zapytać, sam wybuchnął, to świństwo, ale co mianowicie, już się czuła winowajczynią, stał nad nią, jej wysoki i jasny sędzia, z pomarańczowym kółkiem na swetrze, make love not war, spłoszona szukała błędu w sobie i w filmie, dlaczego mam w to wierzyć, powiedział ponuro, coś mi tam pokazują i dodają, że Goebbels, skąd mam wiedzieć, czy Goebbels, może pan reżyser wszystko wymyślił, zapewniam cię, wyjąkała bezradnie, że tak było, no rozumie się, wy wszystko wiecie, wszystko pamiętacie, i zależy wam, kiedy zaczyna do mnie przemawiać w liczbie mnogiej, powiedziała później Marta, czuję się jak, daję słowo, przysięgłam się z reżyserem, żeby coś tam wmówić biednym gówniarzom, kiedy zależy nam, powiedziałem, naprawdę zależy nam żeby, a oni woła, tak się cieszyłam, powiedziała Marta odwracając oczy, że mój duży syn poszedł ze mną do kina, cieszyłam się, że siedzi koło mnie i razem na to patrzymy.

Ich nieufność nie jest niedobra, przekonywałem Martę, ale zanim jeszcze ze stopnia odjeżdżającego autobusu skinęła do mnie dłonią z zaciśniętą w niej rękawiczką, przypomniałem sobie epizod, przytoczony w książce o ściganiu zbrodni wojennych.

Jesienią 1958 roku w jednym z teatrów austriackich wystawiono sztukę opartą na pamiętniku piętnastoletniej dziewczynki z Amsterdamu, która po dwóch latach ukrywania się na strychu została zabrana do obozu i zginęła.

Na premierze młodzież szkolna manifestowała przeciwko sztuce; doszło do awantur i interwencji policji; przedstawienie przerwano.

W teatrze i poza jego murami rozpowszechniano ulotkę następującej treści: „Ta sztuka jest fałszerstwem. Anna Frank nigdy nie istniała. Żydzi sfabrykowali całą historię żeby wyduścić wyższe odszkodowania. Nie wiercie ani jednemu słowu. Wszystko to jest wymysłem.”

Autor relacji rozmawiał z młodocianymi uczestnikami zajęć. Powtarzali uparcie: nie ma żadnego dowodu, że ona istniała. Pamiętnik to falsyfikat. Świadeństwo ojca, jedyne ocalałego z rodziny? Ależ tak, wiemy, jak to się robi. A gdyby został znaleziony gestapowiec, który aresztował Annę Frank? Dłuższa chwila wahania. No tak, może, gdyby ten człowiek.

Następuje historia znalezienia gestapowca Silberbauera, jego przyznania się i uniknięcia przezeń kary.

Autor nie wspomina, czy zetknął się jeszcze z tamtymi chłopcami i czy sprawa Silberbauera skłoniła ich w końcu do uwierzenia w męczeństwo i śmierć dziewczynki z Amsterdamu.

Zwraca uwagę na coś innego: to byli zwyczajni chłopcy, ci uczniowie gimnazjum w Linzu. Pomysł, że Anna Frank nie istniała, podsunął im ktoś dorosły. Ktoś dorosły wetknął im w rękę ulotki.

Działali zatem w dobrej wierze? dobrej niewierze? złej niewierze, każącej ulec złej wierze innych? Byli pełni, jak ich rówieśnicy wszędzie w owych latach i zwłaszcza w latach późniejszych, gwałtownego zapału na nie. Odmawiając zaufania, nie zdawali sobie sprawy, że k o g o s ь darzą ufnością.

To, co w opowiadaniach Tadeusza najpierw uważano za cynizm i amoralność, a potem, dążąc do usprawiedliwienia go, za chwyt literacki: wcielenie się w postać obozowego spryciarza, doświadczonego häftlinga, który nade wszystko chce przeżyć, chce być bezpieczny i syty, i postępując zgodnie z tym celem wysila całą swoją inteligencję, całą zdolność przystosowania, całą wreszcie brutalność i nieczułość, gotowość życia wbrew śmierci innych, więcej, cieszenia się życiem, satysfakcji, rozkoszy — wszystko to jest gestem solidarności człowieczej.

Jest odmową potępienia człowieka, który chce żyć.

Konstrukcja narratora w opowiadaniach Tadeusza znaczy:



taki jest człowiek i takiego przyjmuję, jestem jak każdy, nie przekraczam granicy możliwości człowieka w żadnym kierunku.

Kapo, morderca współwięźniów, przekracza granicę.

Ale przekracza ją również święty.

Doświadczenie dna nie zna świętości.

Świętość nie jest solidarnością z człowiekiem, jest jego potępieniem, wytknięciem mu duchowego kalectwa, litościwą pogardą dla małuczkiego.

Tadeusz w zjadliwym pamflecie wyszydził pisarkę, której wspomnienia obozowe technęły świętością.

Dopatrywał się w nich teńhórzostwa i zakłamania.

Jego decyzją było dźwignięcie prawdy, jaką znał, nie wypieranie się w sobie człowieka zredukowanego przez sytuację krańcową do jednego odruchu.

Raczej wyparcie się tego, co wykracza poza odruch obronny egzystencji fizycznej, co ludzkość narzuciła sobie jako wartość kulturową, etyczną, sentymentalną.

Tego, co istniało w biografii Tadeusza, ale czemu nie przyznał racji istnienia w sztuce.

Decyzja Tadeusza była heroiczna, ponieważ jego gest solidarności nie mógł zostać przyjęty: człowiek ocalony nie chce prawdy o człowieku zagrożonym, chce pociechy i zapomnienia.

Tadeusz pozostał samotny na pustym placu apelowym, z którego zbiegli współwięźniowie i kandydaci na więźniów.

Pozostał obcy.

Być może, w głębi sam tęsknił za łatwiejszym wariantem sojuszu z człowiekiem, za zgodą nie tylko na gołego, ale i na strojącego się w piórko, i przymierzał się do tego wariantu, rozdawał się, porzucał siebie w pasiaku i mieszał się z tłumem garniturów w jodełkę, i nieufnie spoglądał w stronę porzuconego.

Samotność rosła, chociaż przestano go już oskarżać o cynizm, uznano talent i doradzano jedynie zmianę tematu.

Na tę propozycję przystał.

Zdziwiłem się, spotkawszy Aleksandra w barze dworcowym, z kuflem piwa, oparty o wysoki zalany blat, wodził wzrokiem dokoła jakby w oczekiwaniu zaczepki, wpadłem tu żeby się rozgrzać, pociąg, którym Grażyna wracała z Zakopanego, miał już trzy godziny spóźnienia, na peronie był mróz i wiatr, co tu robisz, spytałem, także czekasz na pociąg.

Na jaki pociąg, wzruszył ramionami, nie czekam na żaden pociąg, na jaki pociąg ja mogę czekać, słyszałeś, co o mnie

mówią, ale spokojna głowa, nie wsiądę do tego pociągu, tak tylko chodzę, tu i gdzie indziej, wchodzę i wychodzę, nic nie robię, tylko chodzę po mieście.

Zrobiło mi się nieswojo, pożałowałem, że do niego podszedłem, to już było trzecie dziwne spotkanie tego dnia, od paru tygodni nie ruszałem się z domu, a tu naraz jedno po drugim, i w żadnej z trzech sytuacji nie potrafiłem się odpowiednio zachować, obijasz się, zażartowałem niezręcznie, a twoja rzeźba, nie szkoda ci czasu, nie jesteśmy tacy młodzi na łożenie bez celu.

Mam kupę czasu, powiedział, stoję goły pośrodku miasta, więc mam kupę czasu.

Nic nie odpowiedziałem, a on pociągnął mnie naraz za rękaw, popatrz na tego faceta w kącie, bez przerwy gapi się na nas, rozumiesz, co to znaczy, zwróciłem wzrok we wskazanym przez Aleksandra kierunku, stał tam młody mężczyzna nieogolony i zmięty, rzeczywiście spoglądał na nas, cały tułów miał przechylony do przodu i nawet zrobił parę niepewnych kroków, jakby chciał się zbliżyć i coś powiedzieć, zatrzymał się jednak, ciągle nie odwracając twarzy, po której błąkał się przyjazny i zakłopotany uśmieszek, zdawało mi się, że znam skądś tę twarz, lecz nie mogłem sobie przypomnieć.

Chodźmy stąd, powiedziałem, Aleksander jednak pokręcił głową, nie, trzeba czekać na to, co ma nastąpić, będziesz świadkiem, nie nie nastąpi, zaprzeczyłem, zobaczysz, upierał się, nie wolno odchodzić, to by było przyznaniem racji. Moja żona mówi: trzeba uciekać, trzeba znowu uciekać. Więc co? Naprawdę jestem liściem, przywianym tutaj przypadkiem, i byle podmuch, byle rozprysk wzburzonego rynsztoka, byle charknięcie ma mnie unieść i zakołować w powietrzu i.

Uspokój się.

Są już tacy, co widzieli mój bilet, powiedział, pewnie słyszałeś.

W głośnikach zachrobotało i nosowy głos kobiecy oznajmił, że spóźniony pociąg z Krynicy i Zakopanego wjedzie za chwilę na tor przy peronie piątym.

Muszę już iść, powiedziałem, moja córka, rozumiesz.

Idź, machnął ręką, idź, odejdz, twoja córka wraca z wcześniejszych zimowych, mam nadzieję, że się dobrze bawiła, idź, oczywiście.

Przechodząc przez poczekalnię, zobaczyłem znowu tamtego mężczyznę, bynajmniej nie śledził Aleksandra, szedł za mną, wzrok nasz spotkał się i na jego nieogolonej twarzy znowu ukazał się ten przyjazny i zakłopotany uśmiech, i znowu odnio-

stem wrażenie, że go znam, przez chwilę odruchowo chciałem zatrzymać się i podać mu rękę, uświadomiłem sobie jednak, że pociąg już wjeżdża na stację, więc przyspieszyłem kroku i pozostawiłem go w tyle.

Daremnie rozglądałem się wśród pasażerów, hałaśliwych, opalonych, obładowanych nartami i plecakami, przeważnie bardzo młodych (był ostatni dzień ferii zimowych i nazajutrz zaczynała się szkoła), rozglądałem się, lecz Grażyny nigdzie nie było. Rozpoznawałem mnóstwo znajomych, ze swoim wyższym o głowę synem przeszedł Jan (to z nim właśnie miałem parę godzin wcześniej jedno z moich dziwnych dzisiejszych spotkań), rozmawiali z ożywieniem i pomyślałem, że sprawa pomiędzy nimi nie wygląda tak źle, jak mi to był niedawno przedstawił, objuczony walizami Teodor posuwał się godnie za swoją śliczną żoną w białym kożusku, śmiejąc się i pokrzykując przeciwną grupą młodzieży, którą widywałem chyba na pokazach filmowych, a może gdzie indziej, śródmieście Warszawy nie jest takie duże, by ładne dziewczęta i chłopcy nie rzucali się w oczy, a Grażyny ciągle nie było i zdenerwowanie moje wzrastało.

Peron prawie już opustoszał, kiedy stanął przede mną młody człowiek w zsuniętej na tył głowy degolówce, uśmiechnął się grzecznie, co złamała, zapytałem spokojnie, rękę, nogę, może jedno i drugie?

Co też pan, roześmiał się, wszystko gra, po prostu przedłużyła sobie trochę wakacje, ma przody: towarzyszo, śnieg i w ogóle, chwyta pan, cztery dni do niedzieli, to wszystko.

Chwytam, powiedziałem, a może mnie pan oświeci, kto jej to finansuje.

Ona jest z Magdą, wyjaśnił, u Magdy cioci, jak gdybym musiał wiedzieć, kto to jest Magda i jej wspaniałomyślna krewniaczka, a co do pieniędzy na resztę, kontynuował, spodziewa się, że pan wyśle telegraficznie, co mówiąc wręczył mi karteluszek z nabazgranym adresem.

Schowałem świstek do kieszeni, tak, powiedziałem, rozumiem, a może się jeszcze dowiem, z kim mam przyjemność, nazywam się Jacek, wyjaśnił jakby ze zdziwieniem, nie pamiętałem, czy w fabułach Grażyny padło takie imię, pan jest chyba dużo starszy od niej, indagowałem dalej w pełnym poczuciu zbędności tej konwersacji, czym się pan zajmuje, jestem na trzecim roku elektroniki, ale Dżina, wie pan, jest szalenie inteligentna, serio, zdziwiłem się, serio, no to lecę, wszystko przekazałem jak trzeba, do widzenia, skinąłem głową, rzeczywiście wszystko jak trzeba, dziękuję panu, gotowało się we mnie,

pomyślałem, że teraz jeszcze telefon do Joanny, a potem chyba na wódkę, ale z kim, do domu nie ma co wracać, słowa dziś nie napiszę, stanąłem w długiej kolejce do taksówek, i tu podszedł do mnie ten mężczyzna z poczekalni dworcowej, no tak, dzień się jeszcze nie skończył.

To się zaczęło rano i może lepiej, że tego dnia właśnie, a nie rozłożone na kilka innych, bo skoro i tak musiało, a musiało z całą pewnością, za długo tego spokoju, powolnego rozpamiętywania, wchodzenia w siebie, odtwarzania dawnego siebie i tamtych wszystkich z przeszłości, notowanie refleksji z lektur, uogólnień, hipotez, kierowania wątkami książki, splatania i rozplatania, bez pośpiechu, lecz z coraz większą nadzieją, że ona będzie, że rozwikłam ją w sobie i na papierze, więc musiało w nią wtargnąć, w jej prawdę, która wbrew największym wysiłkom nie jest prawdą kompletną, wtargnąć, wepchnąć się, wydrwić, podważyć, swym powszednim absurdem, niepozorowanym szaleństwem, bezwyjściowością, bezsilnością człowieka naprzeciw drugiego człowieka, a więc tym, czym zaczęło się rano, monologiem rozczochranej kobiety, miętoszącej w dłoniach jakiś pakiet bezkształtny, na stojąco, w przedpokoju, przede mną zbudzonym ze snu, monologiem nieznamomej kobiety, mniej więcej takim :

Panie pisarzu, prawda, że pan jest pisarzem, ja słyszałam nazwisko, właściwie lepiej wiem o innym panu pisarzu, ale jego nie było w domu, więc przychodzę do pana, niech pan ratuje, już pisałam do Rady Państwa, odpisali, że przekazane do sądu, ale z sądu nic nie nadeszło, chyba tylko pan nam pomoże, bo pan wie, to jest wszystko nad nami, nie za ścianą, pan myślał, że za ścianą, żeby za ścianą, może by się dało wytrzymać, ale nad nami, jak to można wytrzymać, kiedy nad nami, nieraz już myśleliśmy, że koniec a tu znowu, cały dzień i potem po środku nocy, nad nami, próbowaliśmy mu przetłumaczyć, to nie może być, żeby sam, z własnej chęci, jemu kazali, pan rozumie, myślą się nas pozbyć, a dokąd, chyba skoczyć do rzeki, mój mąż poszedł do komitetu, on jest partyjny, ja tak samo wstąpiłam, wie pan, co powiedzieli, że nie mają wpływu na bezpartyjnych, to co robić, jeśli nawet partia nie może, niech pan powie, panie pisarzu, pan też nie może, chyba pan nie chce, pan się boi, że panu zrobią tak samo, ja myślałam, że pan się zgodzi, może pan mi nie wierzy, tutaj mam to wszystko spisane, dzień po dniu, noc po nocy, przez wszystkie lata, i o której godzinie, i z jaką siłą, notowałem bo może się przydać, prawda, jak już wszystko się skończy, przecież jakoś musi się skończyć, tylko boję się



przechowywać, bo jak znajdą mogą się gniewać, że tak wszystko spisałam, może pan mi chociaż przechowa, nie? pan nie chce? myślałam, że pan się zgodzi, to już pójdę, niech pan powie tylko, do kogo, dokąd pan by się zwrócił, jakby nad panem, ja nie życzę, broń Boże, ale jakby nad panem taki hałas, taki hałas, dzień i noc taki hałas.

I to mój pierwszy upadek tego poranka, i przecież to on podciął mi nogi, nie treść monologu nieznanym kobiecie, nie przygnębienie jej męką i bezsilne współczucie, chociaż wszystko to było, ale wstyd, że nie przyjąłem pakietu, że to przemożne, co odezwało się we mnie, kiedy słuchałem, to był lęk przed podrzuceniem mi czegoś niewiadomego, przed podstępem, przed zachowaniem w domu czegoś, co obróci się przeciwko mnie, po co przyjdą inni, aby znaleźć to i mnie zniszczyć, po co, dlaczego, nie nadałem temu imienia, ale rosło to we mnie w trakcie całej jej opowieści, a zaledwie drzwi się za nią zamknęły, szarpnęło wstydem i wstrętem, że jak mogłem, że choćby nawet, że mój lęk i odmowa, do której zresztą nie doszło, sama powiedziała: nie? pan nie chce? a ja tylko nie zaprzeczyłem, nie wyciągnąłem ręki po pakiet, nie zatrzymałem jej, wychodzącej, lecz to była odmowa, i lęk, nie pomoże nazwanie go ostrożnością niezbędną, że ten lęk zatem i odmowa niszczą mnie, moją książkę, moje wszystko, stokroć skuteczniej, niż cokolwiek, co stać by się mogło, gdyby nawet owa kobieta była naprawdę kim innym niż się podawała, i gdyby z nią zjawić się mieli jeszcze inni, wszak z tamtego zniszczenia mógłbym się dźwignąć, z tego, chciałem rzucić się za kobietą, tak jak stałem, w szlafroku, i tu zaterkotał telefon, to dzwoniła Joanna, żebym poszedł na dworzec, bo Grażyna przyjeżdża z Zakopanego.

I teraz z mściwą satysfakcją przyjmowałem już wszystko, co waliło się na mnie, rozdrabniało, kawałkowało, odpychało od książki, brzydziło, dobrze mi tak, powtarzałem z triumfem, za wysokie regiony, za malownicze udręki, hałas, hałas nad głową, hałas bez ratunku i sensu, nie ma nic prócz hałasu, albo to najwyżej, co Jan, na pokrytym śniegiem peronie, z przekrwionymi oczyma, przyciągając mnie za kłapy do siebie, mocno trzymając, w twarz przekisłym oddechem alkoholowym, za co, powiedz, za co, dlaczego, już z niejednym się pogodziłem, ale kiedy powiedział matce: jak mi nie dasz, będę sam wyciągał z kieszeni, straszysz, powiedziałem jeszcze spokojnie, zaśmiał się na to, przeczytajcie podręcznik psychologii, powiedział, ja czytałem, dzieciom trzeba dawać pieniądze, skoro nie chce się, żeby

kradły, wtedy nie wytrzymałem i palnąłem go w głowę, rozumiesz, całe życie nie tknąłem, a teraz, słabo zresztą, na to on się osuwa, sztywnieje, zamyka oczy, robi trupa, matka w płacz, a on leży, symulant, i czeka, czy już dostatecznie wystraszył, chlusnąłem wodą, wstał, otrząsnął się, idioto, mówię, w wojsku też będziesz robił takie numery, za pięć miesięcy matura, nie zdasz i do woja, nie wtrącajcie się do mnie, tylko dawajcie, co się należy, jak mamy się nie wtrącać, to nic ci się nie należy, ciekaw jestem, mówi, co mi zrobicie, mam metr osiemdziesiąt trzy i siedemdziesiąt pięć kilo, nam to mówisz, główniarzu, rodzicom, a komu, pyta, przecież nie kapralowi, no, dajecie czy nie, bo mi się śpieszy, i tu przerwał Janowi, po raz pierwszy mnie wybawiając, bełkot dworcowego głośnika, puścił moje klapy, chodź na jednego, zaproponował nagle uspokojony, mamy dużo czasu, wymówiłem się, głowa mi pękała, a w piersi sadowiło się to znajome, dopiero w kilka godzin później stojąc w kolejce do taksówek, pomyślałem, że trzeba było się zgodzić, niechętnie pijałem z Janem, robił się zbyt wylewny i natarciwy, ale teraz poszedłbym na wódkę z kimkolwiek, była zaledwie pierwsza po południu i zastanawiałem się, gdzie mam szukać kompana, i w tej właśnie chwili podszedł do mnie ten mężczyzna z poczekalni dworcowej, wiedziałem już, skąd się wzięło wrażenie, że go znam, był podobny do aktora filmowego z tuż powojennych obrazów, ale to nie był on, tamten dawno się zestarzał i roztył, a ten mógł mieć najwyżej trzydziestkę, wal, bracie, pomyślałem, włączaj gramofon.

Czwarta płyta, czy nie pomyliłem się w numeracji, tak, chyba czwarta, pan pozwoli, zapytał niepewnie, bo widzi pan, nie do każdego mam śmiałość, rozumiem przecież, że się mogą mnie wstydić, tak wyglądam, bez rękawiczek i w ogóle, a do pana od razu jakoś, jeszcze tam w poczekalni, ale jeśli pan także, proszę powiedzieć, stanę sobie na boku, i tak czekam już z dziesięć minut, mogę jeszcze, boję się tylko, że Halinka mnie nie odnajdzie jak po mnie wróci, tak nagle jakoś wsiadła do tej taksówki i nie zostawiła adresu, pojechałbym sam, ale jeszcze się rozmińniemy, jak pan myśli, najgorsze że nie mam adresu i nie wiem, gdzie się to wszystko odbywa, co odbywa, wtrąciłem, no ten zjazd rodzinny, ta uroczystość, i jeszcze chciałem pana zapytać, z jakiej to właściwie okazji, bo Halinka nic mi nie powiedziała, tak odjechała bez słowa, pewnie uważała, że jestem poinformowany, a mnie nikt nic, widzę przecież, że wszyscy wiedzą, tyłu nas się zjechało, ten z nartami to także kuzyn? i ten z kuflem, i ten, co przedtem, obserwuję sobie i myślę, taka duża rodzina,

co to będzie, czy aby starczy widelców, ale w tym już nie moja głowa, prawda, byle nie zrobić wstydu, ja wiem, powinien bym się ogolić, tu na dworcu jest zakład, widziałem, ale jakby Halinka nadjechała akurat i mnie nie znalazła, nie wolno ryzykować, pan mnie rozumie, może lepiej niech pan do niej podjedzie i przypomni, że czekam, ale dokąd, to już pan wie lepiej ode mnie, kolejka się posunęła tymczasem, następna taksówka moja, wsiadaj pan, powiedziałem zrezygnowany i niepewny, czy go przyjmą na pogotowiu, a nie, dziękuję, rozminąłbym się z Halinką, niech pan powie, że czekam już dziesięć minut, to do zobaczenia na zjeździe, zatrzasnąłem drzwiczki taksówki, dokąd, do tej knajpy w Alejach, przed mostem, robi się, szefie.

Żyje się raz, żyje się raz, żyje się tylko raz.

To ja mu mówię, to on mnie mówi, to ja na to, a on, to ja jemu, coś ty, z choinki.

KONSUMENTÓW ZAMAWIAJĄCYCH KONSUMPCJĘ  
BEZ NAPOI ALKOHOŁOWYCH OBSŁUGUJE SIĘ W  
PIERWSZEJ KOLEJNOŚCI

Wodzu, dzwonko śledzia i koniak!

Radziecki trzy gwiazdki, Courvoisier?

Kurwa zje, kurwa wypije, wsio ryba.

Jolka, nie wyrażaj się, jezdeś w aligańskim lokalu.

A pan jesteś margines społeczny, ja się panem nie interesuję, paniatno?

Żyje się raz, żyje się raz, żyje się tylko raz.

Fortuna kołem się toczy, obywatele, kołem, o tak.

Pst, panie Zdzisiu!

No aresztuj mnie pan, no już, o co chodzi, aresztuj.

Na cześć uwielbianego kierownika: W co się bawić, szlagier sezonu.

Co mi pan tak dyndasz za uchem? Fruwaj, pijaku drobny.

Bo nasza budowa jest wiodąca.

Nie bądź zły, kotuś (zdarł szpilki na moich kolanach i pończochy z puszczonego oczkiem), tylko trochę się rozprostuj.

Żyje się raz, żyje się raz, żyje się tylko raz.

I o brzasku, bez kapelusza, na mrozie, zaś naprzeciw, od krawężnika do krawężnika, dobrze jest jak jest, dobrze jest jak jest, chudy, obrośnięty, mój nieznajomy przyjaciel, dobrze jest jak jest, poślizg, efektowny piruet, brawo, utrzymał się, stara szkoła, i na pożegnanie, chwiejnym krokiem w dal siniejącą, dobrze jest jak jest.

Odepchnięty, obezwładniony, na zewnątrz książki, umilkły w środku, ani słowa, jak się tego nauczyć, to moje ściany, popielniczka, lampa, to ja przy biurku, moja ręka, zabawne, więc skoro jestem, a książka.

Ona mnie nie chce, jak kobieta domyślająca się bezsilności partnera.

Deska, słomka, brzytwa, może gdzieś niedaleko, ale trzeba wyciągnąć rękę, mieć odwagę wyciągnąć rękę, tyle siły żeby wyciągnąć, tyle woli, a ja, między tymi ścianami.

Skąd na moim biurku tyle papierzyśk, tomów z załamanymi grzbietami, spłowiałych teczek, skrupulatny Teodor zawsze powiada: zanim usiądę do prawdziwej roboty (prawdziwa to ta dla potomnych, dla dziejów), muszę najpierw uprzątnąć biurko, nie myśli tego dosłownie, chodzi o pozbycie się chałtur, robotek na telefon i wierszówkę za tydzień, usunięcie z mózgu jednodniowych konceptów i zostanie sam na sam z prawdziwym i własnym, ale ja, ilekroć to słyszę, wyobrażam sobie zawsze pusty masywny stół i na nim jeden biały arkusik, moje biurko nigdy tak jeszcze nie wyglądało, grzebię teraz na chybił trafił w tych wążach, może znajdzie się coś, z czym potrafię pogodzić się dzisiaj, ta grubateczka przewiązana sznurkiem leży tu już od dwóch tygodni, to proza i wiersze kogoś liczącego, że go odkryję, mam wyrzuty sumienia, może o dwa tygodnie opóźniłem nowinę, lecz nie mogę otworzyć tej teczki, jeszcze nie, a to co znów za maszynopis, mój Boże, od trzech dni miałem odnieść felieton, przeglądam teraz, niezły chyba, ale nie zaniosę, nie dzisiaj, nie ruszę się stąd, teraz sięgam po kartki pożółkłe tamtej starej, nie napisanej, przed dziesięciu laty urwanej książki, o niezgodach, ucieczkach, ludziach nazbyt napiętej struny, o wariatach, wierzących i samobójcach, ten pierwszy wątek, o schronieniu się w obłąd, także się zaczynał w dzieciństwie, od starego żebraka z mojego miasta, nie wiem, jak się naprawdę nazywał, przyrósł doń przydomek od okrzyku obelżywego, którym nas ścigał, ledwieśmy się wysypywali ze szkoły, już czatował, rozbiegaliśmy się smagani jego krzykiem ochryplym i nienawistnym: bur-żuj! bur-żuj! — z akcentem na drugiej zgłosce, nie wiem, czemu nigdy nie doszło do odwrócenia się sytuacji i do naszej gonitwy za obłąkanym żebrakiem, który podobno w dwudziestym roku był czerwonym komisarzem w powiecie, odkładam i tamte kartki, teraz zostały już tylko te, nowej książki, której nie mogę pisać, bo zgubiłem się naraz, nie w niej, na zewnątrz, i nie umiem z tej zewnętrzności powrócić.

Ten felieton filmowy, po który zaraz znowu zadzwonią, ma



motto z Majakowskiego: „Posłuchajcie! jeżeli zapalają gwiazdy. widać komuś jest to potrzebne?”

Powiem im, że boli mnie głowa i żeby zaraz przysłali choć jedną gwiazdę.

A może wejść z moją książką w układy, przechytrzyć ją, zagrać na zwłokę, zamydląć oczy, przepisując felieton o gwiazdach, jest zmęczona jak ja i nie pozna się na podstępie, i uwierzy, że tak być miało, a później.

Gwiazdy są niezbędne.

Miłość do gwiazd jest rodzajem więzi społecznej.

Czasem inne więzi zawodzą, a ta właśnie — pomaga istnieć, kompensuje codzienne niewiary i porażki życiowe, opromienia horyzont dalekim blaskiem i ciepłem.

Gwiazdy są rodzaju ludzkiego, to ważne; w trudzie wzbijają się na firmament; świecą na nim, walczą i cierpią; czasem spadają; podziwiamy gwiazdy, lecz także im współczujemy; nie jesteśmy jak one, lecz jesteśmy z tej samej gliny; i wdzięczni im jesteśmy za ich człowieczeństwo.

Nie wystarczy być doskonałym aktorem albo aktorką; musi być coś, co prześwieca przez wszystkie role, kryje się w charakterze i biografii, jak przejrzysty tren ciągnie się za gwiazdą przez ekran, ledwie zauważalną wibracją towarzyszy jej obecności; przeznaczenie? decyzja?

Trwanie na najwyższej nucie możliwości człowieczej, oddanie siebie, swojego ciała, duszy, talentu, jutra — czemu właściwie? nie sławie przecież, ta przychodzi raptem, po pierwszym lub po dziesiątym filmie; misji tajemnej? wzywającemu głosowi? legendzie?

Jeszcze nic się nie stało; cyrograf, podpisany we śnie, spoczywa jeszcze w głębinach kancelarii diabelskiej; lecz na twarz aktora, na jego gest lunatyczny już pada odblask, po którym poznajemy: to ten.

Błada twarz Marleny Dietrich, przeszywający chłód jej spojrzenia, jej męski strój i noga założona na nogę, gdy niskim, chropawym głosem śpiewa kabaretową piosenkę — to wszystko mieści się w fabule, ułożonej przez scenarzystę, a jednak już zamieramy, już przecucie ściska nam serce, już odczytujemy w niej więcej, niż wiemy; i staje się niebawem — fabuła napisana przez życie; dramatyczny wybór, racja sumienia skłócona z fałszywą racją krwi, „nie!” rzucone w twarz narodowi, dobrowolne wygnanie, odtrącenie, samotność, gorycz sławy wszędzie, tylko nie tam, skąd pochodzi; dalej gra, dalej śpiewa, coraz piękniejsza — i coraz bardziej tragiczna.

Nieskoordynowane ruchy Jamesa Deana, niepokój, pozorna niedbałość, zgrywa, pokrewieństwo z milionem rówieśników, tylko — większe napięcie, wyraźniejszy pęd ku samounicestwieniu — wszystko w fabule, wszystko w kadrze; aż raptem — wyjście poza kadr, zaświadczenie losem śmiertelnym, że ten pęd był prawdziwy, a gra cała — antycypacją.

Bujna cielesność Marilyn Monroe, jej superseksualizm, nadkobiecość, zmysłowość pożerająca i łaknąca pożarcia, i zbuntowana zarazem przeciw samej sobie, podkładająca pod siebie lont po którym pełnie iskra wybuchu, w imię czego? mrzonki innych wartości? — intelektu? ducha? ach nie, to nie była mrzonka, to dumna obrona gwiazdy przed przyjęciem za gwiazdkę, przed urzeczeniem zbyt łatwym, w poczuciu, że dźwiga coś większego i trudniejszego; błąd polegał na tym, że to głębokie, niezwyczajne, również przejawiało się poprzez zmysły, głos, ciało, a spadającej gwiazdzie zabrakło wiary, że zostanie pojęte i utrwalone.

Gwiazda: własna twarz, przezierająca spoza aktorskich masek.

Intensywna osobowość, której narzędziem

I kiedy w pół zdania urwałem przepisywanie felietonu, nie mając siły na dalszą szacherkę z książką, zdarzył się cud, jeden z tych, dzięki którym w ogóle możliwe są książki, a może nie tylko książki, a może tylko ta jedna, która jest dla mnie czymś więcej niż książką i dlatego jest taka trudna, ktoś nazwie to zwykłym zbiegiem okoliczności, lecz skąd biorą się zbiegi okoliczności, wspomniałem już o nich, gdyby nie one, czyż zdołałbym w ogóle przystąpić do tego, co robię a tym bardziej nie zdołałbym do tego powrócić, tak więc z zewnątrz, z owej grząskiej przestrzeni, w której szamotałem się ociężale, raptem wyszło naprzeciw mnie coś bliskiego i związanego nie po prostu ze mną i moją książką, lecz z tym miejscem właśnie, w którym utknąłem, z tym fragmentem mającym zamaskować niemożność, pustkę, i uczyniło go prawdziwszym, niż był przed chwilą, i pełnym, bo nie samotnym, dalsze wątki przyciągającym, a przynajmniej przeczuwającym.

Najpierw dźwięk wypłynął, było to imię, jedno z kilku, jakie dopiero co wymieniłem, skoro zaś, zniechęcony, odsunąłem rękopis i sięgnąłem po książkę nie moją, niczego prócz wytechnienia w niej nie szukając, imię to samo i już nie w otoczeniu innych, powtórzyło się znowu, dźwięczne, w obcej książce, znak fascynacji nie mojej, i za dźwiękiem wynurzyła się postać, i wspomnienie czegoś, co czułem, gdy czułem, i poczułem to

znowu, i odczułem możność wcielenia, które jest wyzwoleniem z siebie, by do siebie wyzwolonego przywrócić, i pojąłem z ulgą, że nie ja z moją książką grałem na zwłokę, lecz ona ze mną, ona mnie chciała wypróbować, w desperacji sprowadzić na krawędź szarlatanerii, żeby naraz przywołać na pomoc tamtą, bym w jej lustrze się przeglądając na powrót odzyskał siebie, czyli ją, czyli wszystko.

Sag mir wo die Blumen sind

Ta piosenka

Ta kobieta w blasku sceny sukni srebrzystej we własnym blasku Przyjechałam żeby dla was zaśpiewać

Sag mir wo die Blumen sind wo sind sie geblieben

Sag mir powiedz mi wo die Blumen die Mädchen ta piosenka this song poświęcona jest pamięci memory of mine friend mojego przyjaciela wielkiego muzyka który

Sag mir wo die Blumen sind gdzie są te kwiaty te dziewczęta sag mir wo die Mädchen sind was ist gescheh'n

Co się stało na to nie ma odpowiedzi dlatego śpiewam że nie ma i dlatego słuchacie mojego głosu ciemnego i będziecie słuchali są jeszcze wasze kwiaty wasze dziewczęta wasi mężczyźni sag mir wo die Gräber sind wo sind sie geblieben nie ma nic nie ma nikogo tylko ja mój głos moje nogi najpiękniejsze na świecie moja tułaczka

Nogi tak nogi niech się pani przejdzie do drzwi z tyłu nieźła ale my potrzebujemy i twarzy

Czekaj ona ma coś jeszcze mianowicie ten głos chropawy jeżeli mu przydamy znaczenie może znaczyć upadek degradację to chyba chwyci

Słuchaj dziewczyno obudź się wreszcie tylko krowy kiedy się cielą są tak obojętne

Tak Co mam robić

Boso po rozprazonym piasku jeszcze żadnej przerwy kręcimy dalej głupstwo nic jej nie będzie dalej co to głupia zemdłałaś połóżcie ją tutaj chluśnijcie wodą to ma być aktorka och Jo już mi lepiej jestem gotowa dobrze kręcimy dalej

Gdzie jesteś Jo

Przecież ja wiem że ty że tobie dlatego jesteś zazdrosny ten pamiętnik napisałeś żeby mnie upokorzyć byłam ci posłuszna i wierna Tobie Wam Przecież wiem że mam wszystko a sobie tylko

Sag mir wo die Männer sind

Zestarzeli się umarli odeszli nie odnieśli sukcesu ja żyję ja jestem młoda ja jestem

Co się stało jak to się stało

Gwizd

Co się stało jak to się stało że ich nie ma a ja

Dziwka

Co się stało jak to się stało umarli zanim umarli zestarzeli się odeszli umarli nad brzegami obcych ulic obcej młodości sag mir wo die Gräber sind ja jestem żyję

Mówi się że wzruszenia zabijają dziewczyno obudź się wreszcie moja obojętność mnie ocaliła moja krowiastość moja twarz nieruchoma biała bez emocji bez desperacji moja Czy tak

Dziękuję za komplement ale pan mnie oslepił wypadało uprzedzić Skąd biorę to w sobie jak mam panu to jest i już no naturalnie tryb życia w gruncie rzeczy jestem domatorką żądnych ekscesów poza tym gimnastyka masaż

Czemu odmówiłem powrotu bo mój dom nie był domem potrafi pan to zrozumieć tak to moje słowa gdzie pan je czytał tak zarazą właśnie tak powiedziałam

Sag mir wo

W blasku sceny sukni srebrzystej jupiterów we własnym a z bliska z bliska

Skąd biorę to nic trudnego byle tylko nie wierzy pani że zachowa jak ja ile pani ma lat trzeba wierzyć

Sag mir wo die Mädchen sind

Nie

Wszystko nieprawda

Po prostu trzeba

Trzeba po prostu przejść

Dziwka Zdrajczyni

Przejść to wszystko

Nie spuszczać głowy

Nie padając

Nie można nie padać więc

Boso czy na wysokich obcasach to nie gra roli

Wstawać od razu i

Ile razy trzeba

Po prostu trzeba

Sama już nie wiem

Przyjechałam żeby dla was zaśpiewać Ta piosenka poświęcona jest pamięci mojego przyjaciela wielkiego muzyka który

Przecież wiecie skąd przecież czujecie i dlatego teraz przed wami

Sag mir wo die Blumen sind was ist gescheh'n

Nie można nie pytać nie myśleć ale trzeba tak Piosenką głosem sylwetką trwaniem tutaj w tym blasku i wtedy



Nie przychodźcie już na drugi mój występ  
Będę znowu płakała i pomysłicie

Te pierwsze pożegnania nie były jeszcze jak śmierć, dopiero później, a te pożegnania dzieciństwa, chyba dlatego, że śmierci jeszcze nie było, więc nie mogły być takie, ojciec Lutka w oficerskim mundurze, no uściskajcie się, chłopcy, staliśmy skrzepowani, samochód z przymocowanymi do dachu tłumokami drgał i pykał spalinami tuż przy chodniku, matka Lutka siedziała w środku i spoglądała na nas z uśmiechem, była jak zawsze piękna, z błyszczącymi czarnymi oczyma i białymi zębami w śniadej twarzy, i naraz poczułem, że jestem wyłączony, coś się przekreśliło, trzasnęło i nie ma prądu, tego, który przez cztery lata iskrzył się we mnie, wywołany jej magnetyzmem, nie ma jej magnetyzmu, stoję na chodniku przed domem, w słońcu wrześnieowym, wolny od pożądania i wstydu, obojętny na to, że odjeżdża i może nie zobaczę jej nigdy, jej ani Lutka, posłusznego przedmiotu mojej kapryśnej przyjaźni, i rzeczywiście nie miałem ich już zobaczyć, w dwadzieścia lat później w Londynie Lutek nie zastał mnie w hotelu i powiedział portierowi, że zadzwoni nazajutrz, ale nazajutrz o świcie przecinałem ukośnie płytę startową, może to zresztą nie był Lutek, tylko wyobraziłem tak sobie na podstawie przekrezonego przez portiera nazwiska, teraz zaś nie wyobrażałem sobie nic, nie miałem jeszcze wyobraźni na pożegnanie, na śmierć, na odległość bezkresną i ostateczną, Lutek trzymał pod pachą spore pudełko oklejone glansowanym papierem, co tu masz, zapytałem, wiedziałem, że to jego kolekcja znaczków, ale zapytałem żeby przerwać krępujące milczenie, wyciągnął pudełko do mnie, to dla ciebie chcesz? dobrze, zgodziłem się obojętnie, no, komu w drogę, temu czas, powiedział ojciec Lutka i otworzył drzwiczki samochodu, a co postanowili twoi rodzice, przecież te bomby, samochód energicznie zacharczał i zadygotał, było to pierwsze w moim życiu pożegnanie, jeszcze całkiem nie podobne do śmierci.

Kiedy odjeżdżał Aleksander, jeden z dwóch Aleksandrów, tak pochopnie sklejonych przeze mnie i opatrzonych wspólnym imieniem, żeby teraz rozpaść się w moich oczach i rozdwoić nieodwołalnie, na tego w oknie wagonu, ze smutną małą twarzą, skopiowaną raz jeszcze tam w głębi, drobniej i delikatniej, ale tak samo smutno, oraz na tego wśród nas, na oblodzonym peronie, z uparciem zaciśniętymi wargami, zaciśniętymi przeciwko decyzji tamtego, do której i on miał prawo, otóż kiedy ten pierwszy Aleksander odjeżdżał i pociąg już prawie ruszał, z tu-

nelu łączącego perony z budynkiem dworca wypadł mężczyzna w brudnym rozchełstany kożuchu, zatoczył się i wykrzyknął na całe gardło: z którego toru odjeżdża transport do, nazwę stacji zagłuszył łomot i gwizd manewrującej na sąsiednim torze lokomotywy, mężczyzna w ostatniej chwili zatrzymał się na śliskiej krawędzi, lokomotywa zasłoniła go na moment, skoro zaś tylko w kłębach pary przesunęła się dalej, on dał susa niezgrabnego pomiędzy szyny, potem ku nam, i teraz dopiero, gdy przez czarną, zbitą gromadkę odprowadzających przeciskał się do okna wagonu, poznałem Jana.

Zatrzymał się o pół kroku przed wagonem, dziękuję ci, że przyszedłeś, wymamrotał Aleksander, ty, krzyknął Jan, wygrażając mu podniesioną pięścią, czemu mi to robisz, Aleksander otworzył usta i w tej samej chwili pociąg ruszył, świat został przecięty na dwie coraz bardziej oddalające się od siebie połowy i nie zmieniła w tym nic dawno wykryta dwuznaczność wszelkich przemieszczeń, sprawiająca, że nie wiadomo na pewno, która połowa pozostaje na miejscu, która zaś i w jakim kierunku nabierając rozpędu mknie coraz szybciej, rozstawaliśmy się na zawsze z człowiekiem tutaj, już go nie było, umierały rysy twarzy i głos znajomy, i opadały nasze podniecone w pożegnalnym geście ramiona, tylko pięść Jana tkwiła nad głową, wróciś, krzyczał Jan, przysięgam że wróciś, jakiś nieznajomy otarł się o Jana i o mnie, skończ z tym teatrem, mruknął Aleksander, drugi Aleksander, który nie chciał skapitulować, Jan zatoczył się nieprzytomnie, ktoś go podtrzymał, zaczęliśmy się rozchodzić.

Nazwę stacji, wykrzyczanej przez Jana kolejarzom, powtórzył mi ktoś nazajutrz, była to przerażająca nazwa rozpadliny, która niegdyś, za naszego życia, przyjęła była w siebie hekatombę z mężczyzn, kobiet i dzieci, także rodzice Aleksandra pewnego dnia zimowego odjechali w jej kierunku zaryglowanym wagonem, pamiętałem tę nazwę jak każdy w tym kraju skazany na pamiętanie, co do Jana, to nagabywany później przez ludzi zaprzeczał, jakoby miał ją wymienić.

Nie jest przeto dobroczynna moja pamięć, ale nie jest też niezawodna, żółte oczy tego gestapowca, ciągle siódmego stycznia 1943 roku, kiedy dotykaliśmy się prawie twarzami, był trochę niższy ode mnie i patrząc z dołu podważał moje oczy swoimi jak płaską dźwignią, chwila, a wyłuskałby z orbit, naraz jednak machnął lekceważąco ręką i wyszedł z warsztatu pana Burka, i jeszcze tej samej nocy, kiedy leżałem na szorstkiej derce, w przenikliwym zapachu moczących się skór, zobaczyłem te żółte oczy

w ciemności i wydało mi się, że zawsze już będę je widział i poznam gdziekolwiek spotkam, nie mam jednak pewności, czy nie przesunęły się po mnie na przykład u wjazdu do nadreńskiego miasteczka w niespełna ćwierć wieku później, a ja czy nie wymyślałem ich obojętnie, dobroczynna nie jest, w świetle dnia wszelako nie mogę jej zaufać jak w nocy, gdy te oczy podważają moje zamknięte.

Przyrzekałeś, że tu do mnie przyjedziesz, nie zrobiłaś tego, może mi się zdawało, że przyrzekałeś, ale czekałem.

Potem czekałem, że napiszesz.

Teraz już nie czekam, chodzę nad morze i patrzę na kry sunące do brzegu — są wielkie, brudne, spracowane, trą się o siebie z chrzęstem, jeżeli zamknąć oczy — można w tym usłyszeć szczękanie mieczów.

Tak zapuszczam się w jakąś dawność, ale na krótko, bo kiedy znowu otwieram oczy — widzę miazgę, żałosne pobożewisko, raptem chwytą mróz, sypie śnieg i miazga się zlepia, zespala w jedną białą płaszczyznę, nad którą kołują ze skwirem mewy, i jeszcze dotkliwiej czują terażniejszość zimową i pustą.

Kiedy będzie wiosna?

Może jesteś ptakiem, który przylatuje na wiosnę?

Chwilami ogarnia mnie trwoga, że to coś innego niż nawał zajęć, próby, zmęczenie teatralnym rejwachem, coś innego i dużo dla mnie gorszego.

Odezwij się, zaprzecz.

Zastanawiam się, jakie znaczenie ma dla mnie, że jesteś aktorką.

Nie umiem na to odpowiedzieć, bo nie znam i nie wyobrażam sobie ciebie inaczej.

Ale gdybyś nie była aktorką, mógłbym zdepeszować: przyjedź, i nie mogłabyś się wymówić rolą swojego życia, bo ta rola, którą bez prób zagrałabyś ze mną, zawierałaby wszystko.

To nie wyrzuty, skąd.

Wiesz, wymyśliłem już naszą podróż, nawet w paru wariantach.

Najlepiej byłoby wybrać się na Tahiti, mogłabyś tam chodzić w spódniczce z kwiatów i z rozpuszczonymi włosami.

Ale czy spódniczka z kwiatów jest najważniejsza?

Sprawię ci ją ostatecznie w Warszawie, chcesz? i będziesz chodziła po domu, a podglądających sąsiadów wystrzelam z łuku.

Uśmiechnij się.

Nie będę smutny i stary.

Przyjedź.

Ta rozpadlina, jak każdy z moich bliskich spędziłem jakiś czas nad jej brzegiem, podpełzała ku stopom, wykonywałem gwałtowne ruchy żeby odsunąć się od niej, a jednak własne istnienie nad rozpadliną nie tak we mnie utkwіło, może dlatego że mimo wszystko pozostawało ciągle istnieniem, z całą zawartością tego pojęcia, ciekawością, oczekiwaniem, nadzieją, nie tak zatem jak ów powtarzający się widok spychanej do rozpadliny gromady, widok z zewnątrz, z boku, spoza losu piętnującego ofiary stygmatem nieuchronności, wyrzuca z praw pojedynczej egzystencji człowieczej i wciągnięcia w zbiorowy przerób, przegnoń, przebrak historii, to utkwіło we mnie na zawsze, chociaż wówczas, gdy patrzyłem na owe procesje, nie myślałem o nich w ten sposób, a za pierwszym razem w ogóle nie domyślałem się ich znaczenia i celu, było to w czerwcu 1941 roku, ulicą pędzono jeńców radzieckich, tydzień zaledwie upłynął od podpalenia i zgruchotania krótkiej nocy letniej niemiłosierną pięścią bombową, a tych mężczyzn, oszołomionych klęską, już zdążono poddać pierwszej odczłowieczającej obróbce, byli bosi, bezgranicznie znużeni i trawiła ich gorączka z głodu, pragnienia, źle przewiązanych ran, już stawali się miazgą włóczoną po bruku i poganianą przez konwojentów, sytych, uzbrojonych, w nowych mundurach, nade wszystko zaś obutych, człowiek bosi pędzony przez obutego już jest poniżony, zdeptany, stałem w milczącym tłumie na chodniku wzdłuż jezdni, ktoś przeciągle westchnął, jakaś kobieta wypadła naraz z bramy i z kromką chleba w wyciągniętej ręce zaczęła się przepychać ku prowadzonym, wysoki jeńiec z przyschniętym brudnym opatrunkiem na głowie zwołnił kroku, lecz w tej samej chwili konwojent odepchnął kobietę, a jeńca uderzył z rozmachem kolbą karabinu, lecące do tyłu ciało pochwycili koledzy, pochód nędzarzy szedł dalej przez milczący szpaler mieszkańców naszego miasta, aby dotrzeć na to pole otoczone drutami, gdzie miał wsiąknąć w ziemię, suchą, pokruszoną, rozdrapaną setkami palców, wyplewioną z ostatniej trawki przez skazanych na śmierć głodową, szedł by dotrzeć do rozpadliny.

Nikt z tych ludzi nie żył już chyba, kiedy z brzękiem otworzyły się drzwi do warsztatu pana Burka, oprócz nas dwóch znajdował się tu jeszcze pan Chudawiec, kulawy nauczyciel i alkoholik, ledwie zdążył schować gazetkę, którą nam odczytywał z emfazą, Krajowe Siły Zbrojne zdobyły, w drzwiach stanął podniecony farbiarz z sąsiedztwa, Żydów z getta prowadzą, pan zamknie drzwi, powiedział majster, wieje, stłoczyliśmy się przy oknie, chodniki były puste, mieszkańcy z za szyb zamarzniętych z wychuchanymi odtainami wpatrywali się w jezdnię, któ-



rą znowu przeciągał pochód, niepodobny do tamtego, ci ludzie też poruszali się z trudem, ale nie z ran i głodu, byli grubo opatuleni i dźwigali toboły, walizki, uginali się pod ciężarem, wielu było pośród nich starców brodatych, kobiet z dziećmi na ręku i w wózkach, kalek, byli brzydcy i straszni, i jak gdyby wszyscy garbaci, wykoślawieni nie tylko przez ten ciężar fizyczny, lecz przez jego zbędność, której byli świadomi, wiedzieli już przecież, dokąd idą, oznakę zaś wyodrębnienia i skazania każdy miał przyszytą do piersi, przesuwali się tak przed moim wzrokiem i początkowo poznawałem niektóre twarze, u tej starszki w wyrudziałej salopce kupowałem zeszyty w linie i gładkie, a ten wysoki mężczyzna o fioletowych policzkach to był doktor Epszajn, pediatra, niebawem jednak wszystkie twarze zaczęły się zapadać i zamazywać, jak gdyby idący w tej chwili właśnie, na moich oczach, posłusznie poddali się prawu, zabraniającemu im posiadania odrębnych rysów, konfiskującemu te rysy, jak imiona, zawody i biografie, na rzecz wielkiej maszyny, wprawiającej tylko nogi w ruch pożądaný, jako ludzi, odezwał się farbiarz, żałując ich, owszem, ale jako Żydów wcale ich nie żałując, jak pan to dzieli, mruknął nieprzyjaźnie nauczyciel, farbiarz nie rozwijał swojej myśli, staliśmy, oni szli i szli, konwojenci z karabinami od czasu do czasu popędzali ich krzykiem, szli z wózkami, tobołami, protezami, łatami, z resztką życia, czy również z resztką nadziei, z ostatnim widokiem opustoszałej ulicy rodzinnego miasta w zamglonych oczach, szli do rozpadliny rozwarłej, zionącej smrodem gazu i gnicia, i gotowej zamknąć się bezszelestnie nad ich głowami.

Śmierć osobna mojego nauczyciela przyrody, pana Kochanowskiego: kiedy wzięli go otwartą ciężarówką razem z innymi zakładnikami, na samym początku okupacji, bo nauczycieli gimnazjalnych wzięli pierwszych, grubo przed urzędnikami magistratu, lekarzami i księżmi, wystawał o dwie głowy nad całą resztą, chichotaliśmy zawsze, że tak wybujał, a on wstydził się swego wzrostu i garbił się bezskutecznie, i kulił, teraz jednak stał na ciężarówce wyprostowany i wszyscy widzieli, że to pan Kochanowski, nauczyciel przyrody, spokojny i nieulekły, jedzie na rozstrzelanie.

Śmierć osobna pana Chudawca, nie mojego nauczyciela, pod koniec okupacji: wyglądał jak diabeł operowy, w długim czarnym płaszczu, kulejący na jedną nogę, z hiszpańską bródką, zatrzymali go wartownicy przy moście, nie diabelskość ich zastanowiła, lecz torba wypchana, diabeł z taką torbą, otworzyli,

gmerali w zabłoconych ziemniakach, stał kiwając się, jeden chciał go zrewidować dokładniej, drugi powiedział, aber Mensch, der ist doch total besoffen, zapiął torbę, na lauf' schon, pan Chudawiec przeszedł kilka kroków i stanął obracając się powoli, spod płaszcza wyszarpnął jakiś papier i puścił na wiatr, to była tajna gazетка, Siły Zbrojne zdobyły, po czym pobiegł przypadając na jedną nogę, w biegu otwierał torbę, znów się zatrzymał i cisnął w Niemców dużym czarnym kartoflem, tararach! krzyknął, granat! kartofel potoczył się po chodniku, jeden Niemiec uskoczył za filar, drugi złożył się z karabinu, pan Chudawiec biegł zygzakami, wedle wszelkich prawideł sztuki wojennej, i systematycznie opróżniał torbę, atakując wroga kartoflami, które ciężko opadały na cementowe płyty chodnika, turlały się przez chwilę i uderzały jeden o drugi jak kręgle, i wydawało się, że któryś musi wybuchnąć, ale trzask, który rozległ się w końcu, pochodził z karabinu żołnierza.

Halo, halo, tak, słucham, niech pan nie odkłada słuchawki, łączę, będzie rozmowa, niech pan mówi, łączę, ten pan się zgłosił.

To ty?

To ja. Całuję ciebie.

Słuchaj, nie mogłam napisać, stało się coś niedobrego, nie, to nie dotyczy ciebie i mnie, chciałam powiedzieć, nie dotyczy mnie w związku z tobą, ale jednak mnie, wytłumaczę ci jak wrócisz do domu, ja przyjadę, dobrze, nie gniewaj się, czy ty mnie słyszysz?

Słyszę.

Od dwóch dni płaczę bez przerwy, powinnam była przyjechać, byłabym z tobą i nie wiedziałabym wcale, nie rozumiesz, **no tak**, przepraszam, wytłumaczę ci, o nic na razie nie pytaj.

Nie będę pytał, ale.

Nie, to nic, już jest lepiej, kiedy słyszę twój głos, już nie płaczę, prawda, słyszysz, że już jestem spokojna, no co tam u ciebie, piszesz?

Piszę.

To świetnie, chciałabym, żeby ci się udało, a pogoda, u nas jest odwilż, wiesz, pełno słońca, już prawie wiosna.

Tutaj także.

Mówi się?

Mówi się, już kończymy, dlaczego nie mówisz, powiedz mi coś miłego i wesołego.

Całuję ciebie.

I ja ciebie całuję, pa, całuję cię mocno.

Tomasz Mann w szkicu o Tolstoju i Goethem (1922): „Miłość do swego ja i miłość do świata są w sensie psychologicznym nie do rozróżnienia — toteż stare pytanie, czy miłość jest w istocie uczuciem altruistycznym, czy raczej egoistycznym, to najdaremniejsze ze wszystkich pytań... Wiąże się z tym również fakt, iż popęd autobiograficzny prawie nigdy nie okazuje się dyletancką pomyłką, lecz czymś, czego uzasadnienie zdaje się tkwić w nim samym. Talent, ogólnie rzecz biorąc, to delikatne, trudne pojęcie, w którym mniej chodzi o to, czy ktoś coś u mnie, niż o to czy kimś jest, można by rzec, iż talent — to tyle, co zdolność do posiadania losu.”

Już nie czekam, aż wszystko zbiegnie się do mnie, samo wyjdzie naprzeciw, niecierpliwię się, gonię za tym, jeszcze przed chwilą nie wiedziałem, że tak postępuję, ale naraz przyłapałem siebie na gorącym uczynku, dlaczego przyjechałem właśnie tutaj i rzuciwszy nie rozpakowaną walizkę na łóżko w hotelu wybiegłem na ten brzeg, gdzie niegdyś zaczynała się, oszołomiona sobą, moja wariacka młodość, a więc liczyłem, że ją spotkam, co za omyłka, nie ma jej w krajobrazie innych ludzi, domów nowo wzniesionych, nawet pory roku przekornie innej, dawne miejsce odmienione nie pomaga, lecz przeszkadza jej przybyć na wyznaczone spotkanie, a we mnie, tak, we mnie gdzieś jest, jak wszystko, ale kluczy sobie tylko wiadomymi tropami, chowa się za plecami tego, co w obiektywnej chronologii dużo dalsze od niej lub dużo bliższe, to nie gra roli, i w tej chwili na przykład ustępuje nie zamkniętym ciągle wątkom dzieciństwa i wątkom owej przerwy nie do nazwania pomiędzy dzieciństwem a młodością, kiedy to pierwsze urwało się pośpiesznie, a drugie nie miało prawa się zacząć i żyłem pomiędzy, w bezbarwnym okupacyjnym beczasie, i to wszystko odzywa się teraz we mnie, kiedy gonię za młodością w mieście nadmorskim, za jej słońcem i wiatrem, i głodem, i głupstwem, i czułością, i brutalnością, i nie tylko tego nie potrafię teraz odnaleźć, lecz również skrawka plaży, na którym, ani rogu ulicy, ani przyjscia, ani siatki drucianej, ani schodów, ani drzewa, ani okna z białymi firanczkami, i po próbach płonnych wracam w miejsce, którego materialnie tu nie ma, ale które samo ogarnia mnie sobą, ze wszystkim, co do niego należy, także ze mną dziecinny i żegnającym dzieciństwo.

Przyjaźń z Bogusiem, synem kobiety-cienia, moje wizyty w dużym pustym domu za miastem, ten dom wydawał mi się starym, opuszczonym przez załogę okrętem, kołyszącym się na

kotwicy w nieznanym porcie, zza okien dobiegało brzęczenie pił i łomot rzucanych desek, pokrzykiwanie woźniców i robotników tartacznych, a w pokojach o gołych ścianach wisiała chłodna, przyćmiona cisza, wędrowałem po nich bez końca, nadaremnie szukając fotografii umarłej lub jakiegokolwiek po niej pamiątki, zostawiła tylko tę barwę i zapach opuszczenia, w które wkradałem się żeby uprawiać naszą dziwną przyjaźń z Bogusiem, na mój widok pierzchała blada dziewczynka z lalką-czupiradłem w ramionach, a Boguś odprowadzał siostrę wzrokiem i czekał w milczeniu, aż usiądę obok niego na wypłowiełym dywanie, po czym rozstawiał niezliczone szeregi kartonowych żołnierzy, kirasjerów, lansjerów, spahisów w białych zawojach, szarej legionowej piechoty, ułanów z proporczykami, włoskich karabinierów, grenadierów Napoleona, honwedów, marynarzy, sanitariuszy, i zwyczajnych polskich żołnierzy w owijaczach i maskach gazowych, wojna była raz na zawsze wypowiedziana, więc ciągnęliśmy ją godzinami w skupieniu, czasami stawał za naszymi plecami ojciec Bogusia, obserwował, nie odzywając się ani słowem, potyczki i obłączenia, i po chwili wychodził, ile lat bawiliśmy się tak prawie rozmawiając, pierwszy raz poszedłem za Bogusiem któregoś dnia prosto ze szkoły, przyjął moją obecność nie pytając, czego tu szukam, w porzuconym swego czasu rękopisie użyłem słowa litość, ale w litości jest jakieś poczucie przewagi nad jej obiektem, a w stosunku do niego nigdy nie odczuwałem przewagi, raczej onieśmienie, był moim rówieśnikiem, uczył się nie najlepiej i jak ja zapamiętałe przedstawiał papierowych żołnierzy, a przecież było w nim coś niewysłowionego, jakaś ukryta świadomość, której ja nie miałem, intrygowała mnie i pociągała, i mimowiednie pragnąłem się z nią zespolic, nie potrafiłem jednak, musiało to mieć związek z jego matką, z tym, co z nią zaszło, co sama zrobiła, ciągle o niej myślałem i jej cień ciągle był nieuchwytny, i tak samo nieuchwytny pozostawał cień cienia, w którym żył ten chłopiec, drugi utracony przyjaciel mojego dziedzinstwa.

Po raz ostatni odwiedziłem go słonecznym październikowym popołudniem, spotkał mnie w progu, wyglądało na to, że czekał, nie weszliśmy do środka, pociągnął mnie za sobą, przez podwórze i plac ze stosami bel pachnących żywicą i świeżych desek, do ogrodu na tyłach tartaku, było mi nieswojo, ojciec Bogusia nie wrócił z kampanii wrzesniowej, nie wiedziałem, jak mam zapytać, czy są wiadomości, ta możliwość, że ojciec mojego przyjaciela zginął, jak gdyby łączyła się z dawną historią browninga z jego szuflady i swoją niesamowitością pogłębiała w Bogusiu to, do czego nie mogłem dotrzeć, oficer rezerwy miał



naprawdę zginąć w Katyniu, lecz nie znałem jeszcze nazwy, tymczasem weszliśmy do altany, wojska już czekały w ordynku, podał mi pudełko zapalek, miał w palcach drugie, rozległ się trzask i zapalone drewno zatoczyło półkole w powietrzu, by opaść wprost na dorodnego ułana, ułan skurczył się w siodle, spiął konia i runął z nim razem na bok, zawadzając o zieloną lawetę, która też zajęła się ogniem, zrozumiałem plan Bogusia i pośpiesznie wystrzeliłem kieszonkową zagwią w drugi koniec czworoboku wiernych wojaków, trafiłem motocyklistę, buchnął płomieniem, zwinął się, szerniał, już bombardowaliśmy obaj ognistymi pociskami kirasjerów i grenadierów, honwedów i spahisów, szarą legionową piechotę, marynarzy, sanitariuszy, czołgistów, artylerzystów, chłopców malowanych, samych wybieranych, zwyczajnych strzelców w owijaczach i maskach gazowych, ogień rósł, oni trwali, nie poszli w rozsypkę, nie błagali o zmiłowanie, lecz szeregi ich rzedyły, żaden nie miał ujsć cało, wybiliśmy ich co do nogi może w ciągu kwadransa w tej ostatniej nierównej bitwie, czułem żal przepastny i gorzki triumf zarazem, i pojmowałem, że tak być musi, że mój przyjaciel wie, co czyni, wzniecając ten pożar za sobą, za mną, za naszymi dziećmi, wieczorami w pustym pokoju, za latami, od których byliśmy odejści już bezpowrotnie.

Ci dwaj nie z papieru obcy żołnierze, jeden po drugim, z przerwą dwóch lat niespełna, spotkani, jak gdyby szarpnęli z dwóch stron zasłony i moje życie otworzyło się naraz na własną biografię, na wszystko, co w niej miało się liczyć, wszystkie sensy ścigane, dopadane, tracone, wszystkie budowania, rozsypywania się, palenia mostów, i wierności, i zdrady, i rozstania, i powitania, i śmierci, a zarazem, choć tego, podobnie jak i tamtego, nie mogłem przeczuć zaglądając w ospowatą, szeroką twarz pierwszego żołnierza, który szedł po bruku ciężko stąpając i posapując jak rolnik za pługiem, ani w twarz pociągłą, z kroplami potu na skroni, drugiego żołnierza, odchyloną do tyłu, z przytkniętą do warg butelką, otworzyło się na historię mojego kraju, na to, co od zawsze działo się w jego ciasnej przestrzeni i dzieć się miało nadal, nieuchronne i groźne, i odpychające, i wzywające, i na trąbkach wygrane, i wyjęczone w malignie, dwaj żołnierze jak archanioły po dwu stronach zasłony rozdartej, i to wszystko, co było literaturą, snem, szkołą, tradycyjną przyprawą dzieciństwa, udostłowiło się zaraz, ucieleśniło, symbole spłynęły krwią, Mickiewicz zapukali do okien, fortepiany pocwatowały po grudzie, czarne drzewa bezlistne objęły wartość, życie otworzyło się, krajobraz na zawsze się zamknął, nie prze-

czuwałem, czy tak całkiem nie przeczuwałem, w dźwięki obcej mowy wsłuchany, dwóch obcych mów, które mają wzięty pomiędzy siebie, mniej oczywistym czyniąc swojskie jej brzmienie, dwóch jedynych niewłaśnych mów, tej śpiewnej i tej gardłowej, jakie miały zniewolić granice mojej mowy, mojego myślenia, ciekawości, czułości słuchu, i usadowić się we mnie głęboko, ze wszystkim, co ich, obrzeżając wszystko, co moje, jak ci pierwsi ich wysłannicy, dwaj żołnierze, spotkani jeden po drugim, 18 września 1939 roku i 23 czerwca 1941 roku.

Bolszewicy.

Panie bolszewiku, a pomarańcze u was są?

Cicho, głupi, nie nazywaj go bolszewikiem, bo się obrazi.

U nas wsio jest'.

A buty, na ten przykład, po czemu?

Chleb, to za pieniądze sprzedają, czy tak dają, ile kto życzy?

Harmoszka.

Prysiudy na estradce sklecone z desek.

E, to mają być bolszewicy, tacy niepozorni, myślałam, że dużo roślejsi.

Tawariszcz Stalin. Rabocze-Krestianskaja Krasnaja Armia.

Straszyli, że bezbożnicy, a to wojsko chrześcijańskie.

Wy kto budiete? Pamieszczyk?

Nie rozumiem.

Łozad', łozad' — to wasza?

Tak, jestem bolszewiczka, przeżywali bolszewiczką, dobra, teraz ja im pokażę.

A śledzie po czemu?

Nu-ka, prachadi.

Kapelusze jakby wiatrem zdmuchnięte, wszyscy w czapkach, kobiety w chustkach.

Po co rzucać się w oczy.

Jesli zawtra wajna, jesli zawtra w pachod.

A cukier?

U nas wsio jest'.

Szynele nieobrubione, długie, brunatne, szorstkie.

Głośniki bez przerwy.

Ani słowa, naprawdę?

Dziwny, ostry zapach — tak pachnie Rosja?

I na szosie za miastem — brama triumfalna, chleb i sól, portret w kłosach, delegacje z wsi okolicznych, białoruskie śpie-

wy przeciągłe, lniane koszule, tak czekają cierpliwie żeby powitać i nie wiedzą, że już od drugiej strony.

Dzień i noc w szpitalu, po raz pierwszy wtedy krwawa miazga na noszach, czyjeś jęki i mój dygot pomiędzy detonacjami, i zdumienie, że utarty zwrot trząść się ze strachu znaczy to, fizyczne, niepowstrzymane.

W południe ciężarówka, barczasty politruk z plamami potu na plecach, jego cwał przez podwórze, i po chwili z powrotem z płaczącym oseskiem na rękach, za nim młoda kobieta w zbyt obszernej kwiecistej sukni.

Natarczywe buczenie eskadry, to sowieckie? stara salowa, z wzniesionymi w niebo oczyma.

Nasze, z groźnym wyrzutem politruk, nasze.

Sowieckie, stara kobieta, nie rozumiejąc.

I on, z podrywającej ostro ciężarówki: my tu jeszcze wrócimy!

Kiedy po trzech latach wyłonili się z wysokiego zboża na skraju wsi, nie poznałem ich, wyglądali jak chłopcy na szkolnej wycieczce, chuderlawi, pryszczaci, ich naszywki sierżantów i frajtrów, i pepesze zawieszane na szyi wydawały się nieprawdziwe, i jakby chcąc potwierdzić moje wrażenie zaraz wszczęli zabawę chłopięcą, jeden przez drugiego z odbiciem o plecy skacząc, śmiech i wrzawa, i raptem znowu powaga, i przed siebie dalej, na przełaj przez trzęsawisko, nie próbując go obejść, po pas niemal się zapadając, spoglądałem nie wierząc oczom na to wojsko smarkate, a więc tacy są teraz, a gdzie tamci, którzy za pierwszym razem, i pojąłem, że tamtych pożarła wojna.

Na innej wojnie, w innym szpitalu, w korytarzach podziemnych, otulonych warstwami żelbetu, krwawa miazga na noszach, jęki, migotanie świetlówek, surowica kropla po kropli sącząca się szklanymi rurkami, podkrążone oczy młodej kobiety-chirurga.

My tu obcy, sprawozdawcy za ledwie, ale patrzą na nas z nadzieją.

Uśmiechają się na dźwięk naszego imienia.

Tylko ci dwaj, pod zegarem w portierni, jakby nas nie było.

To wieśniacy, ojciec i syn, odwiedzili drugiego syna, zranionego odłamkiem, obstrzał miasta trwa i nie mogą wrócić do domu.

Ojciec mały, suchy jak drzazga, ma wpadnięte policzki i wyblakłe niebieskie oczy. Wypłowiła narciarka opada na uszy.

Chłopak może szesnastoletni, twarz ma również pociągłą, lecz zaokrągloną przez beret, oczy ciemne. Obaj siedzą nieruchomo, z tym szczególnym otępieniem ludzi pracy fizycznej, które bywa przyjmowane za pokorę czy też fatalizm. A to tylko ogromne zmęczenie — wojną, drogą, nieszczęściem.

Zwycięzcy. Jest ich czterech, leżą na zdobytej ulicy, jeden obok drugiego, w pozach bezwładnych i nienaturalnych. Rozdarci i spłaszczeni, prawie dwuwymiarowi, wyglądają jak szmaciane kukły, gwałtownie ciśnięte pod osmalony mur, niemal wbite w skrawek wyszczerbionego chodnika. Sciągnięte twarze przysypane białym pyłem czy wapnem. Najbardziej wysunięty do przodu nie ma twarzy — z pogiętym hełmem zrosła się czarna, zakrzepła masa. Dawno już muszą tak leżeć, bo niczym nie przypominają świata żywych, z którego wydarła ich jakaś trudna do wyobrażenia chwila. Są częścią martwej przyrody zgruchotanej wielkemiejskiej ulicy.

Ten bez twarzy, czy to nie mój przyjaciel, który w takim samym mundurze, paręnaście lat wcześniej. Może ktoś współczujący tym, co wtedy ponieśli klęskę, stał tak nad nim i patrzył na czarną dziurę pod hełmem, po czym odszedł zrujnowaną ulicą, ostrożnie mijając zwłoki.

Głos z przodu: Oh, du irrsinnige Kawallerie!

Głos z tyłu: Polia purpurnogo maka cwietut wokrug nas, połudiennoj wietier igrajet w żółtiejuszczej rzi, diewstwiennaja grieczicha wstajot na gorizontie kak stiena dalniego monastyria.

Głos w dwa ognie wzięty: nie przejdiesz, to niepodobieństwo!... Wypal z pistoletu, a cała chorągiew runie na twój ratunek... Ow obóz, ogłodzony, zasypywany codziennie kulami, pełen śmierci i trupiego zapachu, wydał się w tej chwili panu Longinowi cichą, bezpieczną przystanią.

Auf Pferden nach Blaubeeren süchtig. Mit Lanzen, weissrot bewimpelt. Schwadronen Schwermut und Tradition. Attacken und Bilderbüchern. Über Felder bei Lodz und Kutno. Oh, so begabt galoppierend.

Tichaja Wołyń izgibajestsia, Wołyń uchodit ot nas w żemczużnyj tuman bieriozowych roszcz, ona wpołzajet w cwietystyje prigorki i osłabiewszimi rukami putajetsia w zarosliach chmie lia.

Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: „Matko Odkupiciela!” — i obtarła mu skroń.

Ein reingebürtiger Pole von traurig edler Gestalt, der allen seinen Ulanen den Handkuss beibrachte zu Pferde, so dass sie nun immer wieder dem Tod — als wär' der 'ne Dame — die



Hände anständig küssen. Poczerniewszij Zbrucz szumit i zakrucziwajet pienistyje uzły swoich porogow. I gdy pan Longinus powiedział: „Gwiazdo zaranna!”, „Ihr edlen Polen zu Pferde, das sind keine stählernen Panzer, sind Windmühlen nur oder Schafe”, krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już jak przez mgłę, rieką usiejana czornymi kwadratami tielig, ona pełna guda, swista i piesien, griemiaszczich powierch łunnych zmiej i sijajuszczich jam, und also ritten Schwadronen dem Stahl in die feldgraue Flanke, i to były jego ostatnie słowa na ziemi.

Mimo wszystko nadal wychodzi mi na spotkanie.

Obca pamięć w odcinku cotygodniowym, i tam — ja i Tadeusz raz po raz, więc czytam, ma się rozumieć, że czytam, i nie całkiem obojętnie, chociaż autor, ciągle obecny, donośny, przebiegający od prezydium do drzwi i od drzwi do prezydium (wszystkie oczy na niego), dawno przestał ważyć na moim życiu.

W kularach ostatniej imprezy, ogarniając ramieniem Teodora, no powiedzcie, co Woroszyłski myśli, jak przedstawiam go w pamiętnikach, Teodor wyzwalając się z uścisku: nie rozmawialiśmy o tym, ha, nie chcę powiedzieć, a jaż o nim dobrze piszę, z sympatią, młody podobał mnie sje, inna rzecz później.

Czy ważył kiedykolwiek, przez dwadzieścia lat głos tubalny i gest zamaszysty, i marynarka rozdęta na przedzie, i intrygi, i protekcje, i zemsty, i gry, i koncepty, i wielka polityka, i małe porachunki, i ja też przez czas jakiś w tej trąbie powietrznej, w tym kołowrocie, i wszystko to nieważne, nie ważące, pozostało parę anegdot, nie więcej, jakby nie wypełniał sobą wytrwale i natarczywie tych miejsc widocznych, i kto wie, może właśnie dlatego, czując ową luźność dokoła, tak się śpieszy z ogłaszaniem zapisu skrzętej pamięci, i ma rację, jakże tego nie czytać, w to przynajmniej zwabił raz jeszcze.

Ja w odcinku: sympatyczny, tak, sympatyczny, młody i zapalony, nie sam zresztą, „grupa”, „ich młody wiek, ich szczerłość, ich naiwny, ale uczeiwy zapał”, wychylone z trybuny ślepe szczenięta, pod ojcowskim okiem dojrzałego działacza, pełen wyrozumiałości i troski, później, no tak, dalszy ciąg nastąpi, lecz na razie można ich poklepywać i szturchać po przyjacielsku, no zabierzcie głos, brawo, dobrzescje powiedzjeli tym liberałom, i uśmiechać się nie bez dumy.

I raptem — strach w oczach.

To nie ja, to Tadeusz, gdy w jakimś przejściu czy w szatni, może już na ulicy, wsiadając do samochodu, czytaliseje Stalina

o językoznawstwie, ciekawe, prawda? a Tadeusz, zamiast pokwitować, jak wypadało, że owszem, ciekawe, czytał, podniósł wzrok zdumiony: ciekawe? wy mówicie, że to ciekawe? g e n i a l n e ! i tu strach, i pot, i żal, że tak nieopatrnie, i wraz z żalem przebłysk raptowny, że Tadeusz jest graczem, gra na jego zniszczenie, i na zawsze od tej chwili nienawiść, i jeszcze próba manewru: toż mówię, że genialnie ciekawe.

Tadeusz w odcinku: „Coś było takiego w jego oczach, uśmiechu, zwłaszcza w tym, co mówił, co wydawało mu się...” — „Po prostu czułem jakąś sprzeczność, coś nienaturalnego w tych oczach, w tym uśmiechu. Był trochę podobny do S., no, a ile było takich głębokich samozafałszowań u S., miałem okazję...”

Zapis śmierci Tadeusza: „Jadę do kliniki rządowej. Można zobaczyć? Wzruszają ramionami. Zaglądam. Ma siną twarz. Rzęzi. Wygląda, że agonizuje.”

Stał w drzwiach, obserwował siną twarz i rżenie.

### Przymierzanie skóry.

Dopasywanie, wiercenie się w niej, próby wyjścia, odrzucenia, zamieszkania choćby przez chwilę w innej.

Poczucie stu możliwości, stu wariantów, rzeczywistych? zmyślonych? gdzieś istnieją, poza mną, ale skoro zrobię ten krok — znajdę się w miejscu, w którym mógłby być ten, którym byłbym, gdybym nie był sobą, skoro zaś nie zrobię, zostanę, gdzie zostanę, jaki zostanę?

Progi, stoję w progu, przejdę? nie przejdę? jeszcze mogę zawrócić, drzwi zamknięte, mogę nigdy nie stanąć przed balustradką, za którą ktoś przerzuca papiery i podnosi twarz zdziwioną, kiedy pytam za głośno o ideę ukrytą pod pseudonimem, mogę nie wejść i nie wyjść z jej legitymacją w kieszeni, wszystko będzie inaczej, wszystko możliwe, póki stoję na progu.

Mogę mówić rozmaicie i milczeć różnym milczeniem, kiedy świat nagabuje mnie tym co wokół, czemu mówię tak właśnie i milczę tak właśnie, skoro innych wariantów nie spróbowałem, zatem włada mną coś większego od wyobraźni i nie jestem wolny, i tej skóry sam nie wybieram?

Coraz mocniej przylega do mnie, dopasowuje się, coraz szczelniej opina, już nie zrzuć jej z siebie.

Za aktorstwem nieziszczona tęsknota, za maskami, za wcielaniem się w postaci, których możliwości ledwie przeczuwam.

Zawsze w tej skórze.

Moje zdrady, moje odstępstwa, mój życiorys łamany i zra-  
stający się krzywo, moja trudność dogadania się ze sobą sprzed

lat niewiele, zmiana gustów, zmiana poglądów, lecz skóra, skóra.

Artykuły Stalina, to był popisowy numer Trąby Powietrznej w owych dniach czy tygodniach, przecież i mnie o to zagadnął, może tego samego dnia nawet, kiedy Tadeusza, i odparłem ponuro, że nie rozumiem, naprawdę mnie to dręczyło, do tej pory wszystko było klasowe, istniał język proletariatu i język burżuazji, e, nie przejmujcie sje, zrozumiecieje, klepnął mnie po plecach, byłem ciągle sympatyczny, a dziecinne trudności z przystosowaniem do nowej prawdy, owszem, lecz za to ufność, z którą zwierzałem je starszemu towarzyszowi, zrozumiecieje, pocieszył i pomknął dalej.

Tadeusz znał nie takie numery, ciekawe? wy mówicie, że to ciekawe? zdaje mi się, że widzę ironiczny błysk w jego oczach, może błysk pogardy, i przez zęby, ostro, z naciskiem: genialne! i rejterada tamtego, po stopniach, do samochodu, i huczny śmiech Tadeusza.

Hahaha, znów echo, prawo echa sterujące moim istnieniem w tej książce, jakby to, co na zewnątrz, czytało nie ogłoszoną i śpieszyło na każdy dźwięk odpowiedzieć, tym razem w Kawiarni, właśnie, czas na Kawiarnię, gdzieś już po drodze mignęła, rzadko w niej bywam, nie zdołała mi zastąpić niczego, ależ tak, i ja próbowałem chwycić się śliskiego blatu w południe, rychło odpadłem, kiedy jednak zdarza mi się, szanuję rytuał, i tym razem więc jak zwykle w sam środek, tam Królowa królująca, dwór zajęty dworowaniem z siebie i reszty, o czym dzisiaj? kto kogo stworzył, załatwił, urządził, wiadomo, tutaj same osobowości, i na serio niepodobna przypuścić, ale w żartach, hahaha, ty mnie zapisałeś i wypisałeś, a jakże, sam leciałeś jak éma na ogień, i znienacka Królowa: wszystkich was urządził nieboszczyk, nieboszczyk, jaki znowu nieboszczyk, no Tadeusz, Tadeusz, kiedy on, nie wzruszaj ramionami, właśnie on, ucina despotycznie Królowa, i milkniemy, na pustym krześle przy królewskim stoliku siada nowy mit, duch człowieka, który pierwszy wybrał wiarę i całopalenie talentu, my zaś za nim, usiłując dorównać, ale nie umiając ani tak pisać, ani tak przestać pisać, ani tak się zabić, załatwieni przez wzorzec złej biografii, tylko tym, że nasze nie zamknięte, górujący nad wzorcem, że tak siedzieć możemy w Kawiarni otaczając Królową i dworując pilnie od dwunastej do pół do trzeciej.

Książka u wezłowia, książka-wyrzut z dedykacją serdeczną,

nie ośmielałam się przewrócić kartki, nie ośmielałam się nawet powiedzieć sobie, dlaczego.

Jednak biorę w końcu, otwieram, czytam, już przeczytałem tę książkę, przed którą wzdrygałem się z obawy, z dwóch nie całkiem świadomych obaw, wiem o nich dopiero teraz, kiedy już przeczytałem, pierwsza — że zniszczył ją własnymi rękami, druga — że udało mu się, nie chciałem współprzeżywać jego upokorzenia i nie mogłem przystać na własne, więc ta pierwsza obawa, kiedy po wszystkim, co się stało, po jego gestach, bardziej nawet patetycznych niż gesty innych, i po tym jak potrząsał brudnobiałymi zwojami korekt, wołając że za nic, absurd, co oni sobie właściwie proponując mu te skreślenia, odczytywał je z sarkastycznym uśmiechem, tu słowa, tam zdanie, tam pół strony, i kiedy po tym wszystkim spotkałem go rozpogodzonego, już przystał, jak gdyby potwierdzając to, co często o nim mówiono, a czemu ja zaprzeczałem, i znowu próbowałem go zrozumieć, to nie był małostkowy lęk przed konfliktem, to był lęk przed nieistnieniem, od tylu lat istniał w publikacjach, czarno na białym, literami na papierze, okładką w witrynie księgarskiej, czy jest już zapowiadana, niestety, w tym roku, to go zjadło, wiesz, powiedział, w końcu najważniejsze, ale nie wierzyłem, że najważniejsze, ta przyglądzona, dostosowana książka będzie gorzej niż nieistnieniem, bo istnieniem fałszywym, dwuznacznym, nie powiedziałem tego, naleganie żeby odmówił mogłoby wyglądać na wciąganie go w moją sytuację, lecz tymczasem on już wciągał mnie w swoją, powinieneś coś zrobić, powiedział, wysłać list do, wytłumaczyć, zastanowię się, przyrzekłem, a on przyjrzał mi się nieufnie, już znowu między nami ta tafla szklana co niegdyś, i może dopiero ta druga obawa, bo właściwie ta druga już w trakcie, i pojąłem, że była w tym jakaś zaskakująca racja, że moja wiedza o skreśleniach wymuszonych jest drugorzędna, gdyż istnienie jego, moje, każdego w wydanej książce jest i tak istnieniem kogoś pokreślonego, w samym sobie, w swoim wstydzie i niemożności, w toku urywanym, wybiórczym z tysiąca przyczyn, i jak nie wiem, co skreślił sam w owej drodze ciemnej od siebie wewnętrznego do siebie oznaczonego dla innych, nie mam prawa sądzić, że wiem, jaka cena tych tutaj, jaki stopień kalectwa, i przyjąć muszą to istnienie w okładce, z lakonicznym tytułem, jako pełne w swoim obrębie, prawdziwe, tak, wyszedł na swoje, przyjąłem je, i stąd ta druga obawa, w popłochu śledziłem konstrukcję tak podobną do mojej, zwierzchnia, cofnięcia w czasie, analizy, notatki z lektur, nawet fragment fikcji literackiej wmontowane w pamiętnik, tyle zbieżności, przecież zacząłem to dawno, chyba dawniej niż on,



nie rozmawialiśmy o tym, ale moja opieszałość i jego zdecydowanie, jego sprawność, także jego ostatnia decyzja, wszystko obracało się przeciwko mnie, i nie jego zgoda stawała się już dwuznaczna, lecz moja niechęć do tej zgody, bo jeśli kiedykolwiek doprowadzę swoją książkę do końca i jeśli zdołam ją wydać, odbiorą ją jako naśladownictwo, powtórkę, przejęcie chwytu, a wtedy.

Nie.

To nie tak.

Trop pokrewieństw formalnych jest tropem wolnym, on napisał, ja piszę, dwie różne książki, bo jego samotność jest czymś innym niż moja samotność, i jego przekroczenie granic, zespolenie się z tym co wokół, czymś innym niż moje, wykres jego czasu, jego rytm, jego rozpadanie się i scalanie, wszystko jest odmienne niż moje, współzawodnictwo nie istnieje, nie mamy sobie czego zazdrościć, książka to nie pomysł, pomysł wisi w powietrzu, jest najprostszy z możliwych, książka to ten, który wyrwał się z siebie i wszedł w nią, i stał się, nie piszemy pomysłami, piszemy sobą, nie ma dwóch takich samych.

Jego kalectwo jest czymś innym niż moje kalectwo.

Z tamtej książki: „...w literaturze ja bywa czasem pozorne, starannie oddzielone od osoby autora i przypisane zewnętrznemu światu, zwykle pod innym nazwiskiem. To jeden z zabiegów: umowa o nieobecności trwa nadal i bohaterem jest on ukryty w formalnym ja. A można by pójść dalej: złamać umowę, stworzyć rzekomy autentyk samego siebie, wkroczyć ze swymi prawdziwymi personaliami i stać się własną fabułą...

Czegóż to się nie wyczynia dla sztuki! W Zakopanem, ten plastyk w góralskiej chałupie sporządzający obrazy magiczne ze szkiełek, drutu, ptaszków jarmarcznych i gipsowych rąk!... Wszechświat wyciągnięty z antresoli, montaż starzyzny i rupieci, i wlepione w to odpadki sztuki: wachlarz, odlew dłoni...

Ale w literaturze można się posunąć o krok dalej: przykleić pukiel własnych włosów, umieścić własną odciętą dłoń —”

Czy on to robi dla sztuki?

Ja, czy robię to dla literatury, dla sztuki?

Brice Parain w „Małej metafizyce słowa”: „Nie ja mówię, kiedy mówię, ale ja zwracający się do drugiej osoby... Mówić to znaczy być kimś... Wynika stąd, że ,ja' nie istnieje, przynajmniej w postaci izolowanej, chemicznie czystej. Poprzez język ustanawia się w nas pewien związek z innymi, który przeszkadza

nam poznać nas samych względnie sprawia, że znamy się tylko tacy jacy jesteśmy w tym związku... Prawdziwą samotnością, prawdziwą wolnością obdarza nas śmierć, a my wciąż szukamy zawzięcie jej namiastek, którymi są: milczenie, medytacja, odosobnienie...”

Sammy Davis: legenda o Murzynie, któremu tego było za mało.

Spotęgować swoją ostatność, podnieść do kwadratu pariasostwo, zuchwalej jeszcze wyzwać los, który sam przez się jest ekstraktem klęski, braku szans, przygwożdżenia.

Sammy Davis przechodzi na judaizm. Murzyn pomnożony przez Żyda.

Na szarżę los odpowiada kontrszarżą: małego, czarnego, pokracznego rzuca w katastrofę samochodową, Sammy Davis traci w niej oko, los śmieje się szyderczo, ale Sammy także się śmieje, i wszystkiego mu mało.

W kantynie wojsk okupacyjnych, o tysiące mil od ojczystego Harlemu, zadziera z białym sierżantem, olbrzymem w mundurze jaki sam nosi, i betonowa pięść łąduje na jego twarzy.

Mały (prawie karzeł), jednooki, szpetny, Żyd-Murzyn, ze zmiażdżonym nosem.

Quasimodo.

I z tej pozycji dopiero, dumnie, uparcie: Yes, I can.

To już dawno: na Sześćdziesiątej Ulicy, o pięć kroków od ekskluzywnej Copacabany, od wrót strzeżonych przez cerbera w złotej liberii, mały obdartus na bruku, nad euechnącym rynsztokiem.

Dwadzieścia lat na przejście tych pięciu kroków.

Sammy Davis śpiewa, Sammy Davis tańczy, Sammy Davis błaznuje.

Yes, I can.

Triumfuje na deskach music-hallów, zdobywa sławę, pieniądze, szlabany segregacji rasowej unoszą się pośpiesznie na jego widok jak kapelusz pochlebców i snobów.

Przyjmuje to z ironicznym grymasem, uczestniczy w walce o pełnię praw dla upośledzonych współbraci, o równość dla każdego i wszystkich.

Czyni to śpiewając, tańcząc, błaznując.

Zongluje na scenie ogromnym coltem i przedstawia się publiczności: proszę państwa, macie przed sobą pierwszego w dziejach Stanów Zjednoczonych kowboja Żyda, Czarnego i Jednookiego. I publiczność klaszcze do upadłego, i obsypuje go kwiatami i dolarami.

Yes, I can.

Zeni się z długonogą, piękną i jasną Szwedką; nie kupuje — zdobywa potęgą osobowości; May Britt go kocha.

Białą kobietę spotykają afronty — i to on jest tym, który jej broni, zmusza hałastrę do zamilknięcia, więcej — do oddania honorów, wzniesienia jej na piedestał.

Piękna Szwedka rodzi dziecko o kawowej cerze i czarnych kręconych włosach. Ten chłopiec nie będzie z perspektywy rynsztoka śledził drzwi obrotowych Copacabany. Ale czy nie będzie musiał od początku utwierdzać się w świecie różnic i fałszywych hierarchii, czy potrafi się przeciwstawić i powiedzieć jak ojciec: Yes, I can?

Sammy Davis, zwycięzca, śpiewa, tańczy, błaznuje, improwizuje, prowadzi zapatrzoną i zasłuchaną publiczność.

Lecz w brawurze, z którą to czyni, pojawia się jakby odcień kabotynizmu, a może — pogardy dla siebie i tych, którzy go oklaskują?

Znam go tylko z fotosów, z płyt i z relacji w prasie.

Kiedy byłem w Paryżu, występował w Olimpi, nie stanąłem w ogonku do kasy, bilety były za drogie.

To już nie ja.

Nie ja jestem tym chłopcem, jaka szkoda, już wszedłem w tę konwencję, w tę twarz, już nie biorą mnie za intruza, już się umiem zachować, kartę poproszę, służę panu, i właśnie w chwili, gdy studiuje w skupieniu spis dań obiadowych, wchodzi on, długoręki, kanciasty, prowincjonalny, rozgląda się rozpaczliwie po pustej sali i zmierza do mnie, chociaż tyle jest wolnych stolików, mogę się przysiąść, proszę, odpowiadam niechętnie, po czym zamawiam, dla mnie to samo, dorzuca w pośpiechu chłopiec, teraz jemy, ignoruję go, ani słowa, on także milczy, lecz podgląda mnie chyłkiem i próbuje imitować, z trudem, w napięciu, kurczowo wpijając palce w nóż i widelec, śpieszę się żeby uciec od niego, płacić proszę, razem obliczyć, pyta niby to obojętnie kelner, lecz wyczuwam w tym ironię, osobno, odpowiadamy jednocześnie, dlaczego tak się go wstydzę, dlaczego tak mi zależy, żeby kelner nie pomyślał, żeby przestał myśleć, że ten chłopiec jest ze mną, a więc wciąż jestem blisko niego, w zbyt małym stopniu przestałem nim być, moja dorosłość siedzi na mnie niepewnie, jest jak źle zawiązany krawat, trzeba ciągle poprawiać i przeglądać się w lustrze, może w pół roku później potraktowałbym tego chłopca inaczej, zagadałbym do niego, skąd jesteś, i: razem, odpowiedziałbym kelnerowi, ale wtedy on by się już do mnie nie przysiadł, przysiadł się, bo wyczuł

jeszcze coś z siebie, to mu dodawało odwagi, miałem być tym, który go przeprowadzi, a ja, ignorując go ciągle, płacę rachunek i wstaję, może wstydzi się teraz za mnie, już nie patrzy, oczy ma wbite w stolik, czeka aż sobie pójdę, wychodzę jakby nic się nie stało, wyparłem się tego chłopca i siebie, jeszcze parę razy się wyprę i dorosłość oblepi mnie szczelnie jak błona.

Nigdy nie nauczysz się wiązać, daj tutaj, powiedziała Joanna, rozwiązałem posłusznie krawat, to ma być krawat, zachichotała przewrotnie, to postronek, stryczek, naburmuszyłem się: oddaj! nie oddam, i zerwała się z koca, igliwie trzeszczało pod jej stopami, dobiegła do jakiegoś pnia i zwinnymi palcami zawiązała mój ukochany, jedyny, szafirowy, to prawda, że dość wyświechtany, na ukośnie sterzącym sęku, cofnęła się o krok, dzień dobry, panie pniu, ukłoniła się w pas, miło mi pana poznać, skąd pan ma taki wytworny postronek, czy nie boli pana od niego grdyka, tu zmieniła głos, jestem straszny waśniak, więc muszę chodzić w dobroczyнным krawacie z unry, aaa, to co innego, kilkoma susami dopadłem pnia i wyciągnąłem rękę po swoją własność, ale Joanna w tej chwili odbiegła dalej, coraz w innym miejscu wyrastając z trawy migotliwą bielą nóg nie tkniętych jeszcze opalenizną, i zawołała, uprzedzam cię, ja albo krawat, okręciłem się w miejscu i pobiegłem za nią tratując krzaki jałowca, ja albo krawat, płynęło przede mną rozgarniając gęstą falę upału, a potem już tylko: ja, jednak ja, wolisz mnie od krawata, mnie od krawata, zatrzymała się i oparła o drzewo, jak chcesz, powiedziała to miej sobie ten okropny krawat, co mi tam, ale spędź natychmiast to co chodzi po moim policzku, co to było, jakieś paskudztwo, słuchaj, szeptem na granicy oddechu, ty masz znowu zielone oczy, to dlatego że las? nie udawaj, że nie wiesz dlaczego.

Nie widzę jej ciała, widziałem je prześwietlone słońcem, całym sobą widziałem, otwartymi i zamkniętymi oczyma, kochałem to ciało, od palców stóp do czubka głowy, każde zgięcie, każdą linię śpiewną i płynną, jego białość, jego złocistość, jego twardość i miękkość, i ten puszek tkliwy, i bliźnę nad kolaniem jak ścieg niedbały, w każdej sukni i płaszczu tak wyraźnie widziałem jak nagie, i nie widzę, nie pamiętam, jak to się stało, Joanno, nie wiem już, jak wyglądasz, nie mówię tego, mówię coś zupełnie innego, spotykamy się przecież tylko w sprawach Grażyny, tego niepojętego stworzenia, które z naszych ciał złączonych, z naszej miłości, ale o co ten żal, sam chciałem stracić, znużony posiadaniem tego, co kocham, oddzielić się, wyzwolić,



jakże mógłbym chcieć widzenie zachować, rozłączając się trzeba oślepnąć, nie widzę jej ciała, widzę bluzkę, spódniczkę, pończochy, okulary słoneczne, zegarek, nie widzę, nie pamiętam jej ciała.

A ten chłopiec ciągle wchodzi mi w drogę, i jakby szukał okazji żeby teatralnie, w scenerii okazałej i ironicznej, już mu mało hotelowej restauracji, teraz wchodzi do pałacu rozświetlonego, gdzie kamienne lwy warują u czarnych łańcuchów i fontanna szablą srebrzystą saltuje przybyłych, wchodzi w zakurzonych buciorach, w wypłowiałym drelichu, do pałacu wchodzi przewodnik Służby Ojczyźnie, gdzie dla niego właśnie te światła dzisiaj i zastawy, kielichy, ordery, rękawiczki, muzyki, i my wszyscy, jego reprezentanci, więc ściskamy mu dłoń zgrubiałą i rubasznie, porozumiewawczo: szybko do stołu! póki generalicja najlepszych kąsków, łapcie talerz, kolego, co wam nałożyć, to jest kawior, a to pularda, może łososia, to wypijmy za młodzież, a on rozgląda się rozpaczliwie, rad by usiąść, lecz wszyscy stoją, jak też ręk im starczy, talerz, nóż, widelec, kieliszek, odważnie, ktoś doradza, udko w garść, zaś orkiestra w przyległej sali gra tysiące rąk miliony rąk a serce bije jedno, i kelnerzy w czarnych frakach, zaufania godni pod wszelkimi względami, raptem zamarł z talerzem w dłoni, o Jezu, toż to, takusieńki jak, chcecie się zapoznać, pozwólcie, towarzyszu, tu nasz przodownik, bardzo mi miło, jedzcie, jedzcie, nie przeszkadzajcie sobie, kiedy już nie mogę, nie mogę to przez nogę, jak głosi porzekadło ludowe, a teraz przepraszam, tam bratnie delegacje, ale wy już zaopiekujecie się naszym młodym, żeby nie miał krzywdy, i odpływa, a my nakładamy i dolewamy, zachęcamy, zmuszamy i jesteśmy serdeczni, i nie mamy mu nic do powiedzenia, i on nie ma nam nic do powiedzenia, oprócz: już nie mogę, a my: nie krępujcie się, jeszcze tort, tortu trzeba spróbować, a jemu oczy na wierzch wyłażą i wyrzyga się zaraz na ten obrus biały z półmiskami i salaterkami, i zbyt jest oszołomiony, żeby zniechęcić nas, mnie, ten pałac, melodię miliony rąk, a ja także jestem pijany, nie tylko alkoholem, muzyką, świętem, lecz sobą, swoim prawem do tego wszystkiego, w które nie wątpię, swoim braterstwem z tym chłopcem w zakurzonych buciorach, które wydaje mi się niezaprzeczone, swoim udziałem wraz z nim i z wszystkimi tutaj, i prawie wszystkimi tam, za czarnymi łańcuchami i lwią wartą z kamienia, w wielkiej mądrej wspólnocie, o którą zawsze.

Ma jaskrawą koszulę wypuszczoną na spodnie i wyje.

W najgorętszych momentach wstaje, zdziera z siebie ten sztandar w pięciu kolorach, wymachuje, podrzuca do góry, sam unosi się w górę, jakby ta jaskrawa płachetka była balonem i targała nim, i ciągnęła.

Jest ich tysiąc w takich koszulach, w konwulsjach, w krzyku.

Wybrałem go sobie, nie mogę wszystkich, zaraz na początku jego sobie wybrałem, z tą dziecinną buzią, z włosami sterczącymi na wszystkie strony, z medalikiem na wątej piersi, odślanianym ilekroć gwałtownym ruchem.

Jeszcze ciągle nie jestem tak dużo starszy, osiem-dziesięć lat co najwyżej, a tak bardzo gdzie indziej i kiedy indziej, że aż kręci się w głowie.

Ten, co śpiewa ochryłym głosem i uderza pięścią w klawisze, i wygina się włosami sięgając desek, to mój rówieśnik.

Nie rozumiem, mówię do Joanny, jeżeli lubią tę muzykę, to dlaczego nie chcą jej słuchać.

Popatrz, mówi Joanna, jacy oni szczęśliwi.

Nie chodzi o muzykę, chodzi o t a m t o, inne tamto czy to samo tamto, skąd mogę wiedzieć, skoro jestem tak bardzo poza, w świecie, do którego oni już nie chcą się dostać, swego bronią przed nim tym wyciem, tą magią, ekstatyczną niedorobnością, całym z nocy na rano zrodzonym systemem znaków scalających i wyzywających.

Ten na podwyższeniu przeturłał się przez fortepian, kto kogo prowadzi, on ich czy oni jego, znów zerwali się z miejsc, rycząc, tupiąc, zdzierając.

Mój chłopiec mnie nie widzi.

W natchnieniu szybuje nad salą.

Nie zna mnie.

Jest szczęśliwy.

Ten w radio, który nadał ton dyskusji, nazywał się Jacek, nie poznałem go, kiedy stanął przede mną na dworcu zamiast Grażyny i powiedział: Dżina jest szalenie inteligentna, dopiero za trzecim razem, niedługo potem jak w teatrze Aktor z tymi rękoma, ten ruch ledwo dostrzegalny do przodu i cofnięcie natychmiast, nie naśladowanie kajdan, nie aluzja nawet, cień wspomnienia czy niejasnego odczucia, i to wszystko co nastąpiło gdy Mickiewicz z pomnika przez warszawskie ulice, czy to w ogóle było? piszę o tym niedługo później i już nie mam pewności, otóż wówczas w tłumie pod Politechniką skupioną i patetyczną, Warszawo to my twoje dzieci! robotnicy Warszawy z nami! zbliżyłem się do sztachet, student przyjmujący dary od

przechodniów wyciągnął rękę, Jacek, powiedziałem podając mu papierosy, skinął głową, jak tam Dżina, musi zrobić maturę, znów skinął głową i wtedy uświadomiłem sobie, że to nie drugie nasze spotkanie, lecz trzecie, i ustąpiłem miejsca przy sztachetach staruszce z chlebem.

My zaś, my pulpitami stukamy, groźnie, miarowo, nie wstajemy z miejsca, ale jest tak, jak gdybyśmy ławą posuwali się naprzód, krok za krokiem, nieustępliwie, wydzierając teren przeciwnikowi, na katedrę jak na wrogą baterię, białą ścianę jak mury twierdzy, i ryczymy przy tym, skandujemy trzy obce słowa, to, co skandujemy, jest absurdalne, bo przecież, lecz nie o to chodzi, tylko o sprzeciw, atak, ryk, łomot, i-e-e-o, i-e-e-o, skandujemy uparcie, nad głowami przefruwa pierwszy kałamorz i roztrzaskuje się wysoko, fioletowy atrament jak ośmiornica pełźnie puchnąc po białej ścianie, i natychmiast następne, trzask, trzask, ściana zboczona zda się chylić do tyłu, nacieramy, i-e-e-o, i-e-e-o, z czterdziestu młodych płuc, nie czterdziestu, trzydziestu dziewięciu, bo jeden, z początku nie dostrzegamy wyłomu, ale jego sąsiad odsuwa się na skraj ławki i zacieklej od innych wali pulpitem, i siedzący przed nimi odwracają się w tył i patrzą, i już wszyscy patrzymy, jak siedzi, skrzyżował ręce, próbuje się uśmiechać nie rozchylając warg, to jest on, mój trzeci przyjaciel, jeszcze nie wiem tego, jeszcze go nie znam, do gimnazjum zdawaliśmy przed wakacjami, po wakacjach zaczęła się wojna i przyszli Rosjanie, to bolszewik! krzyczy piskliwie jego sąsiad i wstaje, to co że bolszewik, pytam i także wstaję, nie będę siedział z bolszewikiem, to nie siedź, i przechodzę na jego miejsce, tutaj chwytam za pulpit i doganiam nacierających, naprzód, jesteście już zmęczeni, ale nie możemy zaprzestać, i-e-e-o, i pulpitami, i trzask, ostatni spóźniony kałamorz, i w tej chwili dopiero w progu staje pan Kochanowski, patrzy z góry na nas i na ścianę, i znowu na nas, i nagle zapada cisza.

Na wysokim nasypie nad torami kolejowymi, na kartoflisku rozczochranym i sypkim, gdzie od lat najwcześniejszych chodziłem tęsknić za dalą i drogą, tego dnia po raz pierwszy z Włodkiem, teczki w brudzę, z nogami w dół spuszczoneymi, kłęby pary w powietrzu i babie lato, i pod nostalgiczny gwizd lokomotyw, od niechcienia, co wzięłeś z biblioteki, wiersze, wiersze? nuda, Włodek uśmiecha się, tak? a sam nie piszesz? czerwienię się, skąd wiesz? wiem, to może ty, może ty także?

**MYŚLICIE ŻE TO BREDZI MALARIA TO BYŁO W ODESSIE PRZYJDE O CZWARTEJ POWIEDZIAŁA MARIA**

OSIEM DZIEWIĘĆ DZIESIĘĆ I JUŻ WIECZÓR GRUDNIE-  
JĄC W POCHMURNĄ NOC ODSZEDŁ OD OKIEN POBLA-  
DŁYCH W ZGRZYBIAŁE PLECY CHICHOCĄ I RZĄ KAN-  
DELABRY TERAZ BY NIKT MNIE NIE PÓZNAŁ ŻYLA-  
STY OGROM SKRĘCA SIĘ JĘCZY CO BY SIĘ ZACHCIEĆ  
TAKIEJ BRYLE MOGŁO A BRYLE CHCE SIĘ WIELU  
RZECZY BO JUŻ NIE WAŻNE I TO ŻEM Z BRĄZU I TO  
ŻE JAK ZIMNY KAMIEŃ MOJE SERCE NOCĄ BY CHCIA-  
ŁO SIĘ DZWON SWÓJ WTULIC W MIĘKKIE W KOBIECE

No? triumfuje.

Co to?

Majakowski.

Pod nami brzęczą szyny, długi skład pustych lor wjeżdża w  
siwy horyzont, serce ściska mi się boleśnie, te pociągi, te wiersze,  
ta nowa przyjaźń, ten nieoczekiwany moment wielkiego wtajem-  
niczenia, więc możliwe są takie, więc, słuchaj jeszcze.

ZA GENIUSZAMI KROKIEM NIEPOCIESZONEJ WDO-  
WY SŁAWA NIECH DREPCZE W ŻAŁOBNYM ORSZAKU  
UMRZYJ MÓJ WIERSZU ZGIŃ JAK SZEREGOWY JAK  
BEZIMIENNIE NASI GINĘLI W ATAKU GWIŹDZĘ CZY  
Z BRĄZU KTOŚ MI SPÓDNIĘ SKROI GWIŹDZĘ NA  
PŁYTY MARMUROWYCH SKALISK ZŁĄCZMY SIĘ W  
SŁAWIE TOC MY WSZYSCY SWOI NIECH JAKO WSPÓL-  
NY POMNIK NASZ STOI WZNIESIONY W BOJACH  
SOCJALIZM

Oni po nocach aresztują ludzi, wybucham.

A białoruskim chłopom, mówi Włodek, w defensywie pom-  
powali wodę przez nos, trzy, cztery litry, przez nos, kapujesz?

Nieprawda.

Prawda.

Skąd możesz o tym wiedzieć?

Mój stary siedział przed wojną.

To twój stary teraz, próbuję domyślnie, on jest niezdrów,  
ucina Włodek i chmurzy się.

Wszystko wykupili, rzucam, ledwie weszli, to wszystko w  
sklepach, czekoladę, jedwabne pończochy, oni nie nie mają.

A u nas przed wojną każdy miał na czekoladę i jedwabne  
pończochy, co, każdy?

Nie chcesz, żeby była Polska?

Idiota, Włodek wstaje i otrzępuje spodnie, kto ci powiedział,  
że ma jej nie być, Polska będzie, ale, przez chwilę waha się,  
a potem, jakby robił ustępstwo dla mnie: może w Polsce socja-  
lizm od razu uda się lepiej.



A więc ta przyjaźń będzie rozmową bez końca i wędrówką bez końca, przez nasypy, bruki, aleje, przez pory roku, przez inwersje i rytmy, fantazje i hasła, będzie sporem bez końca i uleganiem moim jego wizji Nowego Braterstwa Ludzi, i mimo to sporem zajadłym, najważniejszym w życiu, pomiędzy marzeniem a potoczną rzeczywistością, jak można być po stronie marzenia przeciw rzeczywistości, jak można być po stronie rzeczywistości przeciw marzeniu, jedno i drugie jest w nas, jest z nami, w sporze, w emocji wydohywamy to z siebie nawzajem, a tak zwane doświadczenia, cóż one wznoszą, poczekaj, jednak wznoszą, przechylają szalę, może chcemy żeby przechyliły, ułatwiają w ten sposób, nieprawda, utrudniają, a ty szachrujesz, sam szachrujesz, dorosły, ze mną, uczniem, ze mną, osiemnastoletnim rekrutem dogorywającej już wojny, przecież chciałem, przyjechałem w dziesięć lat później, ale ja nie wróciłem i na zawsze zostałem taki, a ty jeździsz tymi pociągami i inni chłopcy patrzą z nasypu, nie porozumiemy się, a Majakowski strzelił sobie w łeb, wiedziałeś o tym wtedy na kartoflisku! i Majakowskiego też mierzysz swoim dorosłym zgorzknieniem, daj spokój, do kogo mówisz, mnie nie ma, między nami skończone.

Nie skończone między nami, inni będą tobą, sam tobą będę, będę tobą sto razy i sto razy tym, który z tobą się spiera, i Franciszek, i Tadeusz, i Aleksander, i ta piękna dziewczyna, z którą szliśmy przez Paryż jak ja z tobą przez nasze miasto, i Paryż nie był większy ani dziwniejszy, ta wspaniała dziewczyna, którą mógłbym pokochać gdybym, więc pokochałem ją inaczej, co nie stało się wcale mniej ważne, ta dziewczyna, która mówiła: może tutaj, bo przecież nie możesz twierdzić, i ten wielki poeta zawsze pijany, którego nazywaliśmy Mistrzem, i którego telefony budziły mnie po nocach, ciężko dyszał po drugiej stronie, słuchaj, mówił, to się załamałeś, to okropne, po cholereę włożyłeś w ten samolot, oni musieli, stawka zbyt wysoka, a ty, a ja, właśnie ja, czyż sam na przekór wszystkiemu tyle razy i ciągle jeszcze, więc nie skończone między tobą a mną, Mistrz nie żyje, lecz nie odkładam słuchawki, do dziewczyny w Paryżu czekającej na rewolucję piszę listy złą francuszczyzną, a Majakowski topi szybę czołem gorącym, napisałem książkę żeby między mną a nim chociaż, i też nie skończone, jesteś szczeniakiem w tej swojej furazerce zjeżdżającej na czoło i głupio wierzysz, że między nami skończone.

Kogo tu powiesiłeś, ojciec przyszedł ze szpitala zdenerwowany, nie jedząc obiadu położył się na kanapie, naraz wzrok jego padł na ścianę.

To Majakowski, poeta.

Chuligan nie poeta, powiedział ojciec, masz to zdjąć natychmiast.

Nie.

Ojciec wstał z kanapy i podszedł do mnie.

Nie zdejmiesz?

Uderzył mnie w twarz, następnie zerwał kartonik razem z pluskiewką i rzucił na stół.

Oddychał ciężko, był już chory na serce, wiedziałem o tym.

Podniosłem portret Majakowskiego i umocowałem w tym samym miejscu.

Nie denerwuj się, szepnęła matka, miałeś ciężki dzień, dam ci digitalis, nie zwracaj na niego uwagi, wiesz przecież.

Wybiegłem trzaskając drzwiami.

Kiedy szliśmy przez Paryż z tą cudowną dziewczyną i nie całowaliśmy się na moście, i nie objąłem jej w pól, i wiedziałem, że jest tą, którą mógłbym jeszcze pokochać gdybym udzielił sobie na to przyzwolenia, i nie udzieliłem, ten późny Paryż był odejściem od siebie, rozdygotanego i znużonego wszystkim, co zostawiłem w domu, nie całkiem zostawiłem, wlokłem za sobą jak ogon smoka przez słoneczne bulwary, ale mimo to było mi dobrze tutaj, jak czasem dobrze bywa obcemu nie kwestionowaną obcością, nie aspirującemu, do nie-obcości, to miasto wolno mi było kochać zewnętrznie, bez refleksji i bez dramatu, korzystałem ze swego prawa, a ona, ona była stąd i ją to miasto bolało, podpalała ogromnymi oczyma jego niesprawiedliwość, obojętność, obłudę, rozbijała lśniące witryny, za którymi bezszelestnie obracały się najnowsze modele peugeotów i jaguarów, gasiła uróżowaną frywolność reklam, wydzieraa ostrugi i żabie udka z gardeł smakoszków, do rynsztoka zlewała aperitify, rozparci przy stolikach na wolnym powietrzu nie zdawali sobie sprawy, że to Rewolucja przechodzi, znad krochmalu serwetek jak żaboty zdołbiących piersi posyłała jej łakome spojrzenia, olala, emokali, co za dziewczyna, a ona, ze mną z krańca w kraniec Paryża, ja z ogonem chrzęszczącym tego, co moje, i z radością tych ulic odświętną, ona z gorzkim wyzwaniem i z nadzieją, że kiedyś tutaj, wierzę, powiedziałem, wierzę bez trudu, że to kiedyś zrobicie, tylko, ja wiem, powiedziała, myślisz że, bo wy stamtąd, ja wiem, ja czytałam te książki, te wspomnienia, więzienia, wagony, głosowania, cenzury, i ty myślisz, roześmiała się, przecież to nie logiczne, przecież nie możesz twierdzić, nic nie twierdzę, ale tak myślisz, a tymczasem może być zupełnie, to jest szansa i może tutaj, a jeżeli zrezygnować z tej szansy, zatrzymała się i spojrzała

na mnie gniewnie, wczoraj na bulwarze zemdłał człowiek, dwie godziny leżał i nikt do niego nie podszedł, bo u nas jest wolność, każdemu wolno zemdleć, zdechnąć, i nikogo, a u was, czy u was to możliwe, no widzisz, triumfowała, nie nie mówiłem, znałem tego zemdlonego z bulwaru, był bliźniakiem chłopca torturowanego w policji, jakie równie wymowne postacie miałem im przeciwstawić i po co, nie rezygnuj, powiedziałem, nie rezygnuj z nadziei, chcę byś żywił ją razem ze mną, zażądała stanowczo, jeszcze nie zamierzam jej stracić, wymamrotałem, boję się tylko, że zaczniecie od, nie! wykrzyknęła, zobaczysz, wtedy dopiero, tutaj, tutaj będzie prawdziwy, ludzki, zobaczysz, i na zawsze skończy się to haniebne, zatoczyła ręką, była piękna w tej chwili, jak zresztą w każdej, i było coś z niej w Paryżu olśniewającym, w którym miałem prawo zakochać się, by porzucić, szliśmy przez Paryż, i naprawdę nie chciałem, żeby utraciła swą żarliwą nadzieję, ani żeby nadzieja utraciła ją, chciałem żeby trwały, nadzieja, ta dziewczyna, to miasto.

Czy Mistrz żywił nadzieję, jego telefony po nocy, załamałeś się, po cholere włąziłeś, ale Mistrz, z całą swą ortodoksją, najmniej mieścił się w tym, co wymarzył, ciągle przypasowywali mu biografię i ciągle coś wystawało i odstawało, tak im zależało, żeby przylegał, żeby się puentował, wyprawili mu jubileusz, brałem w tym udział, wygłaszałem drewnianymi słowami to, co czułem naprawdę, wielu czuło naprawdę i każdemu drewniało w ustach, ale on się wzruszał słuchając, Józio Kapucé na widok jego wzruszenia rzekł marzycielsko: teraz wreszcie powinien wstąpić, nie znał tej historii z młodości Mistrza, gdy już ktoś zapytał, czemu właściwie, bo się boję, odparł, ty, zdumiał się tamten, przecież byłeś na wojnie i bierzesz udział we wszystkim, ach nie, ja nie tego się boję, ja się w a s boję, kiedy to powtórzył po latach, skąd wiedziałeś, wtedy, byli moimi przyjaciółmi, wyjaśnił i wymienił nazwiska, znałem je już, teraz znali je wszyscy, kilka lat wcześniej usłyszałem je od Mistrza po raz pierwszy i umieściłem w jubileuszowym artykule, wezwano mnie wówczas do KC i kierownik wydziału powiedział: wasz artykuł jest za długi, przecież miał być obszerny, zdziwiłem się, za długi o parę nazwisk, wyjaśnił i wziął do ręki ołówki, Mistrz zasepił się, kiedy to usłyszał, to byli uczeni ludzie, mówił ze zbielełą twarzą, a teraz dopiero dodał, byli nieludscy, znasz przecież, i dorzucił jeszcze jedno nazwisko, oni byli tacy, wiedział zatem, prawie od początku przeczuwał, chociaż nie ich tragedię, oskarżonych, zgładzonych, wyskrobanych ze wspólnych z nim fotografii, prędzej własną, ale o nich pamiętał przez wszystkie te lata, jak

i o tym, co jego spotkało, mimo to jednak dzwonił w nocy i, kiedy więc jeszcze później, po zamilknięciu głosu w słuchawce, znów wypadło mi o nim mówić, tylko jedno umiałem: wierność, jak wam to wytłumaczyć, zastanawiałem się na głos, był wierny swojej ziemi, odczytacie to z wierszy, i idei, którą za młodu, więc nie mógł odwrócić się od tej ziemi, chociaż zaznał na niej goryczy, ani od niej, chociaż ucieleśniona skrzywdziła go najdotkliwiej, był wspaniałomyślny, bo wierny, i wierny także swemu losowi, nie chciał wykreślić z biografii ani jednego zdarzenia i z dzieła ani linijki, i wierny był przyjaciółom, choćby drogi ich się rozeszły, spotykałem w jego domu bardzo różnych, spoglądali na siebie wilkiem, ale każdy miał miejsce przy jego stole, bo razem jako chłopcy wyruszyli na wojnę, albo kiedyś w coś wspólnie wierzyli i wspólnie za to cierpieli, albo nie odwrócili się od niego kiedy, albo przyszli do niego ze swoimi pierwszymi rymami, albo z wyznaniem, że jego strofę, tak mówiłem, a gdy urwałem, mały chłopiec, nie syty wiedzy, jaki był oprócz tego, niecierpliwie zapytał, przypomniałem więc sobie i powiedziałem, był wesoły i silny, chętnie stawał na rękach.

Wierność, wiara, z jednego rdzenia, przenievierstwo, wiarotłomstwo, niewiara, czy był wierny bo wierzył, czy z wierności zmuszał się do wierzenia, dochowując wiary czy ją zachował, czy nie wierząc z wierności trwał przy nadziei, oni byli nieludzczy, wyznał, czy ich wiarę miał na myśli zbyt konsekwentną, wierność wierze, dającą upoważnienie do ślepoty, do nieludzkości, jak dalece, talentowi swemu wierny i ludziom, mógł dowierzać wierze, łamiącej talent i ludzi, wielu miało go za prostaczka, nie był prosty, wiem o tym dobrze, jego liczne wierności były skłócone, jego wiara, czym była, przekraczając obręb wierności?

Ten rękopis porzucony dziesięć lat temu, książka której nie napisałem, tylko tytuł pozostał na starej teczce, o wariatach, wierzących i samobójcach, o wariatach pół strony, kilkanaście stron o samobójcach, o wierzących spis postaci jedynie, i ja także w tym spisie, ale Mistrza nie ma, jego postać nie przyszła mi wtedy na myśl, wśród wierzących, przed absurdem egzystencji powszedniej w wierze znajdujących schronienie, czemu go przeoczyłem, przecież już się dobijał po nocy do mojej niewiary. już mnie wzywał z powrotem na szlak wierności, czy dlatego, że pijany, żywy i bliski, nie umiałem o nim jak teraz?

O chłopce białoruskiej, służącej u miejskich państwa, wielkiej, silnej kobiecie, wierzącej w Boga, grzeszna jestem, miała, nie poradzę przeżyć bez grzechu, całą wojnę żyła z żonatym chłopem, ze wsi do niej przyjeżdżał, na podwórzu stawał



furmankę, państwo już się skończyli, pracowała w magistrackich ogrodach, podkradając cebulę i marchew z grządy, grzeszna jestem, może Pan Bóg wybaczy, a jej Bóg był dobrocią i pomocą prześladowanym, z wiary w Boga ratowała ginących, nie żądając wdzięczności narażała się na śmierć i tortury, jej kochanek był konfidentem gestapo, to wydało się potem, ją i jej podopiecznych oszczędził, Bóg uchronił, orzekła, że zwierzem żyłam, a i to w Jego planach, żeby ludzi nie dać na zgubę, jak pan doktor siedział u mnie w komórce, ja przed moim nie ukrywałam, ale Bogu niech będą dzięki, Anastazjo, błagał ojciec, kiedy opuszczaaliśmy nasze miasto, chociaż to proszę przyjąć, nie, nie, ani tego nie mogę, co pomyśli Pan Bóg, że ja przez to, a nie z Jego rozkazu, i została, wielka, silna, pełna wiary, najbardziej ludzka z wszystkich ludzi, jakich spotkałem.

O jej ojcu, którego tylko z jej opowieści, o tym, jak go wzięli na wojnę, tę carską jeszcze, i jak biegnąc z innymi i hurra krzycząc ani razu nie strzelił nawet w powietrze, żeby kula choćby przypadkiem, przyłapała go, bili okrutnie i w kajdany zakuli, ale on wierzył w Boga, więc nie mógł strzelać, krwią płuć później i młodo umarł.

I o innych, co wiary wyznawali przeróżne, jakiegokolwiek zaś były, niweczyły jałowość życia zwykłego, kontur życia, a często śmierci, zakreślając wyraźny.

Ale Mistrza nie ma w tym spisie, który drę, bo tamtej książki nie będzie, w tej zaś Mistrza, z jego wiarą niepewną i wiernością większą od wiary, nie może nie być.

W długiej czarnej spódnicy, w okularach, z siwym warkoczem, ale ciągle wielka i wyprostowana jak dragon, wysiadła na dworcu, pierwsza podróż zagraniczna, pierwsze odwiedziny od wyjazdu naszego stamtąd, niedowierzająco: to Witek? i z westchnieniem: już nie ten Witek, rozlałem wódkę, z kuferka wyciągnęła wiejską kielbasę, Anastazji zdrowie, i sięgając po kieliszek raptem spłoszona: a na Witka nie poczekamy, przecież siedzę tutaj, oj, głupia jestem, zdawało mi się, że to pan doktor.

Niemłoda kobieta w zachodnim mieście, ascetyczna fryzura, z przodu grzywka, gładkie pasma włosów po obu stronach, taka sama na zdjęciu sprzed lat trzydziestu, tylko uśmiech dziewczęcy i biała bluzka, to na Krymie, mówi, tuż przed aresztowaniem, był pan tam kiedy, byłem, a był pan, tam nie byłem, tylko, o, to dużo bardziej, ten widoczek nad biurkiem to właśnie, przyjaciółka przysłała, niezłe miasto, mówię, niezłe, myśmy je zbudowały, Boże, ile w nas jeszcze tkwiło, raz przychodzi brygadier i

mówi: dziewczyny, Święto Konstytucji za pasem, trzeba uczcić, oddamy blok przed terminem, no i my jak głupie w mróz czterdziestostopniowy, odmrażając ręce i nogi, byle zdążyć, od świtu do nocy, pochwalono nas później i z powrotem do baraków dla wrogów ludu, śmieje się sarkastycznie, ale mam wrażenie, że tęskni za sobą tamtą, w sens wysiłku dla uczczenia święta wieżącą, oraz w to, że cierpienie jej przez pomyłkę, a Świat Nowy mimo to się buduje i jej cegła z dna niedoli na rusztowanie dźwignięta też się liczy w gmachu wspaniałym.

Nie, zaprzecza, nie myślę tymi kategoriami, nienawidzę wszelkiej utopii, kiedy tu się znalazłam, wie pan, co największe wrażenie na mnie wywarło, nie domyśli się pan, proszki do prania, to, nie żadne doktryny, tutaj tego nie rozumieją, miałam dyskurs ze studentami, powiedziałam im: głupcy, o co się buntujecie, życie w najwygodniejszym z istniejących społeczeństw, wszystko macie, wszystko do waszych usług, jak się odżywiacie, jakie nosicie ubrania, na czym jeździcie, tylko to się liczy, oprzytomniejcie, no i co, pytam, przyjeźli pani platformę, ależ skąd, wygwizdali, tak się spodziewałem, wzrusza ramionami, oni są chorzy, a pani, ja, ja jestem zdrowa, a ten widoczek? zapewniam pana, chorowałam pół życia, ale chwala Bogu jestem już zdrowa.

W dół.

W dół po schodach, z Janem ciężkim od wódki, niemal że na plecach go taszcząc, potykając się na stopniach, z Janem bełkocącym: dziecko z ciebie, nie nie rozumiesz, no bo skąd miałem, czy ten trzeci rozumiał więcej ode mnie, czy wiedział co mówi, a w ogóle kto to, na górze, w pokoiku efemerycznej redakcji, i teraz dopiero poznaję go znowu, przez wieprzowatość uwięzioną w kołnierzu prześwituje twarz inna, duch twarzy młodzieńczej, pożartej przez tę, ale Jana nie wspomniał, w foyer przed zgaszeniem świateł spotkany, przed pierwszym dzwonkiem, mówił do mnie Tadczuk, niby to z Tadeuszem myśląc, ale nikt Tadeusza tak nie nazywał, on go nie znał wcale, Jana znał i mnie, we trzech robiliśmy to pisemko niezdarne, z Jana zresztą niewiele było pociechy, przychodził zataczając się i jeszcze wyciągał ćwiartkę, ja słabo umiałem dotrzymywać mu towarzystwa, sączyłem kieliszek, we dwóch załatwiali resztę, wtedy też tak samo, i nagle tamten powiedział: widziałem cię na przyjęciu u, Jan zbladł, gównu mnie widziałeś, na dwudziestego drugiego lipca, upierał się tamten, Jan rzucił się do niego z pięściami, prowokator, chrypiał dusząc wiotką szyję nad kołnierzykiem, rozdzieliłem ich, zwariowaliście! wiele lat później usłyszałem historię jego ojca, to było t a m, w tysiąc dziewięćset trzydziestym siód-

mym, widziałem was u, rzucił ktoś mimochodem, i tej samej nocy ojca zabrali, już nie wrócił, Jan był uczniem, rano poszedł do swojej dziewczyny i nie chciała go wpuścić, więc po schodach w dół, krok za krokiem, aż do tego miejsca, w którym ja, nie rozumiejący, i nawet później, kiedy już rozumiejący, niezdolny do przyjaźni z nim, jakiej chyba chciał w pewnej chwili, z chwili tej pozostał tylko jego wyrzut nie wykrztuszony i moje zawstydzenie, jedno z licznych moich zawstydzeń, i wzdraganie się przed schodami w dół, nie chcę w dół, bełkocący, ciężki, pobłażliwy dla tego, co mnie wlecze nie rozumiejąc.

#### Moje zawstydzenia.

Życie jako rejestr zawstydzeń, większych i mniejszych, słów niepotrzebnie powiedzianych, nie do cofnięcia, słów nie powiedzianych, bo nie domyśliłem się w porę, czerwienienia się, bladeści, zapadania pod ziemię, ściśniętej krtani, nagłych nocnych przebudzeń i powrotów dnia przeżytego, znowu źle, znowu nie tak jak chciałem, znowu zabrąłem, jak wymazać, jak się otrząsnąć, nie zostało nic oprócz wstydu.

Zawstydzenie największe z zapamiętanych: próba pogardy.

Ja i oni, ja wyniesiony nad nich tym wzdardliwym i łatwym ruchem, oni memu ruchowi posłuszni, wydobywający z siebie to, co chciałem by wydobyli, małość, chciwość, gotowość pełzania w prochu, ich bezwstyd, mój wstyd za nich, moje pragnienie żeby nie było tej próby, gardzę nimi, więc gardzę sobą.

Jest nas dwóch, jeden wyszedł ze mnie i stoi z boku, zmrużonymi oczyma śledzi tego, który pulpity odkłada, spod pulpitu pudło wyjmując oklejone glansowanym papierem, z pudłem w rękę staje na ławce, drugą ręką zaś znienacka w gwar dużej paazy, w klatkę dzikich zwierząt, w przerwana raptem zabawę, ciska garść za garścią, fruujące w powietrzu, na dół spadające, różnobarwne, upragnione przez wszystkich, i przeze mnie też do tej chwili, w której eksperyment stał się ważniejszy, z ironicznym uśmiechem, wyniesiony nad całą klasę, trwonię do ostatniego znaczka swoje zbiory i Lutka darowaną kolekcję, wyrzekam się tego co miałem, by zobaczyć, jak oni, niezdolni do wyrzeczenia, kotłują się w dole, wyrrywają sobie, biją się, niszczą, na kolanach, na brzuchu, twarzą do ziemi, próba się udała, i w tej samej chwili, gdy ostatnią garść kamerunów i mozambików ciskam w to rojowisko, aż sztywnieję cały ze wstydu i przysięgam, że nigdy już, nigdy więcej, i chcę rzucić się między nich, niech mnie przyjmą z powrotem, w to czołganie się wspólne i szamotanie, ale stoję bez ruchu, wciąż z tym samym uśmiechem, triumfator, pełen wstydu i pogardy tylko dla siebie.

Pierwszy raz wyjechałem na zachód już po różnych historiach, wyprawach, widokach, po mieście oplątanym drutem kolczastym i po mieście wymarłym w samo południe, i po mieście, do którego jako dziennikarz, samolotem sanitarnym, a z którego pod zgrzytliwą eskortą czołgów, pierwszy raz w ten blask, te wystawy, te autostrady, klient naszym królem, wszystko dla ciebie, proszę zmierzyć jeszcze tę parę, może tamtą, przysłemmy do hotelu, przysłemmy na lotnisko, przysługuje panu zniżka, załatwi się, zrobi się, polecamy nasze usługi, nie, nie musi się pan meldować, dobrej zabawy, smacznego, czy ma pan jakieś szczególne życzenia, to rozumie się samo przez się, chodź, słodziutki, będziesz ze mnie zadowolony, w restauracji, w hotelu, w domu towarowym, na poczeie, na lotnisku, w pociągu, na ulicy, w komisariacie, czym mogę służyć, uśmiech, ukłon, gotowość, przez kilka dni w mieszkaniu prywatnym, rano dzwonek, dzień dobry, mamy wszystkie gatunki mięsa, może zechce pan wybrać, nie prowadzi pan gospodarstwa, w takim razie przepraszam, a na wszelki wypadek zostawię prospekt, cały świat wręcza prospekt, w nim podróże, siedziby, pojazdy, smakołyki, idee, partie polityczne uśmiechają się z tablicy ogłoszeniowej, nasza partia dziękuje wyborcom za okazane i poleca, a sekty religijne, a sport, a sztuka, automaty do gier, gadżety, prefabrykaty, no, kretynie, czemu się nie zachwycasz, zachwycam się, no więc, z komfortu, z blasku, z wygody, znowu t a m? tak, znowu, ciągle masz nadzieję, mniejsza, jak to nazwiemy, może upór, już jako dziecku wyrzucano mi upór.

Argumenty, którymi broniłem się przed wiarą Włodka, były nieważne, bez przekonania powtórzone za dorosłymi, pończochy, czekolada, cóż mnie to obchodziło, w kolejkach po chleb wystawałem bez irytacji, a gdy ujmowałem w dłoń gorący bochen, miałem poczucie uczestniczenia w misterium, rozdział dóbr elementarnych przemawiał do wyobraźni, w tej sferze bardziej wyszukanych dóbr nie łaknąłem, w innej zaś miałem ich aż nadto, po raz pierwszy w życiu zachłysnąłem się ideologią, pomysł uszczęśliwienia ludzkości był cudowny i nieodparty, dziwiłem się, że nie wpadłem nań wcześniej, raz wprawione w wibrację pulsowały we mnie huczne rytmy Majakowskiego, tkwił mi w gardle jego krzyk rozpacz, triumfu, tęsknoty za wszechogarniającą miłością, to należało do sposobu istnienia wzbierającej Harmonii, podobnie jak inne rytmy, z ekranu, gdzie strącani z urwiska przez Białych marynarze kronsztadzcy szli na dno z uśmiechem zwycięzców, a partyzant Czapajew przekonywał chwiejnych słowem prostym i mężnym.



Ojciec miał w szpitalu przykrości, lekarzom patrzono na palce, brak sukcesu w leczeniu był sabotażem i zajmował się nim prokurator, również z innych powodów ciągnięto ojca na przesłuchania, komisja wykryła w kuchni szpitalnej święty obrazek, wszystko to docierało do mnie jak przez mgłę, wymiary ojcowskiego świata nie pokrywały się z wymiarami mojego.

Do szkoły chodziłem po południu, wszystkie szkoły pracowały teraz na dwie zmiany, bo wróciła do nich młodzież wiejska, która niegdyś przerwała była naukę po kilku klasach, w naszej też znalazła się gromada tych przerośniętych i zmaleliśmy raptem przy parobkach pod węgsem i dziewczynach upinających warkocz w koronę, tej zimy często gasło światło, elektrownia nie wytrzymała obciążenia i wówczas starsi chłopcy ściskali dziewczęta, światło zapalało się, zaczerwienione poprawiały bluzki i włosy, po lekcjach wychodziłem oszołomiony na mroźne powietrze, szliśmy z Włodkiem po skrzypiącym śniegu, jeszcze starczyło poezji, jeszcze starczyło idei, jeszcze starczyło tęsknoty na wędrówki nasze przez miasto i w siebie.

Kiedy latem podstawiono pociągi i zaczęto w nie ładować rodziny według listy i klucza, Włodek ze ściągniętymi brwiami tłumaczył, że ze wszystkich stron otoczone wrogą przemocą pierwsze Państwo Przyszłości musi być czujne, wobec kogo, zaprotestowałem, wobec Bogusia i Ali, nie chodzi o jednostki, powiedział, chodzi o klasy społeczne, a jak nas wywozą do Kazachstanu, takich nie wywożą, a jak zaczną, tak, oznajmił twardo, niech ucierpią niewinni, byle ludzkość na tym zyskała.

Tego dnia rozstałem się z Włodkiem w gniewnym niepokojeniu, ale w domu jako własne powtórzyłem jego poglądy i czekałem na wybuch ojca, on jednak przyjrzał mi się pochmurnie i nie powiedział.

W niespełna tydzień później łomot bomb wyważył podwoje krótkiej nocy czerwcowej i biegnącą na wschód ulicę rozświetliły pochodnie domów.

Kiedy opadł dym, napisałem wiersz o słowie towarzysz, które ludy zjednoczy w walce o istnienie godne człowieka.

Niemcy byli już w mieście i nic mi nie przeszkadzało w staniu bez rozterek po stronie tego, co znów było nadzieją bez obciążeń rzeczywistości.

#### Z anegdot o Mistrzu :

Czemu oni mnie nie puszczają do Rosji, pytał naiwnie, bojąc się, że będę rozrabiał, lecz nastąpiła odwilż i pojechał w delegacji na rocznicę mickiewiczowską, znalazłem się tam wcześniej i witałem go na lotnisku, szedł równym krokiem, z napiętymi mięs-

niami twarzy, chyba ja jeden poznałem od razu, co z nim jest, w westybulu ktoś z gospodarzy: może usiądziemy na chwilę, ja już u was siedziałem, i rozluźnił się błyskawicznie, najtrudniejsze miał z głowy, teraz mogę stanąć na rękach, chcecie? na rękach, wyjąkał zakłopotany gospodarz, to już jedźmy do hotelu, nazajutrz siedzieliśmy w prezydium akademii na wielkiej scenie, sala pełna, przy mównicy sam Ambasador dowodził Mickiewiczowego geniuszu, boć Puszkina przyjacielem był autor „Dziadów”, Mistrz pijany zasypiał tymczasem i w rękę się szczypał żeby obudzić, przed nim sterta stroniczek leżała, zatwierdzony w Warszawie główny referat, dopuścili go wreszcie do głosu, z trudem dotarł do mównicy i zaczęło się, dukał, nosem dziobał kartki, mamrotał, chyba mylił kolejność, co nie miało znaczenia, bo i tak nie sposób było pojąć, co mówi, razem z nim mężczyliśmy się, trwało to długo, kartek ciągle nie ubywało, aż zniemacka podjął decyzję, energicznym ruchem odsunął wszystkie, wyprostował się, nabrał powietrza w płuca i ogromnym głosem przed siebie, w salę: Jeszcze Polska nie zginęła! huk oklasków, on za kulisy, Ambasador za nim, ja trzeci, Ambasador wściekły, coście zrobili, taka, ale Mistrz już spał, oparty o występ, a na sali huczało.

Siedlecki, mimochodem, wśród innych wspomnień: w roku 1924 nielegalna partia zarządziła pogotowie bojowe, miała być rewolucja, prawie zawsze miała być rewolucja, ale wtedy to już na pewno, i jedyny, kogo zastał na punkcie, to był młody poeta, eks-legionista, z rewolwerem i zaczęłym wierszem w notesie.

Stary poeta, po jubileuszu, przekrwione oczy, zwisające policzki, i z uśmiechem Najwyższy Dostojnik: no, towarzyszu, czas już chyba pomyśleć o nowym hymnie, nowym hymnie, ja, któż prócz was, zaskoczony jestem, proszę o czas do namysłu, no i co, namyśliliście się, namyśliłem się, jestem zbyt przywiązany do Jeszcze Polska, bym odważył się na to nasrać.

Rozpromieniony: napisałem w podróży wiersz, chcecie posłuchać, chcemy, taki figlik, komplement dla damy, ach ten Mistrz, niepoprawny lowelas, śmieje się, zadowolony z efektu, też śmiejemy się, jesteś w formie, jestem, rad potwierdza i mruży oko, tylko jeden nadęty, drobnomieszczaństwo, Mistrz zasępią się, a tamten z uporem, walczyć barykado, giń barykado, oto poezja, pozwólcie poetom, wtrącam, od czasu do czasu nie ginąć na barykadzie, tylko szepnąć damie komplement, nie pozwolę, obrażony wychodzi, Mistrz rozlewa wódkę, on jest głupi, przeprasza za

przyjaciela, ale wtedy, wiecie, zachował się, wiemy, to dlatego tu bywa, Mistrz wybacz historii, ale z ludźmi ma osobne rachunki, Trąba Powietrzna mimo starań nigdy nie przekroczy tych progów, na pogrzebie dopiero się dorwie, próbujemy wrócić do wiersza, jesteś w formie, prawda, ale on już nie słucha, był taki K., mówi, znaliśmy się od lat, a jak mnie wtedy, pod dyktando napisał paszkwil, wkraść się w nasze, alkoholik tarzający się po, za kieliszek zdolny, i mówiąc to znów nalewa, K. zginął w partyzantce, ktoś rzuca, w czterdziestym trzecim, nie, zaprzecza Mistrz, już w czterdziestym, jak napisał o mnie te gówna, a fizyczna śmierć parę lat później — to już nieważne.

Echo echa, po wyjściu z Kawiarni, jeden z rówieśników, tych co wedle Królowej: wiesz, piszę o nim.

Tak? O Tadeuszu? Do druku?

I rozmowa, że wlażł na powrót w te teczki, z których niegdyś wydanie pośmiertne, i nie może zrozumieć, skąd pominięcia, może ja potrafię, nie, nie tamte niecenzuralne, inne, on był świetnym poetą, a z naszego wydania.

Nie potrafię.

Przecież mieliśmy te teczki w ręku, te same, od żony, zapewniam ciębie.

Wiem, że mieliśmy.

I nie pamiętasz, o co mogło.

Nie pamiętam.

Będę musiał napisać, że.

Może to nie myśmy, może to.

Możliwe, ale.

Skoro musisz, cóż, oczywiście.

Spieszyliśmy się, pokonywaliśmy opory tych, którzy okoliczności jego śmierci uznali za niewłaściwe, i tych, którzy odczuli ulgę, że już go nie ma, nigdy nie będzie, uparcie pragnęliśmy, żeby jeszcze był, miał być w tym wydaniu pośpieszonym i wymuszonym, taki, jakim go znaleźliśmy, agresywny, gorący, po kawałku wyjmowaliśmy z teczek i składaliśmy w gatunki, okresy, tomy, i zaczął być, nieprawdziwy, prawdziwy w tej nieprawdziwości, w postaci, jaką przybrał, nim odkręcił kurek od gazu, tak prawdziwy, że gdy zatajając to inne, co odkryliśmy w teczkach, pełni dobrej woli, utrwaliliśmy go nieprawdziwego, sami uwierzyliśmy w takie jego wyłączne istnienie i zapomnieliśmy o tamtym, nie do ogłoszenia choćbyśmy próbowali, zapomnieliśmy, zapomnieliśmy, nawet głowiąc się nad, o tych kilku wierszach, znalezionych wtedy i odłożonych, które był napisał

tuż przed powrotem, wracał z desperacją, wyzywając los, który obrał, z góry przystając na klęskę, którą nazywał ojczyzną, i szydząc z siebie, i chełpiąc się po trosze, że to wybiera, i widząc w tym kontynuację losu, którego uprzednio zaznał, i czując się solidarny, i zrezygnowany, to nie były świetne wiersze, ale to ich zatajenie jest sprawą, nie tych, które teraz zostaną odkryte, szczęście Boże badaczowi, o tym mimo wszystko nie wspomni, jest nadal pełen dobrej woli, chce, żeby Tadeusz był, i ja chcę, i wtedy chcieliśmy, śpieszyliśmy się, po kawałku wyjmowaliśmy z teczek.

Chce też czegoś dla siebie, czy to grzech, chce coś zetrzeć z siebie i coś odbudować, ma prawo, a ja, moja nietolerancja, łapię go za rękę przy pierwszych zdaniach, już wiem, że to będzie znów, skąd wiem, jego zapał do drugorzędnych odkryć i potrzeba przerzucenia winy za wczorajszą pochopność, czy naprawdę dlatego się nastroszyłem, jest moim nieoczekiwanym współzawodnikiem, może on rozwikła tajemnicę Tadeusza, może właśnie w tych czystych i bezkolizyjnych już strefach, które ja omijam, pociągany przez ciemniejsze i karkołomne, bo i ja chcę czegoś dla siebie, ale czego, usprawiedliwienia, pokuty czy po prostu solidarności zmarłego z takim, jakim nie znał mnie nigdy, i przyzwolenia jego, który się zabił, na to dalsze życie, właśnie to, nie inne, ale skoro tak, jakim prawem krzywo spoglądam na starania Jednego-z-nas, i kto z nas tutaj gra nie fair.

Tajemnice tożsamości, zarośnięte szczeliny biografii, skąd ten kłopot, powinniśmy mieć wprawę, cały świat był wielkim zwojem akt personalnych, z otwartymi ustami chłonęliśmy naukę o truciznie ukrytej, o ziarnie zdrady otorbionym pod skórą, o sprężynce tajemnej którą ktoś kiedyś, i te demaskacje czyniące nagle kim innym człowieka o znajomej, zdawałoby się, do końca twarzy, więc taił, więc udawał, czy przed nami tylko, czy także przed samą sobą, ten jasnowłosy, z przyjaznym stukotem kuli, nasz towarzysz, stracił nogę w wielkiej bitwie na trzęsawiskach, kiedy tamci sprzymierzili się z wrogiem i cios bratobójczy, był w tej bitwie naprawdę, ale z tamtymi, przyszedł do zwycięskich i panujących, stukot kuli kłamał, nie widziałem go poblądłego, przypartego do muru, ale tego drugiego, ortodoksa o kwadratowej twarzy, spotkałem również po, udał że mnie nie zna, ja także, w uszach ciągle miałem jego prawomysłne skrzypienie, wszystkim nam dokuczył i bez przykrości przyjeliśmy informację, że nie jest tym, którego należy szanować za niezłomność i precyzję poglądów, o jego aresztowaniu



pierwszy powiedział mi Aleksander, dodając: chwalił się kiedyś, jak przyszli wykonać wyrok na szpiclu, a w kołysce niemowlę, dziecko tego szpicla, i on, rozumiesz, zdolny był do wszystkiego, więc się nie dziw, nie dziwiłem się, w owych latach rzadko tydzień mijał bez zdercia maski, kiedy aresztowano przyjaciela Tadeusza spod okupacji, bohatera komunistycznego podziemia, udał się do Drugiej Osoby w Państwie, zaraz został przyjęty, z ochotą przyjmowano nas wtedy, i dostojnik wysłuchał go nie przerywając, po czym ręce rozłożył, towarzyszu, powiedział zbolalym głosem, my sami, sami z trudem wierzymy, że to sięga aż tak głęboko, nigdy byśmy nie podejrzewali, że tacy ludzie, lecz dowody, towarzyszu, dowody, i z tym gestem rąk rozłożonych odprowadził go do drzwi, za którymi czterech krępych grało w tysiąca, czujnym wzrokiem znad kart popatrzeni, najdzielniejsi, najpotrzebniejsi, a Tadeusz wrócił do domu, pisał książkę o Dzierżyńskim, już jej nie skończył, ja pisałem scenariusz o dywersantach, ale odmówiłem poprawek i przerabiał go kto inny, w kilka lat później dostojnika podsumowano na plenum, znowu ręce rozkładał, różni wyszli wtedy z więzienia, bohater także, oraz pewna dziewczyna, którą znałem, odwiedziliśmy ją z Joanną, chodziła w kółko po pokoju powtarzając: zwerbowano mnie, zwerbowano mnie, przyznaję się do wszystkiego, zwerbowano mnie od początku.

Zebranie w sprawie czujności, pół życia zebrań, jedno z niezliczonych, gdzieś, kiedyś, jeden gest z zebrania, archanielski, wskazujący winnego jak na plakacie, winny siedzi obok tego, który go wskazał, zatem gest dotykalny nieomal, z góry w dół na ukos jak harpunem, jak błyskawicą karzącą, z bokiem błyskawicą przesytytm siedzi, ciągle żywy, lecz innym życiem niż dotąd, z niewidzialną raną, przez którą czarne wnętrze, demaskator ciągnie, na szpulę swojej mowy nawija, już oprawił go, siedzi pusty, osobny, jego grzech w formalinie bulgocze, ujawniona tajemnica, nowa groźna tożsamość, no a my dookoła, każdy ze swoją.

A jednak, jak to się dzieje, przypominam sobie felietonistę, był jednym z nas, w zespole pisma, które z takim uniesieniem, jednym z nas, to za mało, to, czym byliśmy, jak widziano nas powszechnie i za co wkrótce, otóż postawiono nam ultimatum i niektórzy byli gotowi, na zebraniu redakcyjnym wygłosił jedną z tych efektownych, jakie nadal niekiedy, lubił obrazowe i brutalne sformułowania, tym razem rzucił hasło: ręka w nocniku, jeżeli pójdziemy na ustępstwa, oznajmił, najpierw małe,

potem nie unikniemy większych, i pewnego dnia obudzimy się z ręką w nocniku, to zrobiło wrażenie, ktoś się wzdrygnął w widoczny sposób, obudzić się z ręką w nocniku, ładna perspektywa, zwolennicy pójscia na rękę zawahali się, dyskusję odłożono do jutra, nie wiem, co się stało tego popołudnia, lecz nazajutrz o rękę w nocniku nie było mowy, nasz kolega z równą swadą broił tezy, że w końcu, z ręką na sercu, słuchano go z uważnym zażenowaniem, po nim zabrał głos najłagodniejszy i najbardziej szary z członków redakcji, to jest słuszne, powiedział mrużąc zaczerwienione oczy, wolałbym tylko, tu zawstydził się i zamilkł, wolałbym, podjął, żeby te słuszne argumenty kto inny, nie zaś, felietonista zaśmiał się krótko i z poczuciem wyższości, był już po drugiej stronie i widział, jak nie bez ulgi, w milczeniu bądź mamrocząc pod nosem, idą za nim ci inni, z łagodnym i szarym włączenie, za których wykonał ów spektakularny zwrot, czy naprawdę wszystko stało się jednego popołudnia, tego nigdy nie dociekleń, ale muszę przyznać, że zrobił na mnie wrażenie, widziałem go jak przemawia z aplombem, po czym na oczach wszystkich z szyderczym śmiechem wsadza rękę w przygotowany z wczesną nocnik.

Przemiany zaplanowane, życiorys w punktach, ten poeta-grubasek, młodszy o pół pokolenia, ach, tyję z nerwów, taki jestem wdzięczny żeście mnie nie znaleźli, byłbym z wami wasz protest, a dla mnie teraz, no naprawdę, muszę wille podciągnąć, urządzić jakoś, na dwa lata obliczam, jak dobrze pójdzie, ale później doskoczę do was, daję słowo — doskoczę.

Siwy człowiek, redaktor poczytnego dziennika, przychodzi na kolegium z odprawy na niskim szczeblu: towarzysze, pochwalono nas, nie będę ukrywał, że, skromnie spuszczać oczy, i mnie osobiście, za afirmację narodową na łamach.

Ze starej warszawskiej rodziny, dziennikarz w czwartym pokoleniu, oficer armii podziemnej, więzień obozów.

To jego świadectwo o Tadeuszu, że nie wspólnego z narratorem-konformistą z opowiadań oświęcimskich, że żywotność moralna, czynne braterstwo, niezachwiana godność człowieka.

Uszczęśliwiony, że jakiś chłystek, z ostatniego naboru, pochwalił go za.

Szperanie w korespondencji, stare listy wyblakłe, widoczki lakierowane, obecności, głosy.

List, nie bardzo stary, od dziewczyny z Paryża: Nie ma żadnej wspólnoty ludzi myślących. Jest forsa, prestiż, nazwisko. I klan tych, co legitymują się tymi trzema rzeczami, bardzo pil-

nie strzeże swych interesów. A są to często specjaliści od Spraw Bolesnych. Od Dramatów Ludzkości. Od Zła i Dobra.

Tadeusz na odwrocie kartki z lipskim ratuszem: Powieś go sobie nad biurkiem. Luter kłócił się tutaj z katolikami. Tu stoję i ...

Mistrz, 6 czerwca 1949: Mój drogi Wiktorze, nie zapominaj, że Majakowski był samobójcą. Ja nim nie będę.

Ten Jeden-z-nas, który pisze o Tadeuszu, ma już sto dwadzieścia stron, mówi że to dwie piąte, odtwarza lub może tworzy biografię dokładną, z notatnikiem idzie jej tropem, trochę tak jak ja niegdyś tropem poety, który odebrał sobie życie dawno i nie tutaj, szukałem zatem okruszków jego istnienia w obcych zapisach, w szarych pasmach cyrylicy i lukach pomiędzy nimi, a ten żywych przesłuchuje, przyjaciół i nieprzyjaciół, do mnie też przyszedł, jak potrafię kwestionariusz wypełniam, mniej potrafię niż spodziewaliśmy się obydwaj, jesteśmy rozczerzowani, wysilam pamięć, jak jednak mam opowiedzieć na przykład ten moment, gdy z góry, wychyleni przez balustradę, z najwyższej galerii w kopulastej huczącej sali, wpatrywaliśmy się z przejęciem w falowanie historii, w jej ekstazę i okrucieństwo, to był moment mojego życia i życia Tadeusza, i naszego wspólnego, ale jak go włączyć do biografii sprawdzalnej, jak powtórzyć żeby ten, co ją pisze, treść momentu odebrał, nie tylko to zresztą, początek naszej przyjaźni, z wrogów przyjaciele, co się działo pomiędzy, nie się nie działo, przepływ czasu pustego, nie wiem, nie umiem, był daleki, zrobił się bliski, więc opowiedz o tej bliskości, co opowiedzieć, jak leżał nieruchomo na tapeczanie, z oczyma wbitymi w sufit, czy jak śmiał się z dziecięcą chępliwością, czy jak był opryskliwy, zaczepny, mentorski, i miałem go dość, i nie miałem go nigdy dość, bo palił się cały, i jakkolwiek to męczyło, jeszcze bardziej wciągało, zmuszało do palenia się obok, i bliskość nasza oznaczała podsycanie wzajemne żaru, podsycanie żarłoczności i zażartości, i zżerało nas coś, i myśmy wżerali się czemuś w boki, Staremu Światu? w nozdrza braliśmy jego zapach i huzia! ale jeszcze pamiętam, jak mi był przewodnikiem, w mieście niczym jabłko przepołowionym, po dniu długim i budującym, przeprowadził mnie wieczorem na drugą stronę, tę robaczywą, bym koniuszkami języka dotknął zgnilizny, o, to jest anegdota, mogę opowiedzieć, siedzieliśmy zatem przy kielichu i pokusy w barwnych półmrokach i siateczkowych pończoszczkach defilowały, to nie było podobne do defilady, jaką kilka godzin przedtem odbieraliśmy z trybuny po dobrej stronie, i zapomnieliśmy naraz, po co tu jesteśmy, i zachciało nam się krok

dalej, i skoro na ulicy starszy jegomość półgłosem, wsiedliśmy do tego auta, i w nim dopiero, że tak głupio w pułapkę, strach i wstyd, dać się porwać w ten sposób, i co było dalej, porwali was, to trwało dwadzieścia minut, dalej był lokal i pokusy trochę bardziej rozebrane i natarczywe, a wracaliśmy pieszo przez całe miasto, baliśmy się wsiąść do taksówki, i to wszystko? tak, widzisz, nie ci po anegdocie, tych dwudziestu minut wspólnego strachu i wstydu też nie, mimo wszystko staram się jeszcze, może o Bolku? ale z Bolkiem już sam rozmawiał, w tej agencji z pączkami i polokoktą, milknę, chciałem przecież, nic nie ukryłem, tylko jedno, że także piszę o Tadeuszu i że teraz, gdy ten, biografii tropem zdążając, mnie przesłuchuje, ja go także, i w mojej książki matecznik go zwabiam, czy uczciwe, że to ukryłem, ale ja nie piszę o Tadeuszu, piszę o sobie.

Emeryt, niegdyś kierownik wydziału, do którego ja wówczas w sprawie mieszkania, a on, że Tadeusz nie patrzył w oczy, teraz Jednemu-z-nas: dziesięć dni przed śmiercią, nie dalej, prosił go Tadeusz o audiencję i natychmiast został przyjęty, kręcił się po gabinecie obszernym, w kącie umykał oczyma i do końca nie powiedział, jaką ma sprawę. Rozmawiali ogólnie, wyobrażam sobie ten fechtunek inteligencji, ale tego, co Tadeusz, rozmówca nie zapamiętał. Zapamiętał własne sformułowanie: są okresy w historii, kiedy rewolucję robią brzuchaci generałowie.

Szczegół z zatkanym wentylatorem, czy możliwe, że słyszę go po raz pierwszy? Zatkany wentylator był dowodem że. A żona Tadeusza: to był znak dla mnie. Czajnik na gazie miał wprowadzić w błąd innych.

Ktoś twierdzi w ogłoszonym niedawno wspomnieniu, że spędził z Tadeuszem ostatni wieczór, pili męską wódkę w podziemiach hotelu „Polonia” — „wąskie schodki, burdelowe, czerwone obicia, kwaśny smród nie wietrzonego pomieszczenia” — „zwyczajny wieczór, zwyczajny alkohol, zwyczajna rozmowa” — potem pożegnali się w Alejach Jerozolimskich — „tak więc, konkluduje autor wspomnienia, należę do tych, którzy go widzieli żyjącego jako ostatni”. Według materiałów jednak zgromadzonych przez biografę Tadeusz spędził całą niedzielę z dziewczyną, koło ósmej wieczór odwiedził w klinice żonę i dziecko, był tam parę godzin i wrócił do domu, żeby pisać na poniedziałek felieton, ta dziewczyna przyszła do niego o jedenastej, ale zawróciła od drzwi. Widziała światło w mieszkaniu, postanowiła nie przeszkadzać mu w pracy.



Ten sam autor, na tych samych łamach, kilka lat temu: „Już nie przyjaźniłem się z nim. Bałem się jego szaleństwa i tego, że zatracił poczucie humoru, zapędzony w ślepy zaułek stalinowskiej pryncypialności... Jestem pisarzem i wiem, że nie napisałby żadnej książki, a jeśliby napisał, byłoby to jeszcze gorszym nieszczęściem dla wszystkich, niż jego milczenie... Musiał mu jednak ktoś wtedy coś powiedzieć, ktoś, komu wierzył, musiał mu powiedzieć jakąś prawdę, w której świetle...” Czy on mu to powiedział? On, który do dzisiaj pisze te książki, te artykuły?

Anegdota o Mistrzu, migawkowe zdjęcia Tadeusza, szukam siebie, piszę o sobie, ale ja to oni, oni to ja, Tadeusz, Włodek, Mistrz, dziewczyna z Paryża, i poeta o którym, i Franciszek, i Boguś, i Aleksander, i profesor Kochanowski na ciężarówce, i pan Burek znad buta, i mój ojciec, wszyscy weszli we mnie, przeszli przeze mnie, opuścili mnie, we mnie zostali, jak ten malec o moim imieniu w późnojesiennym ogrodzie, jak ten chłopiec o moim imieniu na mroźnym moście, jak ten młodzik o moim imieniu kłękający na piasku przy Joannie z rozrzuconymi włosami, jak ten pan w średnim wieku, on może najmniej, też o moim imieniu, nieznanym, znanym, przytaczanym na dowód, przemilczanym, krzyczanym, wszyscy weszli, przeszli, opuścili, zostali, Mistrz, Tadeusz, chłopiec na moście, czy Józio Kapuc także, nie chcę nosić w sobie Józia Kapucia, weszli, przeszli, zostali, dołożyli, stworzyli, z kawałków skóry, nitek głosu, pęcherzyków istnienia, pyłków przemijania, więcej jest ich we mnie lub całkiem mało, szczęśliwy jestem że Tadeusza tak dużo, nie ubywa, rośnie jak ciasto w dzieży, to, co jest Tadeuszem, nie jest szczęśliwe, a jednak jestem szczęśliwy, że noszę w sobie ten przeszczepek, choćbym nic z niego nie umiał wyrazić, choćbym o Tadeuszu poza sobą i o sobie z przeszczepekem Tadeusza stokroć mniej wiedział niż o sobie-chłopcu na moście, szczęśliwy jestem, że mnie to spotkało, unieszczęśliwiło, zapadło we mnie, że szukając teraz siebie trafiam na niego, a także na Mistrza, dziewczynę z Paryża, młodzika kłęczącego przy Joannie na jasnej plaży, Aleksandra, Włodka, nas wszystkich.

Jeden-z-nas, zaglądając do notatnika: co wiesz o jego stanach depresyjnych, nie nie wiem, nie zauważyłeś, że miał, nie zauważyłem, na przykład marzec-kwiecień, dwa miesiące ciężkich klinicznych objawów, nie wiem, pierwszego maja byliśmy razem w Berlinie, był wesoły i ożywiony, cóż, po depresji następowała euforia, zresztą doktor A., niestety, nie zachował dokumentacji,

ale są też świadectwa ludzi, którzy byli z nim po wyjściu z obozu, załamane kompletne, nie reagujący, nieruchomi na narach, dzisiaj się, po obozie, no nie, pierwszą próbę przed, dziewiętnastoletni, w Warszawie.

Jest skrupulatny, nie mogę kwestionować tych danych, ale on chce żebym przyjął kompletną wizję, psychiatryczną, poza losem w historii, nie decyzje, zaangażowania, walki, rozpacz, lecz choroba, w chromosomach usadowiona, do trzech razy sztuka, ten był ostatni, może racja, może i racja.

Rzeczywistość jak sito, dojmujące poczucie rozpadu rzeczywistości, wyzbytej cząstek żywego, cielesnego istnienia.

Nieobecność fizyczna Mistrza, Tadeusza, tej starej pisarki, którą z szacunkiem nazywaliśmy Panią Marią albo z łobuzerską przekorą Mańką, i Siedleckiego, i jeszcze kogoś blisko, i kogoś daleko, i jeszcze, i jeszcze, zmieniała konsystencję rzeczywistości.

Luki w rzeczywistości, nie schodzenie się jej postrzępionych brzegów.

Podatność na pewien rodzaj głosów i gestów, pewną szczególną materię, pęczniejącą, zalepiającą dziury.

Nie wiem, co by było, gdyby żył Mistrz, Tadeusz, Pani Maria, Siedlecki.

To zapewne złudzenie, że coś byłoby niemożliwe, coś byłoby się nie stało, a coś stałoby się inaczej.

A jednak trudno się oprzeć poczuciu, że ta destrukcyjna materia weszła w luki fizyczne, utworzone przez nieobecność tych ludzi.

Nie w tym stopniu uświadamiałem sobie ich obecność niegdyś, co brak ich obecności teraz.

W rzeczywistości naturalnej, biologicznej każda egzystencja jest wymienna.

W rzeczywistości moralnej, świadomej, ludzkiej każdy żywy ubytek prowadzi do naruszenia całości.

Świat jest inny, jego dotyk, dźwięk jaki wydaje dotknięty, jego naoczność i kod ukryty, i odzew na mój kod umówiony z nim wczoraj, wszystko jest inne.

Czy to o tym samym, nie, tym razem o żywych, pierwszy raz widzę Teodora w takim stanie, pogodny, ironiczny Teodor, ręce mu latają, stary, spokojnie, tu jesteśmy, ja, Franciszek, nie tylko, Mistrza nie ma już, Pani Marii nie ma i Tadeusza, ale my jesteśmy, nie widzi nas, w pierwszych rzędach zasiedli, nieubłagani i czujni, łysiejący blondyn z wydatną szczęką i zimnymi wodnistymi oczyma, obok Trąba Powietrzna i Józio Kapuć, spo-

kój, staruszkę, roztrzęsiony, głosem, którego nie znam, otóż z tej trybuny: kultura jest niepodzielna, jest całością albo nie ma jej wcale, nie rozumiesz, parsknięcie z pierwszego rzędu, co to znaczy niepodzielna, nie rozumie kolega? niepodzielna to znaczy, że jeśli dzisiaj, parsknięcie, jeśli dzisiaj macha się ręką na obecność w naszej literaturze kogokolwiek, to jutro, dzwonek przewodniczącego, nie skończyłem jeszcze, to jutro zdejmuje się z afiszu, tu jesteśmy, stary, spokojnie.

Musicie mi wierzyć żądam żebyście mi wierzyli.

Teraz wy mi nie wierzycie jak przedtem tamci jak wy tamci tamci wy w to w co tamci nie wierzyli wierzycie wicie nie wierzycie że ja że po to

Ależ Herr Gerstein to przechodzi

Bóg z tobą synu to co mówisz nam tutaj niewątpliwie z chlubnych pobudek wszelako jakże

Bóg ze mną ojciec Bóg wierzę w Boga jedyne i on mi

Uspokój się synu

Niech się pan opanuje Herr Gerstein

Ten smród w nozdrzach mam go w nozdrzach rozumiecie przybywam stamtąd jestem świadkiem po to jestem by świadczyć to po noszę ten mundur nałożyłem go słuchajcie wysłuchajcie mnie po to

Przyjmijmy że nie jest pan w błędzie

Chociaż te liczby skąd pan może te liczby niewiarygodne lecz przyjmijmy nie określając rozmiarów

Nawet jeśli pan przesadził co do zakresu lecz przyjmijmy że zdarza się to potworne i podzielam jako człowiek prywatny pańskie lecz co my

Hahaha przepraszam że się roześmiałem złote zęby ksiądz ma złote zęby więc ksiądz powiada

Herr Gerstein pański stan napawa mnie niepokojem

Każde życie jest darem Boga trzeba je chronić to co pan ze swoim nie może zyskać aprobaty Tego który nas wszystkich

Każde życie ekscelencja mówi o każdym życiu

Jesteśmy bezsilni

Nie możemy narażać

Pan pojmuje że nasza odpowiedzialność

Skoro nas na tym posterunku nie stanie

Oni mi nie wierzą Frau Hintz patrzą na mnie jak na wariata

Biedny pan

Moja poczciwa Hintzchen co ja bym

Bóg ich pokarze

Chcę mu pomóc w tej robocie Hintzchen chce mu pomóc  
lecz wszyscy

Drogi synu jesteś żołnierzem i winienes posłuszeństwo swym  
przełożonym

Herr Sturmführer oto faktury i bilet wyjazd jak zwykle  
Heitla

Przepraszam pan jest cudzoziemcem nieprawdaż obserwuję  
pana od pierwszej stacji proszę się nie obawiać ten mundur wszy-  
stko wytłumaczę proszę posłuchać

Więc pan chce

Żeby pan to przekazał tam nic nie wiedzą jestem świadkiem  
naocznym liczby nazwy miejscowości szczegóły jeszcze raz powtó-  
rzę pan to zapamięta nieprawdaż

Frau Hintz czy już mówili przez radio

Z Londynu nie

Trzeba złapać Sztokholm

Jeszcze nie mówili słuchałam i odkurzac włączyłam żeby  
sąsiedzi

Pan znowu w drogę

Znowu tam

Niech pan będzie ostrożny

Grajmy w otwarte karty po tym co dla was zrobiłem możecie  
chyba zapytać czy macie możność

Dotarło twierdzicie że dotarło więc czemu

Ach muszą sprawdzić

Jeszcze nie sprawdzili

Nie wiedzą co z tym zrobić

Tymczasem od poniedziałku do piątku

SS-Obersturmführer Kurt Gerstein który zgłosił się 22  
kwietnia do komendantury wojsk okupacyjnych w Reutlingen  
zeznaje że

Musicie mi wierzyć teraz wy mi nie wierzycie przez trzy lata  
robiłem wszystko a teraz

Proszę odpowiadać na pytania

Nie chciano mnie słuchać nawet Chrystusowy Namiestnik na  
ziemi nie chciał mnie słuchać wszystkich dróg próbowałem lecz  
zawsze

Sierżancie proszę protokołować Przesłuchiwany zeznaje

Ja mam czyste ręce

Zeznaje pan zatem że na rozkaz zwierzchników przewoził

Wielokrotnie oszukiwałem zwierzchników nieprawdziwie po-  
dając

Ale nie mógł pan za każdym razem oszukiwać zwierzchników

Cenę tę płaciłem by wykryć i



Tośmy już słyszeli  
Więc to ja jestem zbrodniarzem wojennym  
Odwrócenii wszyscy nikt nie chciał słuchać  
Biedny pan  
Świeć nad jego duszą grzech ten mu odpuść że sam sobie

Od fotela do progu, opowiadanie usunięte z mojego zbioru siedem lat temu:

Tymi rękami, zaszłochał mężczyzna w progu i rozczapierzył obie żółte, kościste dłonie, grudę, kamień, lód, ależ niech się pan uspokoi, mężczyzna w fotelu przetarł szkła, zamrugał czerwonymi powiekami, chciałbym coś dla pana zrobić, więc pan utrzymuje.

Od fotela do progu bez szkieł, mężczyzna w progu łamał się i chygotał, rósł w górę słupem wśród mgły, nawisał nad pokojem niejasną groźbą, w fotelu na powrót nasadził szkła, chybotanie tamtego ustało, był blisko, żółte dłonie zgarniały dzielącą ich przestrzeń, był już umyty, ale zdawało się, że we wszystkich porach skamieniał brud tamtej ziemi dalekiej, mężczyźnie w fotelu sprawiało to przykrość, poruszył się, znowu zdjął szkła, chciałbym, ale te historie, które pan, te historie, czy pan zdaje sobie sprawę, że u nas.

Ja wiem, powiedział w progu, tu ciepło, jasno, nie pędzą, nie szczełają, nie krzyczą, ale skąd, powiedział w fotelu, oni chcą, pan nie wie, oni są potworni, tyle lat przeciwko nim, te książki, niedużą białą dłonią zatoczył w koło, gazety, mowy, ciągle przeciwko nim, nieraz człowiek ma dość, znużony, pragnąłby dla siebie i bliskich, nie wolno, chwila nieuwagi i chwycą za gardło, w progu zadreptał, opuścił ręce, był przejęty, to tak, nie wiedziałem, ale którzy to, przepytał się bezradnie, właśnie ci, triumfował w fotelu, którzy pana z wiecu na wiec, pana ustami, żeby rozzarzyć, rozjuszyć, rozbestwić, to jest gra, pan słyszał ich wrzask, psy spięte krótko, palce w pięść do białości, pana ustami o tamtym, żeby tutaj do gardła, kiedy ja szczerą prawdę, wykrztusił w progu.

Nie wiem, powiedział w fotelu, pan mi nie wierzy, nie o to chodzi, tymi rękami, zostawmy ręce w spokoju, gdyby pańska relacja, musiałbym, nie, to niemożliwe, tymi rękami, szło chał w progu, brud skamieniały w porach był na pewno prawdziwy, czy na pewno, w dwuznacznym świetle gabinetu, teńącego przytulnym patosem walki o ideały, nie nie było pewne, w progu podejrzliwie popatrzał na swoje żółte, kościste dłonie, więc to dlatego, powiedział, żeby nie, no tak, właśnie dlatego, ach, dlatego, w końcu nawet jeżeli to, co pan utrzymuje, jest pan już

poza, jestem, a tamci, co zostali, no właśnie, pan się domaga, a pod takim sztandarem ci tutaj, niech mi pan nie ma za złe, chciałbym coś dla pana, ale te historie, szklami zakreślił granicę jasną i nieprzekraczalną, tymi rękami, zaszlochał mężczyzna w progę, tymi rękami.

Czy nie sądzisz, zapytałem Jednego-z-nas, tego ostatniego wieczoru, kiedy mogłem z nim jeszcze mówić, nazajutrz bowiem, czy nie sądzisz, zapytałem go, że kamienny świat Tadeusza, rozejrzyj się, obiektywnie istnieje, i ucieczką przed nim, twardo zasklepiającym się wokół, może być miłość, i może być powołanie czyli twórczość, i idea czyli destrukcja i nowy porządek, a także, kiedy tamto wszystko zawodzi, obłąd i śmierć? Kiedy zawodzi ucieczka w miłość, w twórczość, w ideę, lub chociażby na mgnienie wydaje się, że zawodzi, czy nie wtedy kusi schronienie w obłąd, który zawsze dźwigamy w sobie, w śmierć, nie odstępującą nas nigdy? Nie odpowiedział mi, w roztargnieniu łowił uchem dźwięki, których nie mogłem słyszeć, był to klekot maszyn drukarskich, nazajutrz miał ukazać się numer czasopisma z pierwszym rozdziałem książki o Tadeuszu, tam Tadeusz do końca nie tracił wiary i, przez biologię ścigany, z historycznym światem zawierał sojusz, ja zaś, który świat ten zdradziłem, przyjaciela też zdradzałem po śmierci, potępieńczą legendę zmyślając i ogłaszając, a wraz ze mną czynili tak pozostali przyjaciele niewierni, i do samotnego, chorego Jeden-z-nas jedyny dłoń wyciągał po latach, i wprowadzał go w nowe życie. Czy nie sądzisz, próbowałem powtórzyć, klekotu maszyn nie słysząc, że kamienny świat, patrzył na mnie chłodnym i obcym wzrokiem, i urwałem, pojawiwszy, że nie jest ze mną.

Przyjechałam, nie pytaj o nic, na bardzo krótko, ale przyjechałam, jesteś zadowolony?

Ciągle mam nie pytać, obiecałeś mi wytłumaczyć, bałem się o ciebie, to wspaniale że przyjechałaś, ale chciałbym.

Już nic, już nic.

Naprawdę już dobrze?

Daj mi się rozejrzeć, ojej, jaki ty jesteś, czekaj, więc to tu sobie chodzisz i myślisz, ten horyzont, zazdroszczę ci, mam ochotę zdjąć pantofle i pochodzić boso po plaży.

Przeziębisz się.

No dobrze, skoro taki jesteś rozsądny.

Jedno z nas musi być rozsądne, bo inaczej.

To opowiadaj, nie patrz tak na mnie, ciekawa jestem, co mi dzisiaj opowiesz.

Wyglądasz na zmęczoną.

Zestarzałam się? Już ci się nie podobam?

Głupia.

Wiem. Opowiesz czy nie opowiesz?

Kiedy mam ograniczony repertuar, właściwie powinienem częściej zmieniać dziewczyny, to nie będzie kłopotu.

Wszystkie chcą, żebyś opowiadał?

Miałem kiedyś kolegę, cholernie mu się szczęściło z dziewczynami, a ja nie wiedziałem jak podejść, śmiał się ze mnie i tłumaczył, że trzeba gadać, wszystko jedno co, anegdoty, wiersze, streszczenia filmów, byle cały czas gadać i będzie klawo.

Zastosowałeś się?

Dopiero z tobą i też nie tak ściśle. Gadam, a jakże, po to gadam, żebyś była, nie odeszła za szybko, choćby z tej ciekawości.

Głupi, głupi, to ty jesteś głupi, a widzisz.

Ale nie potrafię byle co, staram się o tym, co dla mnie samego, i to pewnie mój błąd, bo po pierwsze, tego nie jest tak dużo, żeby starczyło, a po drugie, skąd mam wiedzieć, czy.

Nie kłam, dobrze wiesz, a w ogóle możesz nie opowiadać, wcale mi nie zależy.

Poczekaj.

Co się stało?

To zabawne, szukałem tego miejsca odkąd tu jestem, chyba nawet przechodziłem i nie poznałem, a teraz.

Miejsce pierwszej miłości?

Nie, nie sądzę, że.

Pierwszej, z którą spałeś.

Też nie, ale.

Chodźmy stąd.

Jesteś zazdrosna o takie dawne.

Kiedy w tobie nic nie przemija, nienawidzę tej twojej, jak można tyle.

A ty sama.

Nie broń się, myślisz że nie zauważyłam, w hotelu, cztery książki jednej autorki, fotografia na obwolucie, bardzo ładna, nie przeczę.

Słuchaj, przecież ona nie żyje, żywej nigdy nie znałem, to jest mniej realne niż Julie Christie.

Przepraszam cię, jestem naprawdę zmęczona, nie umiem spać w pociągu, a ty?

Chodź, połóżysz się, posiedzę przy tobie.

I opowiesz coś, ja naprawdę lubię jak opowiadasz, to nie musi być nic nowego.

A-a-a, kotki dwa. Wybieraj bajeczkę.

Jak uciekliście z tego miasta, po zaminowanej szosie, wyłudzonym w trakcie pijaństwa autem.

I ten, który prowadził, nie wytrzeźwiał do końca.

I woda się zagotowała w motorze.

I zatrzymali nas przed granicą.

I obstawili wóz, i myślałeś.

Wszystko pamiętasz.

Każde słowo, które od ciebie słyszałam.

Ale już zasypiasz, więc muszę się śpieszyć: nie rozwalili nas, wszystko się dobrze skończyło.

Wszystko się dobrze skończy.

Spij.

Wcale nie jestem śpiąca. Myślę.

O czym?

O teorii twojego kolegi. To nie dotyczy tylko podrywania dziewczyn. Jeżeli chcemy, żeby świat nas kochał, musimy go zagadać.

A chcemy, żeby świat nas kochał?

Chcemy. Kiedy wychodzę na scenę.

Kiedy piszę moją książkę.

No widzisz. To jest wszystko to samo. I cała trudność.

W tym, że się zarazem wstydzimy.

Ja nie mam rady, żebym była nie wiem jak stremowana, muszę zacząć.

Ze mną jest gorzej.

Ale piszesz, proszę cię, nie mów, że przestałeś ją pisać.

Jesteś jedyną kobietą, której się nie wstydzę.

Ani trochę?

W każdym razie mniej niż innych.

Byłam dziś dla ciebie niedobra.

Bądź, to najważniejsze.

Przyjechałam, żeby być niedobra.

Najtrudniej czekać. Mam wrażenie, że zawsze czekałem na ciebie. Na przykład parę lat temu w pewnym obcym mieście, kiedy.

Czekałeś na inną dziewczynę.

Nie, nie było wtedy żadnej dziewczyny. A pamiętam to teraz, jakbym czekał na ciebie, a ty.

Gdybym była wiedziała.

Miałem bardzo obskurny hotelik. I napis na korytarzu: Zabrania się odwiedzin dam w pokojach. Zakaz nie dotyczy działaczy Światowej Federacji Młodzieży.



Musiałbyś się podać za działacza Światowej Federacji Młodzieży.

To byli południowcy, tacy smagli, z wąsikami. Ale podałybym się, naturalnie.

Chciałabym teraz zostać, ale nie mogę.

Zostań.

Mam pociąg.

Zostań jeszcze troszeczkę.

Jedno z nas musi być rozsądne.

To już, tak już będzie, przerażenie nagłe za gardło, więc prokiem Józio Kapuc grożący, o sto złotych będziecie błagać, jeszcze mam sto złotych, jeszcze dwieście, zaoszczędziłem, jutro sprzedam ten album z reprodukcjami, doigraliście się panowie, tak już zostanie, kiedy panie profesorze, więcej nie będę, to nie ja tę szybę, słowo honoru, Woroszyński, wyjdź z klasy, Woroszyński, Woroszyński? rozdmuchany sztucznie w okresie, wszystkie te rzekome wielkości, Woroszyński, z literatury! karty biblioteczne do pieca, czy był taki, nie ma dowodów, ci, co są naprawdę, drukują, może mógłbym pod czyimś, nie możemy ryzykować, sam pan rozumie, sam rozumiem, nie pomyślałem, gdzież te dawne dobre, podejrzliwość, rozterki, co autor miał na myśli, skreślić zdanie, odłożyć, w mniejszym nakładzie, nie będziemy z niego robili, w kozi róg! nieistnienie, jakie to proste, nieistnienie, zgoda i na to, byle przeżyć, byle tych parę, czego to się zachciewa, zdychaj, szmato, cały skreślony, gdzież te dawne dobra, na które przedtem, tak już będzie, mówi Teodor, minie rok i drugi, wszyscy zapomną, że prócz tych, którzy co dzień w gazecie, w telewizji, w księgarni, jacyś inni, trochę inaczej, to zostanie literaturą, co teraz, a my, ratunku! nie chcę, nikt cię nie pyta, do szuflady też nie będziemy, bo kiedy, trzeba wyjść na ulicę, szukać stu złotych, już najtańsze palisz, jutro i na to, nie ma ciebie, nigdy nie było, poproś Józia Kapucia, może pożyczę.

Zgodzę się na wszystko, byle.

No macie mnie, już mnie macie, nie jestem taki gieroj, poszło wam łatwiej, niż mogliście się byli, niż mogłem, co ja mogłem o sobie, nie zgnojony do końca, nie przyciśnięty, co to całe moje stawianie się, to całe, oto ja, zeszczacony, prawdziwy, o to wam chodziło, więc proszę.

Żyć, istnieć, boję się nieistnienia, i normalnej biedy także się boję, jak się boję, tego jeszcze nie wiecie, więc zwlekacie z tym telefonem, przeceniacie mnie, daję słowo, jestem gotów, już jestem gotów.

Mam dla pana dobrą nowinę.

Dla mnie, dobrą nowinę, czyżby.

Zwolnili książkę.

Jak to.

No zwolnili, naprawdę, tylko parę drobiazgów do usunięcia, na tej stronie i jeszcze tutaj, to wszystko.

Nie mogę się zgodzić.

Czy pan dobrze zrozumiał, zwolnili książkę, do nazwiska nie ma zastrzeżeń, i tylko.

Bardzo mi przykro.

Pan się nie chce zgodzić na.

Po prostu nie mogę.

Formacja, dla której wszystko jest wymienne, każdy portret nad pochodem i hasło na transparencie, każdy punkt programu i pryncypialna idea, słowa i znaczenia słów, mówienie o dogmatykach nie ma sensu, nie są przywiązani do niczego, z piany nocnej co rano, nadzy, chwytni, naprzeciw obfitości mundurów, konstrukcja funkcjonuje niezależnie od elementów, przeszłość jest wymienna i historię co dzień piszą na nowo by zgadzała się z wymiennym prądem terażniejszości, ortodoksja jest wymienna, więc wymienny akt oskarżenia heretyków którzy spłoną na stosie, każdy symbol i hymn, nawet sny wymienne, i działania arytmetyczne, i prawa natury, każdy sztandar to kameleon, i oni sami, jeden dla drugiego, w każdej chwili są wymienni i dlatego tak się uwijają by wymienić robiącego łokciami obok zanim on ich zdoła wymienić.

Biedny Teodor, zaskoczony impetem represji, nie zdawał sobie sprawy jak ich dotknął mówiąc o niepodzielności kultury, to najczulsze miejsce, ta kultura upierająca się że Szekspir to Szekspir, Mickiewicz to Mickiewicz, i ten poeta, ten filozof, który coś tam wczoraj napisał i nie chce skreślić, i to zdanie wydrukowane lub nie wydrukowane, i ten obraz, ta nuta, ten gest człowieka pozbawionego ubezpieczalni i renty starczej, tak nieważnego w ich rachunkach, co za problem, zakazać i już, wszystko to niewymienne, jedyne, nie do wycofania, nie do zastąpienia Józkiem Kapuciem, istniejące inaczej niż są przyzwyczajeni, zatem obce i wrogie, nawet wówczas gdy głoszące ideę, którą sami głoszą albo głosili, stąd ten gniew, pokażemy wam niepodzielną, wszystko stoi na wymienności, a tu raptem literatura.

Na ulicy: bukinista z przypadku i kandydat, też przypadkowy, na bibliofila.

Bukinista: to niemiecka książka o całej sztuce, jaka tylko jest.

Zaintrygowany klient: o jakiej sztuce?

Nie wiesz pan, co to sztuka? Jak to panu wytłumaczyć?

Szuki robią, czy jak?

Nie, to literatura i w ogóle sztuka.

Aaa.

Wieczorna ulica, przechodnie, jasno oświetlony sklep z konfekcją damską. Włamywacz. Nie zwraca uwagi na ludzi, tłucze szkło wystawowe, wchodzi do środka, w skupieniu wybiera sweaterki i rajstopy. To dla Joli, tłumaczy usiłując wyrwać się milicjantom, panowie nie wiecie, jaka ona wymagająca, musi mieć ładne rzeczy, jak nie będzie miała, pójdzie sobie ode mnie.

Żona składa wizytę w dyrekcji zakładu psychiatrycznego. Do starań rozwodowych potrzebuje świadectwa o chorobie męża.

Potem zjawia się matka, lekarz z ukrycia pokazuje jej syna. Młody mężczyzna drepce po parku szpitalnym, nachyla się raz po raz, w skupieniu wybiera kamyki i liście.

Opowiadanie nosi tytuł „Włamywacz”, jest długie, to tutaj — to tylko szkielec, wypreparowany z opisów, szlochów i wielokropków, nie odkryłem pisarza, ani w tym, najlepszym opowiadaniu, ani w żadnym z teczeki, która tak cierpliwie czekała, jakoś powiem mu o tym albo napiszę, nie odkryłem pisarza, ale fabuła chodzi za mną.

Tak dawno nie było fabuł, wszyscy się wstydzą, trzeba być naiwnym i nieporadnym żeby układać, i wstydzić się trzeba całkiem inaczej, żeby nie wprost o sobie i swojej niedobrej żonie, żądającej pieniędzy, wysmiewającej ślęczenie nad kartką, tylko o wymyślonym, pehniętym w przestępstwo i obłąd, no a swoja i inne także niech czytają ze skruchą.

Bo ja wiem, czy nie odkryłem.

Może to jest ciągle najprawdziwsza literatura.

Z notatek do prelekcji o współczesnej poezji polskiej, w tym obcym mieście, w którym:

Proszę państwa, kiedy zastanawiałem się, co wam powiem, przyszło mi na myśl, że być może istotniejsze od pytania o tendencje, kierunki, spory, byłoby — co się w ogóle dzieje z poezją?

Dzieje się coś dziwnego, nie tylko u nas, jedni mówią o kryzysie, inni w ogóle negują możliwość poezji dzisiaj, francuski autor zastanawia się nad potrzebą poezji uprawianej przy pomocy języka, słów — czy nie zastąpiło tego kino, telewizja, sport,

wyścigi motocyklowe, tańce, jazz, big-beat, podróże, tysiąc różnych zjawisk, które dla przeżywającego je są w jakiś sposób „poezją”, bo wytwarzają napięcia i wyładowania emocjonalne — ta konkurencja staje się coraz bardziej przemożna — i pytanie, czy definitywnie skończyła się atrakcyjność układania słów w ciągły wierszowe, trudno uznać za bezpodstawne.

A jednak są ludzie, którzy się tym zajmują: odrzucają tradycyjną kulturę wiersza; rymować, powiadają, to takie nudne i jałowe; ale tworzą jakieś modele wypowiedzi słownej, które uważają za poezję i liczą na takie ich odczytanie.

Tuż po wojnie najświetniejszy chyba poeta mojego pokolenia stworzył taki model: ascetyczny, sprozaizowany, odarty z ozdób, recenzenci mówili o głosie ze ściśniętego gardła.

Odebraliśmy to jako rzeczywistą poezję, ale po pewnym czasie.

Poeta, o którym mówię, pierwszy u nas wyczuł „zużycie moralne” starej formy, a po kilkunastu latach doszedł do „zużycia moralnego” wszelkiej formy, wszelkiego słowa poetyckiego.

Teraz zaczyna wyrzekać się własnego słowa, ucieka się do collage’u, do montowania cytatów.

Plastycy robią to od dawna — zwiedziłem właśnie wystawę Teigeo, którego puściznę znacnie państwo lepiej ode mnie — to są próby sprzed lat trzydziestu, czterdziestu.

Na tej drodze plastycy doszli do „happeningu”, który w wielu swoich manifestacjach jest niepoważny, ale o którego zasadzie nie sposób wyrokować, że jest zwykłym szalbierstwem.

Chodzi o wstrząs, o poczucie niezwykłości w zwykłym, o wytrącenie z zabójczego automatyzmu odbioru.

Czy nie na tej zasadzie działała zawsze poezja?

W dawnych dobrych czasach takim happeningiem był nawet rym: dwa słowa o różnych znaczeniach zderzały się i spokrewniały brzmieniowo, i znaczyły już coś więcej niż z osobna, poza rymem; następowało zdziwienie, wstrząs.

Wystarczyło „krew-gniew” i człowiek reagował.

Potem, oczywiście, rymy musiały być wymyślniejsze.

Potem musiało ich nie być.

Skasowanie interpunkcji. Ostatnie słowo przed kropką i pierwsze po kropce — a tu naraz kropki nie ma i słowa zaczynają na siebie wzajemnie oddziaływać, promieniować, prześwieślać, wgrzyzać się jedno w drugie — toczy się między nimi jakaś gra, wytwarza się jakaś elektryczność.

Jednakże i to, i wiele innych ponowień wyrazu poetyckiego, uległo nieuchronnemu procesowi automatyzacji.

Kiedy nasz poeta buduje wiersz na zasadzie collage’u — to



cytaty zlepione ze sobą znaczą coś innego, niż znaczyły z osobna — zaczynają grać — są osobami dramatu — i wiersz jest dramatem, w który wsłuchujemy się niekiedy z zapartym tchem.

Zużycie słowa, które przemawiało przeciwko niemu, w tym nowym zestawieniu, nie pozbawionym ironii, może stać się jego atutem.

Ile jednak collage'ów można skonstruować nie wpadając w rutynę?

Żyjemy w epoce przyspieszenia wszystkiego: nauka, technika, obyczaje — wszystko pędzi, goni, zużywa się, powstaje i ginie.

Czyżbyśmy w sytuacji tego przyspieszenia w sztuce, redukując coraz to inne elementy formy, zmierzali do punktu zerowego?

Już kilkadziesiąt lat temu takim punktem zerowym wydawał się dadaizm — ale przecież wydobyto się z tego.

Przyszedł nowy wstrząs spoza poezji — z polityki, z wojny, z oporu przeciw zagładzie — i na jakiś czas użyczył poezji, na przykład francuskiej, nowego głosu, który słyszano.

Treść wypchnęła poezję z punktu zerowego w nową przestrzeń istnienia.

Podejrzewam, że widzenie sprawy naszego poety li tylko jako rozpaczliwej redukcji formy jest powierzchowne.

To jednoczesność linienia starej skóry formalnej, obnażania się z formy, tego słownego strip-teasu, który jest rodzajem happeningu — i przerabiania całym sobą rozległego zakresu współczesnych treści — cywilizacyjnych, kulturalnych, moralnych.

Poeta zawsze ogłaszał i nadal ogłasza przy pomocy właściwego sobie języka — a więc obecnie często języka, w którym nie ma jego własnych słów, tylko cytaty — jak najbardziej własne, osobiste komunikaty o przebiegu swojego borykania się z treścią.

Ja nie wiem, w jaki sposób on — i nie tylko on — minie punkt zerowy języka poetyckiego, do którego się zbliża, ale myślę, że

I w tym obskurnym hoteliku, jak wcześniej w innym, obsesja emigracji, wykorzenia, samotności niewysłowionej, i jak wtedy, w tej samej postaci, to się zresztą da wytłumaczyć, tę poetkę także tutaj rzuciło, tu pisała swe nostalgiczne, w siom christianniejszem iz mirow poety — żidy, tu zerwała z mężczyzną, którego nadal, samobójstwo popełniła gdzie indziej, i gdzie indziej opłakiwała to miasto równie piękne na swój sposób jak Paryż, miasto, do którego też będę tęsknił, chociaż jestem tutaj inaczej niż ona, nie przebiegam ulic pod górę w niepokoju, co

jutro, jutro, wsiądę do nocnego pociągu i rano, jednak teraz, w tym hoteliku, gdzie pod drzwiami cerber z okiem w dziurce, czy aby, a w łazience oliwkowy amant rozwiesił niedopraną bieliznę, a na korytarzu łomot w drzwi i krzyk co pięć minut: Rodriguez, telefon, dama! tutaj duszność znienacka i przestrasz, i współczucie niejasne, dla niej? dla siebie? i konieczność, żeby ktoś, natychmiast, ale nikt, bo skąd, w tej przestrzeni bez echa, w tym hotelu dla emigrantów, na etapie ucieczki przed czym?

Wiersz Maryny Cwietajewej z cyklu „Marzec”, napisany w roku 1939, który przełożyłem w praskim hoteliku wiosną 1966:

Łzy moje gorzkie... — gdzież  
Z tym pójść, co w gardle tkwi!  
O Czechy — strugo łez!  
Hiszpanio — strugo krwi!  
Góra, posępny głaz  
Nad globem, czarny gość...  
Już czas — już czas — już czas  
Powiedzieć Stwórcy: dość.  
Odmawiam — słyszysz! Być —  
Tu, w tym — przenigdy, jak?  
Odmawiam — słyszysz! Życ —  
W niełudzi domu — ja?  
Z wilkami placów wyć?  
Z rekinów prądem współ  
Istnieć — wśród ciał się kryć —  
Z ławicą płynąć w dół?  
Odmawiam. Wzrok i słuch  
Odmawia. Odtąd — niech  
Ze wszystkich ludzkich słów  
Zostanie jedno: nie.

Prawie w tym samym czasie, kiedy poetka ze szlochem zdławionym na emigracji, młody literat w Bukareszcie, jeszcze nie emigrant, już obcy, zanotował w dzienniku intymnym: „Można by powiedzieć, że istnieją dwie rasy ludzkie: człowiek i nowy człowiek. Nowy człowiek wydaje mi się być nie tylko psychicznie, lecz również fizycznie różny od człowieka. Nie jestem nowym człowiekiem. Jestem człowiekiem. Proszę sobie wyobrazić, że pewnego pięknego dnia dowiadujecie się o objęciu władzy przez nosorożce. Mają one moralność nosorożców, filozofię nosorożców, cały swój świat nosorożców. Nowy zwierzechnik miasta jest nosorożcem, który posługuje się tymi samymi słowami, co wy, a jednak nie jest to ten sam język. Słowa mają dla niego

inny sens. Jak się porozumieć?” Przypis autora po latach: „Nie. W rzeczywistości zniekształcili oni, przekręcili rozmyślnie sens wyrazów, który jest dla nich taki sam, rozumieją je, lecz przeinaczają dla potrzeb propagandy. To nie jest nowa myśl, nowy język, lecz zręczna manipulacja pojęciami dla zamięnienia świadomości ich przeciwników lub dla przyciążenia chwiejnych.”

Jeszcze z dziennika Eugeniusza Ionesco, 1940: „Policjanci są nosorożcami. Radni miejscy są nosorożcami. Jesteś jedynym człowiekiem pomiędzy nosorożcami. Nosorożce zadają sobie pytanie, w jaki sposób światem mogli władać ludzie. A ty, ty sam zadajesz sobie pytanie: czy rzeczywiście światem władali ludzie?”

„Cóż nam pozostało? Zbierać się jak dotąd i próbować myśleć, we własnym gronie, i odpowiadać w szczególności na wszystkie te głośniki ryczące, wszystkie te przemowy, wszystkie te napastujące nas obrazy, wszystkie te książki. Ale mimo wszystko ludzie odpadali. Pewnego dnia I. powiedział nam, że mamy, naturalnie, rację, a tamci są bez wątpienia potworami albo obłąkańcami. Jednakże, powiedział, to dziwne, niekiedy wydają się, wydają się mieć rację w jednym szczególe... W tym momencie zrozumieliśmy natychmiast, że I. już dostał się w tryby.”

„Wszyscy zaczynają tak samo. Przyznają pewne rzeczy, z całym obiektywizmem. W rzeczywistości ustępują. Robią koncepcje. Nie wiedzą o tym. W rzeczywistości wkładają palec w tryby. Wkrótce zostaną pożarci przez Molocha. Jeżeli przyjmuje się jeden z ich postulatów, kończy się na przyjęciu wszystkich. To jest nieuchronne. Znam to. Wszyscy moi przyjaciele antyfaszyści, którzy zostali później faszystami totalnymi, fanatycznymi, na początku ustąpili w jednym małym szczególe. Doświadczyłem tego fenomenu: inkubacja się zaczęła, to jej pierwsze symptomy. Trzeba im od trzech tygodni do dwóch miesięcy na włączenie do systemu.”

„Rozmawiałem z nim. To był jeszcze człowiek. Naraz, stało się to na moich oczach, ujrzałem jak jego skóra grubieje, twardnieje w okropny sposób. Jego rękawiczki, jego trzewiki przeistoczyły się w kopyta, na czole wyrósł róg, w mego rozmówcę wstąpiła drapieżność, zaczął miotać się w furii. Już postradał świadomość, już nie umie mówić. Został nosorożcem. Za jednym zamachem. Chciałem pójść w jego ślady. Ale nie mogłem.” Przypis po latach: „Jestem zaskoczony dostrzegając, jak bardzo to wszystko przypomina moją sztukę *Nosorożec*. To chyba geneza tej sztuki. Ale dopiero całkiem ostatnio, odzyskawszy stare stro-

nice mojego dziennika, stwierdziłem, że nazywałem tamtych nosorożcami, o czym kompletnie byłem zapomniałem...”

I jeszcze 1940: „Nowy człowiek może żyć w stanie bezosobowym. Wyrzekł się swojej osobowości. Boga można pojmować jedynie jako osobę. Ludzie są osobami. Jeżeli ktoś oddaje się Narodowi, jeżeli Naród, Społeczeństwo jest Bogiem, nie ma już nikogo.”

Wtedy w Pradze to była samotność innego rodzaju, miasto nie było przeciwko mnie, zapraszało jak w głąb miedziorytów spatynowanych między swoje stare kamienie, otwierało wnętrza knajpek pluszowych i małych kin na przedmieściu, i swych ludzi też otwierało przyjaźnie, i historię rozgrywało wieżycami złotymi pnącą się w niebo i na bruku rozpostartą jak u nas, lecz samotność już była we mnie, postaciami mojego życia zaglądała przez ramię, to już książka nie zaczęła tchu wołała przed pierwszym słowem, to bolała literatura, więc czekałem i nie wiedząc na kogo czekam, i jednego z tych dni mój tutejszy Wergili zaprowadził mnie na cmentarz żydowski, obok tego cmentarza zaś był pomnik najniezwyklejszy na świecie — Żydów tego kraju pomordowanych, pomnik w który weszliśmy jak do domu, bowiem był to dom o ścianach wysokich, dom odwiedzin umarłych przez żywych, ładnie że pamiętacie o nas, gospodarze mówili, proszę poznać całą rodzinę, to Debora, dwunastoletnia, z Banskiej Bystrzycy, to brat jej Natan, to Benedykt i Anna z synem Henrykiem, to rabin Jakub, to Marceli z Pilzna, zmienionej wiary, ale także jest tutaj, poznajcie wszystkich, sto tysięcy, nikogo nie brak, tak mówili gospodarze ze ścian wysokich, od podłogi po pułap imionami pokrytych, nazwiskami, miejscowościami, datami, nie zginęliśmy bezimiennie, mówili, każdy imię swoje zachował, wszyscy, ilu nas było, na tych ścianach, na tym pomniku, na zawsze, więc szukajcie nas, a znajdziecie, i wsłuchany w ten chór milczący przypomniałem sobie film obejrzany niedawno, o zagładzie Żydów w słowackim miasteczku, scenę z filmu, gdy megafon na placu wywoływał po nazwisku ofiary, i nazwiska te właśnie, w powietrzu ciemnym huczące, bohatera filmu osaczyły, prostego człowieka, który pojął naraz, że nie jakaś masa bez twarzy odchodzi w nicość, ale jego znajomi, na ulicach tych spotykani, każdy z twarzą, głosem, imieniem, dom umarłych opuściliśmy z moim Wergilim, uliczkami krętymi szliśmy w dół i pod górę, pokazywał mi teraz miejsca, gdzie Franz Kafka chadzał przed laty, pełen trwóg niewyraźnych i przeczuć, i myślałem znów o literaturze, i w hotelu próbowałem to zanotować, i nie umiałem ująć w zapis przejrzysty. jak i nadal nie umiem,



tego, co pojąłem, być może, z jej istoty najgłębszej, z jej misji, tylko jej? tylko takiej? ależ nie ma nie jednostronnych wyroków i nim zdanie jedno wykrztuszę, w każde słowo zwątpię i każde skreślę, i to znowu będzie ucieczką od istoty, którą dnia tego w Pradze.

Próba zapisu: istotą literatury — sztuki w ogóle? literatury naszego wieku? świadomości naszego wieku? — jest walka z depersonalizacją - niwelizacją? zrównaniem z przyrodą na poziomie grobu masowego? — niezgoda na anonimowość ofiary zbrodni masowej, odczłowieczającą i ją, i świadka — obrona każdego pojedynczego życia, które kończy się pojedynczą śmiercią — pamięć o pojedynczej śmierci — pamięć jako wyraz istnienia — istnienie jako pamięć? literatura jako nieprzemijająca obecność? — nieuległa pamięć każdej istoty przeciw zapomnieniu, zrównaniu, przydeptaniu, spłaszczeniu.

W drodze do Dachau, bo uparłem się przy tym Dachau, moi gościnni Niemcy wyłazili ze skóry, kabarety, muzea, nastrojowe lokale, może chce pan zwiedzić nasze największe wydawnictwo, chce jechać do Dachau, może spotkanie z działaczami socjaldemokracji, do Dachau, myśmy sami nigdy, przecież to, skoro tak pan się uparł, hej gospodarzu, gdzie tu droga do Dachau, ołowiany wzrok, nie wiem, na pewno pan nie wie, a pani, przecież to gdzieś, nie nie wiem, trudno, jedziemy dalej, i o kilkaset metrów palenisko wystygłe, pomnik z napisem, siąpi deszcz, stoimy, leżą wieńce zbutwiałe, już byśmy wrócili do auta, bo co tu po nas, ale oni wstydzą się pierwsi napomknąć, a ja stoję uparcie, deszcz coraz większy, staram się myśleć: jestem w Dachau, to Dachau, ale to nie to Dachau, to Dachau milczy, czują je tylko ci okoliczni, którzy: nie wiem, na pytanie o drogę, tylko ich uwiera, posadzić by kapustę i maki, zmienić nazwę, żeby nikt wychylony z auta, no dobrze, strzepują krople z kołnierza, wracamy, więc obejrzał pan Dachau, coś potwornego, prawda, my jako Niemcy.

Aleksander, na ulicy spotkany: tak, rzeźbię, znowu rzeźbię, dawno mi tak nie szło jak teraz, ale to nie jest najważniejsze, żyję, istnieję, czujesz swoje istnienie? już kiedyś tak było, miałem zniknąć z powierzchni ziemi i każda chwila przeżyta znaćczyła triumf: a jednak! teraz zjadam kawałek chleba i to jest w jego smaku, wypijam kieliszek wódki, słucham muzyki, czytam książkę, siedzę w parku na ławce, głaszczę psa: a jednak! w uszach mam piosenkę z teatru: świat nie jest taki zły, świat wcale nie jest mdły, niech no tylko zakwitną jabłonie, kwitną,

słońce przygrzewa, śmieję się, spotykam ludzi, rano budzę się, przysnąć, biorę dłuto do ręki, nie zdechłem, nie zwariowałem, istnieję.

Te dwie potrzeby, dwie propozycje, możliwości, niemożliwości, tęsknoty, wspólne mianowniki wszystkich ułamków, zawsze one, dwa pragnienia, natchnienia, rozczarowania, dwie rozkosze spazmatyczne, dwa wyjścia, dwa cierpienia, dwa samobójstwa, dwa miraży, dwie szanse, tak zdawałoby się odrębne, tak z innej beczki, i tak nie do wytłumaczenia pokrewne, nieprzeparcie upodobniające się sobie w żarliwości i bólu, w absurdzie i szaleństwie, i w olśniewającej swej konieczności, w sakralności swojej, wszystko usprawiedliwiającej, sensem namaszczającej każdą chwilę przeżyta, dwie zagadki, dwa wtajemniczenia, dwie kulminacje, dwa ogniki błędne w ciemności, dwa wołania, dwie choroby, dwie obietnice, tak niezbędne, tak gardzące sobą wzajemnie, ta pierwsza z ciała, z cielesnego dygotu, z dzieciństwa, ze snu, napinająca istnienie jak łuk, drążąca żyły, strącająca w otechłań cudowną, poza wolą, poza chęcią i możliwością oporu, po prostu natura sama, zwierzęca, owadzia, ptasia, i ta druga, skąd? z wyobraźni, z literatury, z rozjątrzenia umysłu, z pychy, z chęci porzucenia rytmów przyrody, narzucenia jej własnych, skonstruowanych, mniej okrutnych i mniej oczywistych, przez głos ciała nie podszeptanych, wybranych, jeśli oprócz przez Chaos rządzonej natury jest Bóg, to ta druga od Boga, z ziarna ładu sprawiedliwego, zasianego gdzie, kiedy, lecz mimo wszystko, dwie miłości dojmujące po równi, dwie miłości kojące, rozdzierające, i po równi zbeszczeszczone, wydrwione, przeinaczone, wyzyskane, sprzedane, dwa zwycięstwa nad samotnością i pustką, dwa wstydy, dwa oddania się, dwa przekroczenia granicy, dwa bezwstydy, dwa grzechy, dwa wyrzucia się z siebie, dwa spotęgowania siebie, dwa absoluty.

W tym pociągu, którym z miasta mojego dzieciństwa, przekraczając tuż za nim nową granicę (noc, szarpnięcie zasuwy, latarenka, plik papierów w żołnierskich palcach zgrabiątych), o przedwiośniu tającym wyjechałem wreszcie w dal wymarzoną, w przestrzeń przygód powszednich, ledwie szparę rozehylającą, moim gestem nie zasiedloną, dziewiczą (świt, mgła nad polami, plamy śniegu, szara płaszczyna, Polska), w tym łomocie przez tydzień, przystawianiu, znów ruszaniu ospałym, w dymie rury żelaznej przez środek skrzypiącego wagonu, tylko tamto jedno trwało przemożnie, przenikając mnie dreszczem, jawę ze snem mieszając, oplatając całego siecią dziwnych pulsowań, porywów,

widzeń, a to drugie przytańło się czy odeszło, jak gdybym, opuszczając miejsce pierwszych wtajemniczeń i planów, uciął wątek tak ważny jeszcze przed chwilą i zapomniał o nim natychmiast, jakby nocna granica i od tego oddzieliła mnie także, jakby miejscu jedynie, kartoflisku, nasypowi nad torem, alei z opadłymi liśćmi, było to przynależne, w tym wagonie więc, chybotliwym i ciasnym, było tak, jakbym jechał za tamtym, ścigający tamto, w tamto wpatrzony, ono zaś przesyłało sygnały potwierdzające swoją cielesność, już na pierwszym postoju o świcie zobaczyłem je z bliska, nieformalne było w swoim waciaku, z karabinem, przez ramię, miało wargi nabrzmiąte i czapkę uszatą nasuniętą na czoło, ale było dziewczyną, poprzez wszystkie zastony ciałem kobiecym, upragnioną zdobyczą, możliwością złączenia się cudownego, i wiedziało o tym, uśmiechało się pokornie spod czapki, pociąg ruszył i poprzez ścianę wagonu wciąż widziałem na ostatniej platformie wojskowego transportu, do którego byliśmy przyczepieni, wartowniczkę w waciaku, poprzez waciak ciało chcące się oddać, wychodziłem ilekroć nasz pociąg stawał i patrzyliśmy na siebie bez słowa, aż na którymś postoju, gdy parowóz sapiąc brał wodę, powiedziałem: chodźmy do lasu, pokręciła głową, nie wolno, mnie nie wolno stąd odejść, inni wyskoczyli z wagonów, któryś klepnął mnie, chcesz się żenić z Marusią, co, Marusia, wyjdiesz za niego, popatrz, jaki kawaler, albo on mnie zechce, zwątpiła, chciałem, choćby tu, na platformie, dam ci adres, powiedziała szybko, napiszesz? pociąg włókł się zgrzytając i postukując, adres, pisać, do kogo, przecież nadal będzie przy mnie, przede mną, w moich oczach, w moim drzeniu bez przerwy, w tej sukience przewiewnej, w obcisłym swetrze, w mokrym płaszczu z kapturem, naga, z mego żebra, najbliższa, nieosiągalna, ani nawet wtedy gdy, wiecznie obca, której wyrzec się nie podobna, nie prócz niej, tylko ona.

I stała się światłość, słoneczność, prześwietlona słońcem kroplistość, plaża się stała, w którą z nocy łatwo spełnionych pożądań zszedłem, po raz pierwszy tak pusty i roztrwoniony, bez czułości dla tej, której snu nie przerwało moje odejście, z brakiem pragnień o bezradność przyprowadzającym, zatem z nocy tej zszedłem w sypkość, spadzistość, w muł wilgotny, którego dotknięcie bosym stopom jakiś dawny nieuchwytny ślad przywracało, wreszcie w falę słoną, ciało z tamtych objęć jak z gwałtownej spienionej fali wyjmującą łagodnie, a gdy wynurzyłem się, tylko radość promienna w ciele została, i stanąłem w blasku, i w tym samym blasku ujrzałem, nie zaprzeczaj, Joanno, w tym słońcu, w tej świetli-

stości, ta dziewczyna leżąca na żółtej plaży w wypłowiłym kostiumie, ty nią byłaś, popielate włosy rozsypały się półkoliście na przetartym ręczniku, zasłaniając oczy ramieniem powiedziałaś: niech się pan wynosi, jak mogłem spełnić, tak widziałem ją, wynurzywszy się z fali, jak gdybym po raz pierwszy wyszedł na światło dzienne, była blaskiem zgęszczonym świata całego, jego jasną harmonią, żadnych pragnień nie miałem, tylko tak ją widzieć, jak jeszcze wczoraj chyba nie byłbym umiał, z całą wiedzą znaków tajemnych w śpiewnych liniach kobiecego ciała zawartych i z czymś poza tę wiedzę wykraczającym, co olśniło mnie nagle, opuściłem się na kolana, pan tu jest jeszcze, powiedziała, przecież plaża jest długa, nie nie mówiłem, nie zmieniała pozycji, ale w ciele jej leżącym na piasku skrępowanie się pojawiło i opór, ciągle nie ruszając się powiedziała: w takim razie ja sobie pójdę, nie, wyjąkałem, roześmiała się pogardliwie, może pan mi zabroni, i z pokorą, i z desperacją rąbka jąłem się chwytając zakazanej światłości, bezskutecznie, Joanno, byłaś wroga i nieprzejednana, a ja czułem przecież, że to, co teraz, ale byłabyś odeszła w swej aureoli, albo mnie do odejścia zmusiła, i na żadnej już plaży nie bylibyśmy się na pewno spotkali, gdyby nie to zdarzenie, które nagle dekoracją prześwieconą targnęło i sprawiło, że spojrzeliśmy na siebie oboje, nie tak bliscy jeszcze jak później, lecz i nie tak dalecy, jak przed chwilą, gdy wyszedłszy z morza zakłóciłem niezdarnie twe słoneczne odosobnienie.

Widokówka z plaży w innym kraju, piętnaście lat później, ciągle jeszcze z Joanną, lecz nie widzę jej, ani siebie nie widzę, poza polem widzenia jesteśmy, może na tym tarasie, zwisającym nad brzegiem, gdzie sączymy swój przedwieczorny koniak, nie nie mówiąc i z rzadka omiatając wzrokiem horyzont, na którym z szarych fal wyskakują czerwone boje niby główki dżokejów, uporczywie i beznadziejnie biorących wciąż tę samą przeszkodę.

Plaża już wyludniona, tylko ta para, w płaszczach kąpielowych na mokrych ciałach, przytuleni do siebie, całujący się co pięć kroków, idą, zostawiając ślady na mokrym piasku, przyплыw bierze je na języki, ale oni nie oglądają się, idą, przytuleni, sami na plaży, za oślizgłość gładów, pierwotne kadłuby łodzi, parasoli spuszczone flagi, tylko sobą zajęci, pierwsi ludzie w tym komfortowym raj.

Za plecami mamy góry, osnute winoroślą zieloną, w której gubią się karby ścieżek, między morzem zaś a górami zapach spalin miesza się z zapachem krzaków różanych.

Para wraca zza łodzi wysychających i zastanawiam się, patrząc na młodego mężczyznę, czy już zawsze będą spotykał ludzi,



k którzy wcześniej przeszli mi drogę, i czy wszystkim miejscom, gdzie będę, ich obecność przysporzy znaczeń, jakich wcale nie łaknę.

To nie on był właściwie, ale brat jego starszy, w innym kraju i w innym czasie, starszy brat, tak niepodobny do niego, tak do kraju i czasu podobny, szary, ciężki, zasklepiony w kilku pojęciach, w bohaterskim ubóstwie swoim, zakazami ścisłymi obwarowany, niemożliwe było choćby i takie z cudzoziemką, ani nawet z własnej nacji przedstawicielką tak publiczne, nie miał także strojów młodszego brata, znajomości języków, manier, za to upór, z niedostatku cnotę czyniący, z musu system przeświadczeń i norm moralnych, całą noc przegadaliśmy kiedyś pijąc, z zawziętością bronił prawa, które go wyzuło z barw i odcieni, może swojej wierności i wiary bronił, mówił przecież: z tym imieniem krew przelewałem, a to nie był błahy argument, ale ja nie chciałem już uzasadnić dla bezwzględności wobec siebie i innych, ciężka była nasza rozmowa, a z tym młodszym, po prezentacji, kiedy obu nas ucieszyło stwierdzenie, że znam jego brata, do prawdziwej rozmowy nigdy nie doszło, o czym mielibyśmy rozmawiać, to, w czym żył, nie wymagało dyskusji, było łatwe, przyjemne i bez konfliktów, lecz to właśnie, że takiego tutaj spotkałem, człowieka który bierze nie dając, nabierało nieoczekiwanego znaczenia, i użyła mnie widokówka, na której szli we dwoje z dziewczyną, przytuleni, chętni, tak oczywiście na tej plaży, tego lata, w polu widzenia.

Przecież spotkam go jeszcze, po czasie nie bardzo długim, bez tej małej u boku, w garniturku świetnie skrojonym i w karierze spod igły, w odpowiednim dla chwili gościę my-się-nie-znamy, ależ dobrze, nie znamy się, widokówka z plaży, któżby chciał ją wyciągnąć pośrodku zimy.

Lecz w tym pociągu, jak mogę twierdzić, że wtedy, przyłapuję się znów na ciuciubabce z pamięci, jakże mogę, skoro w tym łomocie przez tydzień, przystawaniu, ruszaniu, w dymie rury żelaznej, skrzypieniu, postukiwaniu, właśnie wtedy w uszy mi się włomotał, patetyczny i nieubłagany, wiersz-manifest, który następnie, zaciskając w garści spoconej, do redakcji zaniósłem, tu zaś Siedlecki, ale w tym pociągu nie istniał jeszcze Siedlecki, ciemne schody jeszcze nie prowadziły do góry, istniał łomot, rytm i mój patos w ten rytm wchodzący, moja wiara i дума rymujące się z głośnym zgrzytem jak wagony z gruchotem złączę przystające znienacka, za okienkiem pola, Polska, przedwiośnie, coraz głębiej w przestrzeń moim gestem nie zasiedloną, ale on jest już we mnie, rośnie, chociaż nikt go nie widzi, wykonuję ruchy

zwyczajne, do piecyka dokładam szczapy, puszkę z konserwami otwieram, na stacyjce, gdzie deszcz na tłumokach i twarzach rozmazuje smugi czarnego pyłu, wchodzę do komendanta, trzymam w rękę butelkę zmąconej cieczy, postaw, pokazuje skinieniem głowy, i otwartą węglarką jedziemy dalej, pada deszcz, ojciec trzyma się za serce, wysiadamy na wielkim dworcu, hałas, tłum, popychanie się, lament kobiet, czyjeś śpiewy, przekleństwa, nawoływania, idę, noszę podnoszę, potrzebę, ale w głębi, tylko to, zaborcze, jedynie ważne, nie przez formę, choć z nią zrosnięte, pierwotny mój gest, mój sztandar na barykadzie, moja płachta czerwona.

Plaża-piekiło, miodowy miesiąc z Karoliną, tak, Karolino, będę czekał, dobrze mi tutaj, plaża-piekiło, nadmiar słońca i ciał, widły słońca, ciała do piasku przybite, na słonecznym ruszcie skwierczące, spotworniała cielesność wytarzana w słonecznej smole, nieczym ryby w matnię w czeluście plaży-piekiła wpływamy, plaży-apokalipsy, gore, tehu, litości, nie z tego, obracamy się na różnie słonecznym i bez tehu, roztopieni, umieramy z tej piekielnej rozkoszy.

Agresywna szpetota ciał obnażonych, brzuchy wylewające się z wąskich slipów, grube uda, wklęsłe klatki piersiowe siwym puchem porośnięte, ten tu wygląda jakby broda rośla mu z piersi, zniekształcone stopy, żylaki, kręgosłupy wygięte, nadmiar, niedomiary, macierzyństwa formy zastygłe, ślady wieku, chorób, nałogów, pracy, wszystko jawne, nikt się nie wstydy, ciała chodzą wśród ciał, leżą ciała przy ciele, plaża-łóżko ogromne, pod tysiącem ciał spoconych ugięte, rżęzą ziemi sprężyny, obracają się ciała z brzucha na plecy, znów na brzuch, kurczenie się, rozkurczanie, smarowanie olejkami, jedzenie, picie, obłapianie się, sporty, igraszki, wszystko tutaj, nikt się nie wstydy, czego chcą te ciała, stać się piękniejsze, utraconą zrzęczość odzyskać, odpocząć, wchłonąć życiodajne promienie z nieba i wody, one chcą się wystawić, zademonstrować, nagą nieregularność pokazać (w zmasowaniu takim czy jest nią jeszcze?), chcą się wyzbyć kompleksu ciała, chronionego gdzie indziej i w innym czasie pod warstwami bielizny, ubrania, futra, teraz koniec! zdarte wszystkie powłoki, triumf ciała, psycho-analiza gromadna cielesności oczyszczanej ze wstydu, tego trzeba było ludzkości, po to wyszła na plażę!

Skasowany przywilej wieku, gracji, zwinności, hurmą babcią w bikini, ławą dziadkowie, i społeczny przywilej w odwrocie, to się wszystkim należy, z odbiornikiem telewizyjnym do wypełniania wieczorów, z tranzystorkiem do zagłuszania myśli, z autem do ucieczki z miejsce spowszechniałych, o to walczą wszysey, do

tego dążą, nie o chleb już ani ośmiogodzinny dzień pracy, nie o wolność sumienia czy konstytucję, o tranzystor, auto, miejsce na plaży, i już mają coraz powszechniej, jutro wszyscy dostaną prócz ostatnich dziwaków i niedołągów, wiwat postęp spełniający pragnienia i rodzący je aby spełnić.

Ale czy to możliwe, czy starezy plaży, czy od tarcia nie zapłonie powietrze, gdy zaczniemy na drugą stronę obracać rozprażone ciała, morze czy nie wystąpi z brzegów, skoro goła ludzkość w nie wejdzie, od oparów słońce czy się nie zamgli, już to widzę, pożar, potop, zaćmienie, i nas widzę, na skrawku brzegu i w morzu, tępe ciosy rozdzielających, tratujących się, spychających pod wodę, ciała z ciałem zapasy, płas opętańczy, pot i krew zalewa mi oczy, ciasno, wyżyć, obalić współzawodnika, ten jest stary i słaby, tego pokonam, ale tamten, ratunku, tehu co za piekło.

Dlaczego masz taki złośliwy wyraz twarzy.

O, jesteś już, Karolino, dobrze mi się czekało, wyraz twarzy, chyba się mylisz.

Nie udawaj, jesteś podły, jak mogłeś, skąd do ciebie taka złośliwość.

O co ci chodzi.

Ta baba, ta Niemka, w tym kostiumie, trzeba było przyjść i uprzedzić, a ty specjalnie.

Jaka znów baba.

Niewiniątko, niby nie widzi, kostium taki jak mój, identyczny, żeby mnie wystawiać na pośmiewisko, upokorzyć, zawsze zmierzasz do tego, nienawidzę cię, załatw bilet, jutro wracam do domu.

Karolino, nie podnoś głosu, ludzie.

Oni nie rozumieją po polsku, zresztą proszę bardzo, niech słyszą, nienawidzę cię, nienawidzę cię, nie-na-widzę.

Płacze bez łez i tupie zgrabną nóżką w piasek, nie mam ochoty na dyskusowanie jej urojeń, wdycham zmęczony, odkąd tu jesteśmy ani dnia bez skandalu, brak reakcji rozwściecza ją jeszcze bardziej, teraz wróci do hotelu, powyrzuca z szaf swoje łauszki, przy obiedzie znowu będzie szampańska, na jej śmiech przenikliwy ludzie będą się oglądali, potem zacznie mi wymawiać, że się jej wstydzę, zamiast dumny być z takiej kochanki, popatrz, wszyscy mężczyźni, ilu ich tutaj, pożerają mnie wzrokiem, gdybym tylko chciała, jeśli chcesz, Karolino, nie stawiam przeszkód, i to samo znów od początku.

Pośrodku piekła, w niewidzialnym kręgu zakreślonym na piasku, wyspa, ogród cienisty, w nim cielesność zachwycająca,

wybrana, on i ona zasnęli w uścisku lekkim, i obchodzą ich wszyscy pieczołowicie, skoro sama przyroda dech gorący nad pięknymi wstrzymała, ludzie nie chcą być brutalniejsi. Młode ciała, jeszcze rozgrzanemu piaskowi pokrewne, jakby z niego przed chwilą powstały, lecz piękniejsze, bo ukształtowane, nie sypkie jak on, zamknięte doskonałymi liniami, w bryły zdumiewające związane, jeszcze słońcu pokrewne, jakby ono je utoczyło, leżą tutaj, oddychają bezgłośnie, śnią o sobie i sen się sprawdza. Czy już kiedyś tak było, czy widziałem ich kiedyś, czy to ja na plaży mojej młodości tak zasnąłem z Joanną, lecz pamiętam nas zbyt nieśmiały, zbyt niepewnych prawa swego do siebie, mniej niewinnych może niż oni, i dlatego tak wolno, z otwartymi oczyma, zbliżających ciało do ciała, tak pamiętam nas, więc dlaczego to zarazem pamiętam, tę wyspę, krąg na piasku, siebie w tym kręgu, i Joannę, mimo wszystko Joannę, szkoda, jeśli tego nie było.

Już miała odejść, kiedy zaczęło się owo zamieszanie, jacyś przebiegli obok nas i dalej po plaży, zakotłowało się, krople wody półkuliście trysnęły, z paru stron biegli, osypując piasek zatrzymali się przy nas.

Polacy?

A bo co?

W porządku, to pomóżcie przepędzić Niemców, tam się kąpią, dranie, jak za Hitlera.

Pobiegli, niecierpliwi, młodszy ode mnie, podnieceni tą zabawą prawie dorosłą.

No, powiedziała, niech pan leci, to coś dla pana.

Nie mam ochoty.

Dlaczego? Kocha pan Niemców?

Przepadam.

Jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że ze mną rozmawia, ona też nie zdawała sobie sprawy, że, choć z pogardliwą rezerwą, mimowoli zaakceptowała moją obecność i zawarła nawet jakieś krucho przymierze, to że żadne z nas nie paliło się do udziału w ekspedycji karnej na piasku, wyłączało nas spośród innych i łączyło ze sobą.

Przecież po to pan przyjechał, zmrużyła oczy, może nie, na szabera i te rzeczy z Niemkami, mścić się za okupację i użyć życia.

Zgadła pani, powiedziałem, tak właśnie robię.

Dobrze, że pan chociaż nie kłamie.

A pani, po co pani tu przyjechała?

Wahała się chwilę, czy odpowiedzieć mi serio, zbyć nową



uszczypliwością, wreszcie z rezygnacją: po maturze, oznajmiła, gęś po maturze, na wakacjach u stryja, i dodała: stryj pracuje w stoczni.

Wstała, otrząsnęła piasek z ręcznika, wciąż klęczałem i teraz na poziomie moich oczu znalazła się mała blizna nad kolanem, której przedtem nie zauważyłem, ta drobna skaza dodała mi nieoczekiwanej otuchy, i nim ona, uważając konwersację za wy-czerpaną, krok zrobiła w stronę zarośli, za którymi biegła droga do miasta, zawołałem bez zastanowienia: a na jaki temat pani pi-sała?

Idea demokracji w literaturze polskiej, od zarania po dzień dzisiejszy, wyrecytowała i zrobiła ten krok, ale nie dość zdecydowanie.

Zerwałem się.

Ja też, wykrzyknąłem radośnie, też idea demokracji od zara-nia po dzień dzisiejszy.

Jutro wyjeżdżam, powiedziała, nie ma sensu, niech pan da sobie spokój.

Dokąd?

Wymieniła miasto, z którego tu przyjechałem.

Wyjeżdżamy oboje, razem.

Co też panu przychodzi do głowy, powiedziała bezradnie, po raz pierwszy mnie pan zobaczył i nagle.

Do jutra, powiedziałem prędko i nim zdążyła zaprotestować wykręciłem się na pięcie, zbiegłem po piasku i z rozpędu dałem nura do wody, aż słoneczny klosz zachybotał się nade mną, zalśnił jaskrawiej i opadł roztrzaskany na milion świetlistych kropel.

Mój bracie, Güntherze Grass, mój rówieśniku, znakomity i nieznajomy, to nie ja spędzałem ciebie z tej plaży, ale byłem przy tym, obojętny, uznający, jak wszyscy wokół, sprawiedliwość odwetu, na upokorzenie wasze przystający bez wahań, i nie tylko przy tym, nazajutrz na dworcu byłem, w gęstym mroku stłoczeni czekaliście tam na transport, teraz wy z tobołami i tłumokami, z protezami, z dziecięcymi wózkami, z goryczą, ilu winnych w tej ciźbie, ilu niewinnych, któż to rachował, w czasie wielkiej zapłaty, żniwa burzy przez kogo posianej, nie przez ciebie, ale jakże miałem cię wyodrębnić, nie wiedziałem o twym istnieniu i, łaknący braterstwa ludzi, was widziałem poza ludzkością, stałem patrząc na napiętnowanych, nie żółtymi łatami, nie pasiakiem z czerwonym winklem, nie tatuażem, nie atrofią śmiertelną, nie odorem gazu w komorze, tylko winą zbiorową za tamto wszystko, odtrąceniem, wygnaniem, to nie ja was wygnałem, ale byłem przy tym i godziłem się na to, i bezbronność pamiętam owego

starca, któremu chłopak w marynarskiej czapce kazał zdjąć buty, na betonie siedział rozsznurowując, a marynarz zostawił mu w zamian swoje, nie wchodziły na artretyczne stopy, wtedy właśnie nadjechał pociąg, do którego wsiadłem zostawiając was swemu losowi i nie myśląc o was do czasu, potem okazało się, że niezgorzej radzicie sobie na nowym miejscu, lecz nienawiść przetrwała po obu stronach, dzieci w żłobkach uczą się nienawiści, moja obojętność już wtedy nie była nienawiścią, a tym bardziej dzisiaj nie jest nią moja nadzieja i moja wiedza o tobie, i ty też nienawiści do mnie nie żywisz, chociaż obaj wszystko pamiętamy i nie ma mowy żebyśmy zapomnieli, ale czy wystarczy naszego braku nienawiści i pragnienia braterstwa, i naszej nadziei, i naszego wołania, żeby zmniejszyć o uncję ogólny bilans nienawiści i podważyć chęć nowego odwetu, i odwetu za odwet, i odwetu za odwet, parząc palce chwytny się za ten kocioł, cóż prócz bezsilności naszej widzą ci wokół, czy naprawdę panami Kichotami jesteśmy, czy to zawsze będzie silniejsze od nas, czy jesteśmy śmieszni i nierealni, a prawdziwy jest tylko ten oddech w mroku, ciężki oddech gromad z zaciśniętymi pięściami, Güntherze Grass, jeśli dojdzie kiedyś do naszego spotkania, trzeba będzie o tym pogadać.

Chodziliśmy z Joanną przez całą jesień i zimę, i mówiłem jej o świętym zadośćuczynieniu za dotychczasowe grzechy ludzkości, i o nowym świecie, dobrym i sprawiedliwym, a ponadto silnym, dławiącym zło, bezlitosnym.

Ona także łąknęła wielkiej wspólnoty i podziału, w którym mogłaby stanąć razem ze mną po jasnej stronie.

Opowiadałem jej książkę, która wpadła mi w ręce pod koniec wojny i w którą wcieliła się moja wiara, a także najrzeczywistsza wtedy jeszcze nienawiść, wietrząca już, gdy chodziłem z Joanną, i nabierająca rysów abstrakcji, tego jednak nie uświadamiałem sobie dość długo i wierzyłem, że nienawidzę.

Książka nazywała się „Palę Paryż”.

Nie chodziło o Paryż, nie do wyobrażenia daleki, lecz o Stary Świat, który musiał się spopielać, jak w książce, a na zgliszczach my, wyzwoleni więźniowie, wybudować mieliśmy nowe życie: komunizm.

Mówiłem Joannie wiersze Majakowskiego i własne.

Po raz pierwszy czytaliśmy razem wiersze Mistrza, który wrócił był wtedy do kraju i zamieszkał w tym samym mieście, kiedyś staliśmy pod jego drzwiami i nie odważyliśmy się zadzwonić.

Chadzałiśmy na zebrania, gardłowali tam inni, a my słucho-  
liśmy do odurzenia przemówień, które były muzyką romantyczną  
naszej młodości.

Żądaliśmy od życia, żeby miało kierunek i rozpęd, żeby coś  
się działo codziennie, żeby wspólnie popychana historia odwzię-  
czała się uczestnikom widowymi triumfami idei, maszerując  
wytrwale ku wyśniewanej przez nas szczęśliwości powszechnej.

Z zapałem gromadziliśmy dowody, że jest, jak chcemy.

I w tym wszystkim lśniła Joanny jasna uroda i przez całą  
jesień i zimę nie dotknąłem jej, aż dopiero kwietniowego wie-  
czoru, pod głuchą bramą, ośmieliłem się ją objąć, i powiedziała:  
masz zielone oczy, zabawne, zawsze szare, aż tu raptem zielone.

Kiedy poznałem wdowę po autorze „Pałę Paryż”, a było to  
innej wiosny, gdy wracali pogrzebani żywcem, odgrzebani pół-  
żywcem, na wpół ślepi od lodowatej bieli, ona była wśród nich,  
spuchnięta, ciężka, z ocalałą twarzą ruskiej Madonny, jeszcze  
żyła jej matka, drobna, pergaminowa staruszka, więc z powro-  
tem był dom, otóż kiedy poznałem Annę, zachłysnęła się west-  
chnieniem: jak on chciał wierzyć!

To już było, opowiadała, już brali, co dzień znikał ktoś bliski,  
a on ufał, że sprawiedliwie, że za coś, i dopiero kiedy przyszedli  
po niego, ja płakałam, a on się raptem uśmiechnął, pomyślałam,  
że zwariował, on powiedział: ciesz się, że tamci także niewinni.

Ten rękopis leżał na stole, kilka pierwszych rozdziałów nowej  
powieści, moja mama wyjęła z szafy płaszcz i na stół rzuciła,  
niby niedbale, potem drugi wyjęła, on się ubrał i wyszedł z  
nimi.

Teraz mają te rozdziały drukować.

Jak przeżyłam te lata, no, jak wszyscy, opowiadać można  
bez końca, jedno powiem, że nie miałam poczucia krzywdy, mnie  
to się należało, ja w tym byłam, ile razy podnosiłam rękę gło-  
sując, za pełnomocnictwami dla Stalina też głosowałam, jeśli żal  
mi tam było kogoś, to prostych chłopek, bo za co one.

Jak zginął, nie wiem, podczas wojny przywieźli polskich żoł-  
nierzy, jeden twierdził, że był przy tym, w innym obozie, jak  
umierał w szpitalu na dyzenterię i o dzień przedłużył mu życie  
widok rodaków, i poezje im szeptał, ale ja w to nie wierzę, myślę,  
że go zastrzelili od razu.

Nie, to nie jest ostatnie, co pisał, teraz mi oddali, zostało w  
aktach, wierszowany list z celi, do komisarza ludowego apeluje  
ludowy poeta, dobry wiersz, ciekawe, czy adresat go czytał.

Proszę do nas przychodzić, zawsze rade będziemy, prawda,  
mamusi.

Mamusia przechowała rękopis, doczekała się córki żeby oddać jej do rąk i umarła zrobiwszy swoje.

Anna w druku ujrzała tyle lat wyklęte nazwisko, gości z Polski podjęła, własnych wspomnień nie zdążyła napisać i też umarła.

W wydrukowanych rozdziałach była wiara w wielki spisek i w sąd sprawiedliwy.

„Palę Paryż” nie odważyłem się przeczytać na nowo.

Anny nie byłbym więcej ujrzał, opuściwszy jej miasto, ale to, że jej nie ma, nawet gdzieś tam daleko, czuję.

Z opowieści Anny: na etapie.

Dojechalismy do zamarznętej rzeki i po krze przeszlimy na drugi brzeg, na punkt etapowy. Już w wagonie miałam gorączkę, a kiedy szłam po tej nie kończącej się krze, czułam, jak w moje ciało wwierca się ostry, rozpalony hak, powoli przesuwa się od stóp do brzucha i piersi, rozdziera gardło, wyszarpuje mózg. Na brzegu straciłam przytomność.

Ocknęłam się nie wiem po ilu dniach majaczenia. Leżałam na wąskiej pryzy, a nade mną nachylała się stara kobieta o szerokiej i ciemnej chłopskiej twarzy.

Wypijesz wrzątka, zapytała.

Skinęłam głową i kobieta odeszła.

To ona, Maria, powiedział ktoś z boku, żeby nie ona, już by cię, paniusiu, wrony dziobały.

Wróciła z dużym blaszanym kubkiem, sama nie mogłam go utrzymać i Maria znowu nachyliła się do mnie. Miałam tuż przed sobą jej dziwnie nieruchomą twarz, taką z której dawno starto nadzieję i namiętności. Ale nieludzkiemu spokojowi jej twarzy zaprzeczały wielkie ciemne oczy, zacięte i czujne.

Będziesz żyła, powiedziała po chwili Maria.

Dziękuję, bąknęłam.

Machnęła lekceważąco ręką i spojrzała mi prosto w oczy: komunistka?

Tak, komunistka.

Ktoś roześmiał się piskliwie: najpierw kułacy, później komuniści, porządek.

We mnie obudziło się naraz wszystko, czym żyłam od lat: kułacy? ależ kułaków trzeba było zlikwidować, nie słyszeliście co oni robili, z obrzynków strzelali do naszych ludzi, zboże w ziemi gnoili, nawet własnych dzieci nie żałowali, bo.

Urwałam. Maria, ciągle z nieruchomą twarzą, powoli odsuwała się od mojej pryzy. Zatrzymała się o krok i tak samo powoli zaczęła się nachylać w uroczystym ukłonie. Spod chustki



wysunęły się dwa gęste, siwe warkocze. Ukłoniła się do ziemi raz i drugi, po czym bezwzdzięcznym głosem powiedziała: dziękuję ci, dobra panienko, żeś ulitowała się nad naszymi dziećmi.

Odwróciła się i poszła.

Ciszę przerwała kobieta z sąsiedniej przycy.

Głupia, powiedziała dobrodusznie, nie wiesz, że na tej przeprawie wnuki Marii, ech, głupia.

Mistrz niechętnie rozmawiał o tym pisarzu, chyba nie tylko dlatego, że poetyki ich były tak różne, Mistrza jasna, żywiczna, wysokopienna, a tamtego duszna, oranżeryjna, pnączasta. Autor „Pałę Paryż” był taki jak dawni przyjaciele Mistrza i zginął jak oni, ale nie był jego przyjacielem. Kiedy opowiedziałem o wierszowanym liście z więzienia, Mistrz skrzywił się: sam w więzieniu bluznął wierszem jak przekleństwem z rynsztoka, tamten zaś jaskrawego kunsztu używał jako stawki daremnej by wygrać życie. Mistrz po nocach zgrywał się w karty i inaczej pewnie także się zgrywał, a poemat o Stalinie napisał by samego siebie przekonać o słuszności historii, ponad własną krzywdą stając wspinałomyślnie i poezji w prywatne gry nie wciągając.

Mistrz skazany na śmierć: biała separotka, przyniosłeś wody? przyniosłem, trzęsącymi się palcami do kieliszka od lekarstw, zasadniczy przyjaciel, ten od walczy barykado: słuchaj, nie powinieneś, i do mnie, bardzo wam się dziwię, wzruszam ramionami, obaj wiemy, co Mistrz ma w środku, jeszcze parę miesięcy, parę tygodni i do końca go zeżre, nie nudź, Mistrz wesoły, i nie donieś, bo skuję mordę, chowa butelkę do nocnego stolika, wiecie, kwiaty od ministra dostałem i bombonierę, odesłałem mu z listem, kwiaty złożycie na grobie Andrzeja, czekoladki ofiarujcie Jerzemu, śmieje się rozbawiony, Andrzej to przyjaciel młodości, teoretyk doktryny, pochowali go z pompą, z wielką mową Trąby Powietrznej, miłośnika znanego mów pogrzebowych, pewnie już szykuje następną, ledwie zaś do grobu złożyli zwłoki, za granicą wyszła książka potajemnie wyekspediowana przed śmiercią, błyskotliwa i gorzka rewizja, z grobu już go nie wyciągnęli, lecz wyklęli, skreślili, no a Jerzy, także z tej generacji, wierszowane pamflety rozsyłał pocztą, wytropili, zapakowali do mamra, i co chciałeś udowodnić, krzywi się zasadniczy, Mistrz się śmieje, a gówno, naraz blednie, na poduszki opada, duszę się, otworzcie okno, otwarte, na szarugę listopadową, na brzęk tramwajów, ciężko dyszy przez chwilę, no, przeszło, przeziębilem się nad morzem i odtąd, niecierpliwie chrząka, coś zawadza mu w krtani, przeziębilem się, powtarza i patrzy w ścianę, wie nie gorzej od

nas, co to za zwierzę pasie nim się z dnia na dzień, w klatce krtani sprężone, już do płuc pazurami sięgnęło, oddech pożera, starczy tchu na wiersz ostatni, o poecie Adamie i historii upadającej na rżysko, lecz na życie nie starczy.

Na pogrzebie Mistrza dzieci szkolne i kompania dęta, i dostojnicy, Józio Kapuś z orderami na aksamitnej poduszce, mowa Trąby Powietrznej donośna, wieńce, salwa, potem proces o spadek, przyłizane wspomnienia, hipokryzja konkurenta do liry, seter Łepepek osiwiwały z rozpacz, gala, nadajemy dziś imię, i ta sucha staruszka o jego oczach: pięknie było, bogato, dali szampitra, o nic mnie nie pytali, tylko sami o nim mówili, bardzo było podnośle.

Czy istniała tajemnica Tadeusza, czy istniała taka jak sobie wyobrażają, jak ja sobie wyobrażam i nie wyobrażam, wchodzi Bolek, uśmiechnięty i swój jak zawsze, lubię go i pochlebia mi koleżeństwo, on jest jednym z czuwających ażeby, taka sprawa, twój przyjaciel Tadeusz, czy to pilne, pilne, no dobrze, więc sprowadzam Tadeusza do naszego z Joanną pokoju, siódme piętro bez windy, Joanna w pracy, przejdź się, mówi Bolek, sam na sam zostają, a ja błąkam się po ulicach bez cienia, piję wodę sodową z saturatora, w księgarni nowe książki Erenburga przeglądam, wreszcie wracam na siódme piętro, Tadeusza już nie ma, Bolek mówi: w porządku, i wychodzi nie tłumacząc mi nic, ja go o nic nie pytam, a Tadeusz niebawem wyjedzie tam, skąd przysłał mi widokówkę z ratuszem, rok niespełna tam będzie i wróci, i będziemy nadal się przyjaźnili, z Bolkiem także, i to Bolek tego ranka, również skwarne, lecz i wtedy go nie zapytam, czy istniała tajemnica Tadeusza, czy właśnie taka.

Cześć.

Cześć.

Niezła buda, ruch w interesie?

Wychodzę na swoje.

Nie widzieliśmy się kilka lat, w międzyczasie zmienił profesję, stamtąd wyrzucili go pod zarzutem nadużyć, jakiś przemysł pończoch czy czegoś, z kurierem dyplomatycznym do spółki, nawet siedział pół roku, potem przyszedł i mówił, że prowokacja, potem zapadł się pod ziemię i wyłonił dopiero teraz, jako agent gastronomiczny, dobry punkt, już słyszałem o tym zanim na własne oczy, robię minę że przypadkowo przechodząc, lecz naprawdę specjalnie.

Gruby, jasny blondyn, nie posiwiwały, mimo brzuszka z powrotem coś chłopięcego, uśmiechnięty i swój, stary, wrąbiesz pączka, a napój firmowy, na te czasy nie trzeba lepszej roboty,

już pięć razy mogłem wrócić tam, ale nie ma frajerów, a co ty, zdjęli zakaz, nie wiem, podobno, tutaj do mnie przychodzili już literaci, na pączki i nie tylko, był niedawno, wymienia tego, który książkę o Tadeuszu, rozpytywał się, czy Tadeusz, pyszne pączki, u mnie zawsze, no i co mu powiedziałaś, tak jak było, po Berlinie myśmy nie od niego nie chcieli, a co robił tam, teraz pytasz, po tyłu, no rozglądał się w środowisku, potem myśmy się czasami zgłaszali, konkretnie pamiętam, że jednego dziennikarza angielskiego nam przygotował, a do swoich nie wścibiał nosa, ani później w Warszawie, cóż ty myślisz, patrzyło się na to szerzej, szmacić talent, żaden interes, a czy niemożliwe, że poza twoimi plecami, niemożliwe, jego teczka leżała u mnie, gdyby ktoś chciał z nim gadać, musiałby do mnie, wiem, że zaraz po śmierci zaczęli to o nim puszczać, ale wszystko lipa, daję słowo, przecież znamy się nie od dzisiaj, czy płaciliście mu tam, ani grosza, dla idei, i tam się wszystko skończyło, nie nalegam, w gruncie rzeczy to jest to, co chciałem usłyszeć, może więcej chciałem, że wtedy w moim mieszkaniu pogadali i rozeszli się bez niczego, ale to już przesada, czy ze względu na Tadeusza tak chciałem, czy na siebie, że ręki nie przyłożyłem, do czego, do zgodzenia się na, przecież to pośród obcych, dla idei, bez dalszych ciągów, Bolek stwierdza wyraźnie, potem wrócił i nie, i trudności z pisaniem z innych powodów, od powrotu z misji do samobójstwa ponad rok, wykluczone, by tym się trafił, przyjdź jutro, mówi Bolek, będą także placuszki rodzaj naleśników, to mój pomysł na naszym gruncie, podpatrzyłem we Francji, a więc jakieś doświadczenie przydało mu się z poprzedniego wariantu życia, ten przynajmniej wyszedł na swoje, byle nie odebrali koncesji.

Wspólnota dzieciństwa: rodzaj człowieczy, to otula mnie jak sen, jak wody sprzed urodzenia, jak instynkt, płynę we śnie i miara mojego oddechu wspólną miarą jest, wszystkim ludziom daną po równi.

Dech wstrzymany, przyspieszony, skłócony, obsuwanie się prawd pierwotnych, walka, jeszcze chłopięca, o ocalenie, i tu zbawca utopia, projekt świata szczęśliwego, jeszcze nie jest taki, ale się staje, stworzy go wspólnota ludzkiej większości, byle większość pojęła, że o to chodzi, byle zdarła skorupę błędów przez przewrotną mniejszość wpojonych, byle miała pragnień i odwieczna trwoga ją opuściła, jestem w tym, wszystko moje do tego zdąża, wszystko nasze, przedzierające się przez powszedniość szarą i głuchą, i zwycięstwo już świta.

W tym dużym mieście zaraz po wojnie, na ulicach mrówczych, w korytarzach drążących gmachy, w kręgach lamp rodzin-

nych, w audytoriach, garstka apostołów żarliwych, chodźcie z nami! upodobnijcie się do nas! w tym nieufnym tłumie, w chórze szmerów niejasnych, awangarda świętej wspólnoty, taka wątła i zasklepiona, i swej wizji pewna, i niedomyślna, nie zdająca sobie sprawy, że taka właśnie jak teraz, jak na zdjęciu pomaturalnym, na wycieczce, na zdjęciu weselnym, jest jedyną, jaką stworzyć potrafi, wspólnotą, z krwi wzburzonej, z miłości, wiary, nadziei, jest wspólnotą szczęśliwą.

Prawo zwycięskie spina brzegi, huczy po placach, maszeruje, skanduje swoje imiona, wypisuje na niebie, jestem w tym, ramię, radość, szereg, w szeregu, i ci, co przedtem, wszyscy prawie są obok, ze spęczniałym słowem i gestem, w tej wspólnotcie wezbranej, oczywistej, i teatralnej, w sztywnej normie, w gazetowym kołpaku, a pod nim, więc to to, więc ku temu.

I samotnie po schodach, przez dziedziniec kamienny, przez deszcz, po odejściu z ostatniego zespołu, żeby odtąd, pogódź się z tym, dobrze, godzę się, pogódź się naprawdę, naprawdę? że sam, osobny, odosobniony, wyłączny, że moje uczucia, moja miara świata, nie do podzielenia z nikim, tylko moje, o tu, przy tym biurku, więc do kogo, więc po co, to starzenie się? powrót bez buntu w osobności, pojednanie z arytmia, z dysharmonia, świszczącą oddechu świata, trzeba spróbować znajomych, żeby wspólnie to opić.

Majakowski: by całym z miłości wyzutym globem, by razem, ludzkim światowym rojem, i Borys Pasternak, tak długo nie rozumiany, zaś raptem: fala za falą tu się składa w nieustający szum przyływu i piasek wieje po ich śladach jak czas po śladach hieroglifów, bo wiedząc o swym pokrewieństwie z wszystkim co jest i będzie potem, i znów Majakowski: spójrz tylko, jaka cisza dookoła, gwieźdną daninę niebo nocy składa, w takich to chwilach chce się wstać i wołać — — —

Strzecha ognia nad nami, ja z Joanną przytuleni, obok Aleksander, Bolek, Franciszek, Marta, dookoła mrok nieprzebity, to ze zdjęć spamiętanych najżarliwsze, obręcz mroku, ogień, a my ciągle szczęśliwi, tacy bliscy sobie, tacy, strzecha ognia dogasa.

Radość wspólnot kruchych i krótkotrwałych, jak jesieni tej wiosennej, gdy ostatni raz z wielkim przyływem, o ludzkiej twarzy, tak wtedy nie mówiono, który da się lubić, padło na wiecu, i my wszyscy, odmłodniali, obmyci: który da się lubić, rozpaleni, na grzbiecie fali, redagowaliśmy wtedy, ja, Franciszek, Teodor, i ten zręczny felietonista, i inni, ze dwudziestu nas było,



jeden z tygodników owo hasło głoszących, niecierpliwi, nieostrożni, zziązani, wszystko od nowa, jeszcze raz doskonały ten plan, lecz inaczej, bez pojętych nareszcie błędów, bez ludzkiej krzywdy, ale to, to co zawsze, o co zawsze chodziło, jeszcze raz, jak pijak, który nowe życie od jutra, kędy spojrzeć, wszyscy, fala, upojeni swym miejscem na grzbiecie fali, swoją misją obmywania, chlustania, nacierania na brzeg kruszejący, wśród sympatii i nienawiści, jakby ktoś was tknął, to skrzyknijemy się od Kasprzaka i Róży, to ostatnie ostrzeżenie, pohamujcie się, towarzysze, ale my, jeszcze to do numeru, jeszcze o tym, na kolumnę, tytuł może być, w takim razie łamiemy, dołamiście się, połamiecie się, brzeg krzepnący, fala opada, między brzegiem a odpływem, w nieobjętym pomiędzy, tylko tyłu nas w tym miejscu, a reszta, do dwóch odlicz i rozejść się, oprawiony rocznik pod pachę.

A przecież ci, w sprawie rachunku, podejda jeszcze, znów podejda, w najmniej oczekiwanym momencie, lecz najchętniej w lokalu, kiedy już rozluźnienie i w żyłach ta doza płynnej odwagi, o, tej nocy zimowej także, gdy ja tyłem do lady barowej, oparty o nią łokciami, zaś oczyma po sali, po akwariium bąbelkami światła obrosłym, kołysany jego brzęczeniem, żyje się raz żyje się raz żyje się tylko raz, i wtem, spośród wszystkich wirów i prądów, niepozorny mężczyzna, rybko poruszając wargami, coraz bliżej i już koło mnie, to będzie to, ale on w desperacji nieudawanej, na zachłystującym się szloch: no aresztuj mnie pan, już dosyć kotka i myszki, no aresztuj, no już! aresztować, ja, co za ulga, on wziął mnie, mogę panu najwyżej postawić wódkę, hehe, żarty się pana trzymają, wódkę owszem, ale ja jestem stary piłsudecyk, hop hop na kasztance siwy strzelca strój, i nie myśl pan sobie, dalej jestem przeciwko, stary nauczyciel jestem i uczniom wpajam, i tu z buńczucznością rosnącą, wychodzimy czy nie, bierzesz mnie pan, do cholery, gdzie masz ten znaczek, i trzęsącymi się żółtymi palcami do mojej kłapy jednej i drugiej, i zwiędnięcie tych rąk zdziwione, jakże to, opadnięcie bezradne, skrzywdzone niemal, ja z pojednawczym uśmiechem: pani naleje, pan Zdzisiu ma już dosyć, przeciwstawia się barmanka, nie mam dosyć, broni się tamten, nie mam dosyć, widzi pani, człowieka spotkałem, myślałem że, bo taki blondyn w średnim wieku, więc naprawdę myślałem, obaj żeśmy się pomylili, mówię, i pijemy pod ironicznym wzrokiem barmanki, i raptem przypominam sobie.

Druga rzeczywistość, z tworzywa niewidocznego, nałożona na tę zwyczajną, gdy poczułem ją po raz pierwszy, było tak, jakby

wszystko, co otaczało mnie, przesunęło się wzdłuż osi ukrytej, o ułamek kąta, w ułamku chwili, i w następnej nie byłem już w stanie stwierdzić tego wahnięcia, wszystko trwało na swoim miejscu, tylko błona czy folia doskonale przejrzysta do wszystkiego, ze mną włącznie, przywarła, nie sprawdzalna wzrokiem ani dotykiem, bezszelestna i dająca się natychmiast prawie zapomnieć, wszystko tu gdzie zawsze, takie jak zawsze, a zarazem jakby z innej materii, gdzie indziej.

Później, ci mężczyźni wpatrzeni godzinami w wystawy, te głucho telefony, te mercedesy w biały dzień ze światłami, i ten blondyn o zepsutych zębach, w szarym płaszczu gabardinowym i jedwabnym szaliku, spod mojego domu krok w krok przez miasto, wszystko to dużo później i już w zwykły tok egzystencji wmontowane, jak inkasent, poczta, zakupy, ale wtedy, tamto pierwsze dotknięcie, pośród zajęć potocznych i myśli górnych, cień zaledwie, mgiełka ulotna, zdmuchnąć, przetrzeć i ani śladu, jednak nie, rzeczywistość widoczna niewidoczną pociągnięta jak lakierem bezbarwnym, i już nie do poznania.

Co się stało od momentu, gdy wracającego późno z wykładów zatrzymał mnie w bramie dozorca i podał druczek, zanim podał nie miałem wrażenia by traktował mnie inaczej niż zwykle, idąc dalej po schodach rzuciłem okiem na lakoniczne wezwanie i wtedy dopiero między moimi plecami a dozorcą u dołu, nie poruszonym, rozpięło się to coś, czego nie próbowałem uchwycić, a nazajutrz inny wzrok badawczy naprzeciw, ociężałej kobiety w biurze przepustek, potem piętka, korytarze, sylwetka skądś znajoma, cofająca się i drzwi zatraskująca pośpiesznie, wreszcie twarde krzesło przed biurkiem i rozmowa krótka, niemal niedbała, nic o nim nie wiecie, nie pokazywał wam, no dobrze, tu macie atrament i pióro, i to wszystko, nic się nie stało, rzeczywistość ukryta przesunęła się zaledwie przez moją widomą, i przestałem o tym myśleć, nawet widok znajomego, o którego wtedy, nie niepokoilił przypomnieniem projekcji, którą on, czy nikt oprócz niego? rzucił gdzieś tam na białą kartkę, nie myślałem o tym, a przecież na ulicach stokroć schodzonych pierwsze kroki stawiałem jakbym ze snu się obudził w przestrzeni ze snu też pamiętanej, tak podobnej i tak nieokreślenie odmiennej.

Słyszałeś, co Józio Kapuć rozpowiada o tobie, tak, Józio Kapuć o mnie? Józio Kapuć na mównicy, pierś wypukła rozpięta marynarkę ciuchową, oczki wiercą się w tłustej twarzy, proszę bardzo, mogę powtórzyć publicznie, powtórz, Józio, w minionym okresie, a, w minionym okresie, okazało się właśnie,

że istniał miniony okres, Józio Kapuć przygląda dłonią i tak przylizane włosy, może byście konkretniej, to prowadzący zebranie, wstają, ktoś z miejsca, człowieku, przecież się nie będziesz z tej bzdury, powtórz, Józiu, co w minionym okresie.

Józio Kapuć ze łzami w oczach, słuchaj, zrozum mnie, chcesz uklęknę przed tobą, chcesz, pocałuję cię w rękę, scena jak z niedobrej powieści, zawsze był grafomanem i mnie w to wrabia, jedno mi wytłumacz, po co ci to było potrzebne, to nie ja, mnie kazali, nie dopytuję się, kto mu kazał, teraz czy w minionym okresie, wybaczysz mi, Józio Kapuć wyciąga rękę, jeszcze nie nauczyłem się nie podawać, to nastąpi, lecz później, Józio Kapuć wzrokiem radosnym po półkach, pożycz książkę, pożyczam, no to cześć, do następnej okazji.

### Demon literatury.

To o Tadeuszu, wspomnienie starego pisarza, ogłoszone tuż po, zżymałem się wtedy na nie, zdawało mi się, że to zemsta za, a ponadto manifest estetyki nieprzyjaznej temu, w co Tadeusz i ja z nim razem, teraz przecież odczytuję inaczej, stary pisarz nie o tym zapewne, co dziś wkładam, czy o tym? a więc demon literatury, „wstrząsająca była walka, jaką przeprowadził z demonem”, „z bijącym sercem niektórzy śledzili”, „należałem do nich i starałem się odnaleźć ślady powrotu”, „ale raz powziętemu postanowieniu”, „w jego rezygnacji brzmiał głos ludzki całego”, tak, to prawda, któż nie zna tego demona, czy podobna nie walczyć z nim, złotoustym, zdrajcą życia, znieważającym cierpienie przez przydanie mu formy, czynienie pięknym, ale jak się wywinąć z pułapki, stary pisarz godząc się na doskonałość wyzywa demona i zwycięża go własną bronią, a Tadeusz by zabić w sobie demona zabija talent i w końcu nie pozostało mu nic innego jak zabić siebie.

Ale to jest także literatura.

Z „Życiorysów” Aleksandra Klugego: protokół (raczej nie całkiem autentyczny, ale, jak większość tekstów w tej książce, z autentycznym zapleczem) doświadczenia, wykonanego podczas wojny przez hitlerowskich eksperymentatorów. „W roku 1943 naświetlania promieniami Roentgena wydawały się być najtańszym sposobem sterylizacji w obozach. Bezpłodność uzyskana tą drogą była jednak wątpliwa. Dla przeprowadzenia próby wybraliśmy spośród więźniów po jednym osobniku męskim i jednym żeńskim. Umieściliśmy ich razem, w jednym pomieszczeniu. Pomieszczenie przeznaczone na to było większe od innych cel. Wyłożono je dywanami i kilimami z mieszkań dyrek-

eji. Nie ziściły się jednak nadzieje, że więźniowie chętnie poddadzą się doświadczeniu..." Obiektem eksperymentu była para kochanków z wolności, która jeszcze w obozie, według obserwacji dozorców, intensywnie szukała zbliżenia. Nie doszło jednak do niego w sprzyjających warunkach, wytworzonych przez autorów „próby miłości”. Narrator odnotowuje swoje zdumienie i rozczarowanie, a w końcu zapytuje: „Czy można z powyższego wyprowadzić wniosek, że zbytne nasilenie nie-szczęścia unicestwia miłość?”

## PRZYJEDŹ NATYCHMIAST STOP KŁOPOTY Z GRA- ŻYNĄ STOP ŻYWA ZDROWA ALE POTRAKTUJ POWAŻ- NIE JOANNA

Więc znowu dać się wyrwać, znowu mi się rozsypie i nie pozbieram, papierzyska, teczki, do walizy i, jaka szkoda, literatury, znów cię zdradzę dla nich, dla siebie, za każdym razem nie wiem, czy nie na zawsze, może jeszcze to ze starego rękopisu przynajmniej, wagon trzęsie, za oknem zielono i brunatnie, chłopci w pole wyszli i z płacht hieratycznym gestem sadzą ziemniaki, może jeszcze zdążę, może już blisko.

Z historii o samobójstwach: w tamtym kraju, tamten pisarz o błękitnych dziecięcych oczach, który uczestniczył we wszystkim, wszystko firmował, amerykański autor opowiada, jak na kongresie pokoju, zapytany o los kilku swoich kolegów, przytaczał rozmowy z nimi sprzed tygodnia i tematy książek, nad którymi pracują, nie żyli już lub rąbali las za kołem polarnym, niewątpliwie wykazał wówczas więcej fantazji niż we wszystkich swoich powieściach, dodaje autor wspomnienia, nie wiem czy sprawiedliwie traktując powieści, które za młodu ceniłem, a później nie wracałem już do nich, choć właśnie później tyle słyszałem o tym pisarzu od ludzi niegdyś mu bliskich, opowiadali jego młodość gwałtowną i fanatyczną, jego strach i uwikłania, i gesty, i drastyczne sytuacje, również bizantyjska Anna była w tym gronie i w jej domu poznałem człowieka, który jak ona wrócił owej wiosny z odmrożonymi policzkami i sercem przemarzniętym do głębi, towarzysza jego wczesnych zapałów, spotkałem go, opowiadał, w domu pisarzy, podszedł do mnie: wróciłeś! a ja nie podałem mu ręki i zapytałem: nie wstydzisz się patrzeć nam w oczy? ten sam człowiek w kilkanaście dni później zadzwonił z wiadomością o samobójstwie, w pustej willi podmiejskiej pisarz wpakował sobie kulę w serce, tłumiąc wystrzał poduszką, komunikat ogłoszony naza-



jutrz wspominał o nałogu zmarłego, ludzie przebąkiwali o nie ujawnionym liście przedśmiertnym, a ten, który nie podał mu ręki, powtarza: gdybym był wiedział! gdybym był wiedział, że zostało w nim coś ludzkiego, ale jaki mógł mi dać dowód, tylko ten jeden.

Z historii o wariatach: widzi pan, powiedział doktor, dysponujemy środkami, jakimi psychiatra nigdy, ta pacjentka na przykład, którą pan widział, jeszcze głosy, myśli natrętne, ale była zupełnie rozkojarzona, po kuracji largactilowej mamy z nią kontakt, zdaje sobie sprawę ze swego stanu, właściwie poza halucynacjami słuchowymi jest normalna, z klinicznego punktu widzenia to osiągnięcie, urwał, zabębnił palcami po biurku, no tak, podjął, ale przedtem miała swój obłąkany świat, wyłączony z naszego, i jakoś w nim istniała, wydarliśmy ją z niego, z powrotem istnieje w zwyczajnym świecie, obarczona niepewnością, lękiem, dokuczliwą świadomością choroby, te omamy to kładka do świata, za którym bezwiednie tęskni, my go nie znamy, ale chcemy zburzyć tę kładkę, mówimy sobie, że dla jej dobra, że mamy do tego prawo.

Z historii o ludziach wierzących: po moim powrocie z tej małej wojny, kiedy ciągnięto mnie wszędzie żebym opowiadał o gorączce i agonii, i łapaniu powietrza, i dławieniu, i wszystkim, co do tematu należy, więc chodziłem i nie pomijałem niczego, otóż kiedy już po raz któryś, w nieprzytulnej świetlicy fabrycznej, powtórzyłem to, co widziałem i słyszałem na małej wojnie, powstał stary robotnik i zawołał niemal z rozpaczą: znowu te kłamstwa! od czterdziestu lat oblewają ich błotem, dosyć się nasłuchałem! a to, że głód, że łapcie, że wspólny garnek! roześmiał się sardonicznie: wspólne żony, i tak mówili! że religię przesładują, na katogę zsyłają kto religijny, skrupulatnie wyliczał coraz bardziej się zapalając, czołgi z dykty, karabiny na sznurku, a jak przyszli nas wyzwolić, to jakie mieli? brał obcych na świadków, triumfował nad oszczercami, wróg klasowy wciąż coś wymyśla żeby zachwiać wiarę w komunizm, głupi ludzie słuchają, a ja nie będę! no przyznajcie się, zaapelował do mnie, że wy tak, dla sensacji, ktoś was namówił, no bo sami, wskazywał drogę odwrotu, coście wy tam mogli, więc ze słyszenia, a naprawdę wiadomo, na policzkach nabrzmiewały mu sine żyłki, już czterdzieści lat wiadomo, zazdrościłem mu i współczułem, czy ja chciałem komukolwiek odbierać wiarę, w jakiś sposób wciąż był mi bliski.

Teraz ty, Grażyna podnosi się na łokciu, wiedziałem, że ciebie zmobilizuje, biedny tato, a mówiłam, żeby dała ci spokój.

Masz na myśli matkę, stoję w furcie, szedłem od stacyjki w jaskrawym słońcu, patrzeli na mnie spode łba, ale pokazali, więc to tu, rzadka trawa, kilka chorych jabłoni, spróchniały ganek, jakieś ciało na ganku w nienaturalnej pozycji, drugie zwisa z hamaka, a Grażyna i jeszcze dwoje na trawie.

Nie wyrażam się bez szacunku, tylko po co.

Zdarłaś wszystkie pantofle, pytam, a zdawało mi się, że pełna szafa.

Czerwieni się, podkurcza bosc stopy, wcale nie zdarłam, tak mi jest wygodniej, dlatego mam sobie narzucać.

Pan chce ją z powrotem zrobić niewolnicą, odzywa się basem ten z hamaka, ma włosy do ramion i dziką brodę, przypomina mi popów z dzieciństwa, sam pan jest niewolnikiem i z niej chce zrobić.

Czy my się już znamy, pytam, to moi przyjaciele, przedstawia Grażyna, w hamaku Święty, na ganku Olaf, tylko nie trzeba mu przeskadzać, a to Jacek i Magda, Jacek, usiłuję w zarośniętej twarzy wypatrzeć znajome rysy, nie ten Jacek, Grażyna śmieje się pobłażliwie, przecież tamten jest w wojsku, a to Jacek Muzykant, przedstawiony w ten sposób wstaje, kłania się pobrzękując dzwoneczkami naszytymi na kwiecistej sukmanie, bardzo nam miło, może zechce pan spocząć.

Ostrożnie przechodzi przez nieruchomego Olafa i znika wewnątrz poczerńiałej rudery, by po chwili wynurzyć się ze stołkiem w rękę, proszę, pan będzie łaskaw, siadam i wyciągam papierosy, palicie państwo? palimy.

Nie przyjechałem żeby ograniczać twoją wolność, chcę po prostu zapytać, na czym ta zabawa polega.

To nie jest zabawa.

A co?

Wcale się nie spodziewam, Grażyna zadziera nosa i teraz widzę, jak schudła i ściemniała na twarzy, wcale się nie spodziewam, że ktokolwiek zrozumie, jak my żyjemy.

Ale o coś ci chodzi, czegoś chcesz, chyba możesz to wytłumaczyć.

Niczego nie chcemy, odpowiada zamiast Grażyny Święty, pragnienia prowadzą do zbędnych cierpień, my niczego nie chcemy, jesteście wolni.

Gdzieś to już czytałem, mówię.

Czy to nas kompromituje, pyta uprzejmie Jacek Muzykant.

Świetnie, zgadzam się, strzeżecie swojej wolności, a jak zapatrujecie się na takie stare kajdany, jak niepokój o kogoś

bliskiego, nie o jego światopogląd czy moralność, uchowaj Boże, ale o to, czy nie jest głodny lub chory, jak myślicie, na przykład rodzice mają prawo tak się niepokoić o córkę?

No pewnie, zabiera głos Magda, my też dbamy o bliskich, najważniejsze to wzajemna życzliwość, współczucie, tu chwila wahania: i miłość, w tym miejscu Grażyna znów się czerwieni, Jacek zaś kręci kudłatą głową, czekaj, przerywa, panu chodzi o to, czy Dżina ma co jeść, a także skąd ma, dodaje.

Pracowaliśmy przy zbiorze truskawek.

A skoro skończy się to, coście zapracowali?

Dlaczego mamy się trapić jutrem? Chcę w pełni przeżywać swoje dzisiaj, a trapienie się jutrem tylko mi w tym przeszkodzi.

Więc jednak czegoś chcecie, łapię ich za słowo, bez żadnej satysfakcji, bo co mi do nich, przyjechałem do córki, po córkę, ale ona milczy, zamknęła się, a ja dyskutuję z reprezentacją domorosłych hippisów, są nawet sympatyczni, niech przeżywają jak umieją swoje dzisiaj, byle mi nie zmarnowali Grażyny, na pewno nie zechce zabrać się ze mną, właściwie mam prawo ją zmusić, nie skończyła osiemnastu lat, i co to znaczy, pytam, w w pełni przeżywać dzisiaj?

W pełni przeżywać, mówi Święty, to być w każdej chwili sobą, realizować siebie we wszystkim, co widzę, co czuję, z czym potrafię się utożsamić, co kocham.

Kogo kocham, mówi Magda i patrzy na Jacka.

Nie gonić, nie uciekać, nie rozpraszać się na niepotrzebne i absurdalne zabiegi jak wszyscy, ciągnie Święty, nie gwałcić siebie i świata, dążyć do harmonii tego co jest we mnie z tym, co w powietrzu, w trawie, we wszechogarniającym istnieniu.

Tat twam asi, odzywa się nagle Grażyna, jestem zdumiony, moja córka i filozofia indyjska, co ona z tego rozumie, ale w głosie jej dźwięczy triumf, pan to już gdzieś czytał, wtrąca Jacek Muzykant, to was nie kompromituje, ale rzeczywiście, czytałem.

W pociągu jest duszno, słaby człowieku, z żalem i ironią powie Joanna, z wszystkimi potrafisz, tylko nie z własnym dzieckiem, a jeżeli ona w pełni przeżywa siebie, przypomnij sobie, bzdura, ci brudni chłopcy, z pewnością sypiają tam wszyscy ze sobą, o nas też tak mówiono, i zostawiłeś jej pieniądze, to tylko przedłuży całą, trochę im zazdrościsz, no jasne, powinnam była przewidzieć, ciekawe, czy Olgierd byłby także hippisem, w gruncie rzeczy, a narkotyki, u nas w Polsce narkotyki, daj spokój, czasami miałabym ochotę cię zamordować.

Ten moment, kiedy ja i Tadeusz, z góry, wychyleni przez balustradę, z najwyższej galerii w kopulastej huczącej sali, wpatrywaliśmy się w falowanie historii, w jej ekstazę i okrucieństwo, i historia, wyszczerbiona żywa płaszczyzna, zamierała w zachwycie, łopotąła skrzydłami oklasków, powiewała ku przodowi kitami czapek górniczych, to wzruszenie jej widzów obdarzonych wspaniałomyślnie przepustką, wspólny oddech z falującą pod nami, i raptem, skurcz serca, demonstracja jej nieznanego nam jeszcze prawa, na trybunie człowiek z twarzą ascety, twarzą tak pamiętną, bo jeszcze wczoraj, dzisiaj jest kim innym, to wiemy, jednak jest jeszcze tutaj, chce wytłumaczyć, na trybunę wstąpił w tym celu, udzielono mu głosu i mówi, co mówi? tylko ruch jego bladych warg dostrzegamy, gdyż awangarda historii, ta z kitami górniczymi, wezbrała groźnym pomrukiem i zagłusza go, zamilkł, ona także na chwilę, towarzysze, mówi ten człowiek, wysłuchajcie mnie, chcę wam, i wzmożony ryk w odpowiedzi, już nie tylko wspinający się brzeg pod trybuną, cała sala, precz! odebrać! zdrajca! on porusza wargami, nie nie słyszać, gestem ręki błagalnym próbuje, nadaremnie, zagłuszony, wytupany, wygwizdany, schodzi w dół i garbi się naraz jakby twarz chciał zasłonić ramieniem, jakby bał się że go ukamienią, sala huczy, to historia na naszych oczach, i samotny człowiek, obalony przywódca, obcy, w samotności swojej, w obcości, w pustce, na niemotę skazany, bez prawa do apelacji, w noc grudniową wyszliśmy, ja i Tadeusz, cóż, to jest okrutne, powiedział, ale proste, więc w jakiś sposób uczciwe, można by stworzyć pozory, odsunięty polityk przedstawia swoje racje, temu i owemu trafiają do przekonania, ale klasa robotnicza chce prostej drogi, chce budować socjalizm bez czezej dyskusji, tak, tak, nie-nie, zimne albo gorące, z tymi albo z tamtymi, przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, raptem znówu odezwał się, samotność, jest tysiąc rodzajów samotności, nie wolno być samotnym, to wielka wina, zapamiętaj to sobie, nie wolno, przecież nie jesteśmy, powiedziałem, przecież my, zejść z galerii, powiedział, porzucić swoje inteligenckie i z górnikiem, z traktorzystami, do końca.

W teczkach, które z Jednym-z-nas przeglądaliśmy niespełna trzy lata później, z tymi wierszami nie do druku, obelżywym: ej kultura ty polska kultura ej pojedziesz ty kiedy za Ural, i patetycznym: a mnie ojczyznę komora gazowa i oświęcimski płomień, a mnie ojczyznę parszywy grób w lasku pod Śmoleńskiem, i innymi jeszcze, na samym wierzchu — początek nie-pisanego felietonu, czy tego właśnie, w którego pisaniu nie



chciała mu przeszkodzić ostatniej nocy ta dziewczyna, felieton miał iść w poniedziałek do numeru, czy możliwe, że taki felieton zamierzał dać do numeru, nie biadajcie nade mną, pisał, nad moją niemożnością, nad zmarnowanym talentem, jeszcze żyję, jeszcze nie umieram, to powtarzało się wielokrotnie jak refren, była tam ponadto łobuzerska anegdota o przygodach pewnego działacza, wymieniał go z nazwiska i opisywał, jak zamiast do łóżka młodej aktorki trafił do jej sparaliżowanego dziadka i uzdrowił go cudownie, tutaj tekst się urywał, felieton nie miał tytułu, tylko motto widniało nad nim, z Mickiewicza: ileż to rączek tonąc uściskałem...

To jest dobre, zatelefonował w nocy Reżyser, spróbujemy to zrobić, byle tylko znaleźć aktorkę, i wtedy, obudzony ze snu, podniecony jego reakcją na tekst nie mój przecież, ani słowa mojego, ja tylko wybrałem i ułożyłem, domyśliłem się raptem tego, co od dawna niewyraźnie już przeczuwałem, najpierw montując ze świadectw i dokumentów rzecz o życiu i śmierci poety, której tendencyjność ktoś mi zarzucił, chociaż wyrzekłem się wszelkiej interpretacji słowem od siebie, później zaś, już w tej książce, tylekroć posługując się zdaniem wydartymi z innych obszarów życiowych i włączonymi w ten, mój, i wreszcie, zafascynowany poetką, której nigdy nie znałem, nie pogodzony z jej śmiercią i opanowany podczas lektury jej wierszy i pamiętnika dziwnym uczuciem obcowania z żywą, zmagającą się o życie, jeszcze nie bez nadziei, jeszcze z możliwością zwycięstwa, zakreślając na marginesie fragmenty, przeczuwałem to, lecz teraz dopiero się domyśliłem: moje słowa są konieczne, prawie wszystko gdzieś już istnieje, starczy wybrać i ułożyć we własne ciągi, chcę przemówić? przemawiam kiedy wybieram, ja-reżyser, ja-aktor też jestem sobą, nie tożsamym z innym, nawet z tymi, których szept i krzyk przywłaszczyłem sobie, tylko z sobą tożsamym, bo tak wybrałem, albo może inaczej: właśnie ginę w nich, jak tym razem w owej dziewczynie, dobrze zatem, że ginę, skoro ginąc utrwalam inne istnienie, ważne dla mnie, ważniejsze w tej chwili niż tamto objawione we własnych słowach, i przekazuję to istnienie jakiejś wspólnocie, dlaczego milczysz, odezwał się w słuchawce Reżyser, przecież nie ciebie chwale, nie musisz być zawstydzony, no dobra, zadzwonię jeszcze, jak rozejrzę się za aktorką.

To ty jesteś tą aktorką.

Ja?

Zrobiłem to dla ciebie. Nie chcesz?

To takie smutne.

Odbierasz to jako smutne?

Wszystko odbieram jako smutne.

Słuchaj, przecież nie jesteś o nią zazdrosna! To ty nią będziesz, ona nie ma innego głosu, innego ciała, tylko twoje, na scenie.

I ja za nią umrę?

Śmierć jest poza tekstem, w tekście jest miłość.

Zabiję ją schodząc ze sceny. Nie, nie chcę!

Ty płaczesz? Ty naprawdę płaczesz?

Nie patrz na mnie. No płaczę, no jestem beksa, cóż w tym takiego?

Harcerczko, niemądra, wesola, przypomnij sobie, że jesteś wesola, i na świecie tyle jest tego, co lubisz, komu ma być dobrze jak nie tobie? Powiedz, czy to jeszcze tamto, co wtedy? Miałaś mi powiedzieć.

Miałam, ale nie mogę, wszystko jest takie trudne, ja nie chciałam nikogo krzywdzić, a teraz.

Ty, skrzywdziłaś kogoś?

Teraz nikt mi nie może pomóc, nawet Bóg.

Przecież wierzysz w niego.

Dlaczego ludzie umierają? Sami, z własnej woli? Żeby ktoś czuł się winny, tak? Przeczytałam w gazecie o tym pisarzu, ja rozumiem, że na obczyźnie, samotny, ale mimo wszystko dlaczego? Znales go pewnie.

Trochę. On był bardzo zdolny, porównywano go z Tadeuszem. Dla mnie to nie miało sensu i dopiero ta śmierć. Ale ty byłaś dzieckiem, kiedy on wyjechał, niemożliwe żebyś.

Nie, tak tylko przypomniało mi się. Nawet nie czytałam, znam tylko tytuł: pierwszy krok w chmurach.

Ja czytałem jego ostatnią książkę. Tam ludzie zabijają się z pogardy. Nie chcą żyć z takimi jak my, tak napisał czy coś w tym rodzaju. To niedobra książka, wszystko na efekt, fabuła, dialogi, chyba już inaczej nie umiał i szarżował ze wstydu.

I dlatego, że nie umiał? Tylko dlatego?

Nie wiem.

A jeżeli ktoś nie jest pisarzem? W ogóle nikim nie jest, nie próbował, nie miał ochoty — i też?

O kim ty mówisz?

To nieważne, o kimś, kto chciał, żeby ktoś drugi poczuł się winny, a winny poczuł się ktoś trzeci, i wszystko tak się poplątało, tak się poplątało, sama nie wiem, po co ci opowiadam.

Ja ci opowiadałem, to jest historia z mojego dzieciństwa, tylko że ta trzecia wcale.

Bo to nie jest historia z twojego dzieciństwa.

Mam jeszcze dużo historii dla ciebie, znacznie zabawniejszych. Kiedy czekam na ciebie, przypominam sobie wszystko, czego ci jeszcze nie opowiedziałem. Starczy nam na długo, zobaczysz.

Boję się że.

Nie lubisz? Przestałaś lubić?

Nie gniewaj się. Miałam napisać, ale nie potrafiłam.

Co napisać?

Przyszłam i też nie potrafię.

Już jest ciepło, jeżeli teraz wyjedziemy nad morze, pamiętasz, obiecałem, że nauczę cię pływać.

Przestań, lepiej już krzycz albo uderz, przecież widzisz, sam widzisz.

To jest — pożegnanie?

Kiedy miałam trzynaście lat, przeczytałam Stendhala i zrozumiałam, że wszystko ma swój koniec, każda miłość, każda przygoda. Później, cokolwiek przeżywałam, nie potrafiłam nie pamiętać o końcu.

Wszystko przez literaturę. Po co przeczytałaś Stendhala.

Jeszcze chwilę zostanę, dobrze?

Tak, tak, naturalnie.

Gdybym mogła zostać z kimkolwiek, to byłbyś ty.

Już na pewno wiesz, że nie możesz?

Pocałuj mnie.

Lubimy się całować, tak, i wino Feteasca, i nie lubimy hałasu motocykli, a co z piłką nożną, zapomniałem, czyśmy o tym mówili.

Skoro już zostałam na chwilę, prawda, że możesz mnie pocałować?

Trochę łżej

Znowu

Już nie bałam się tego bólu zapomniałem a on

Jeśli zmienię pozycję

Jestem młodszy od ojca o

Wypatrywał po wszystkich kątach ale skąd mogłem wiedzieć wypatrywał miejsca dla swego bólu ale skąd wypatrywał dla swego bó

Oj głupia jestem myślałam że to pan doktor

Wyjść z siebie i zostawić i wrócić W dół po cementowych schodach I zostawić i wrócić I zostawić i wyjść

Wstań Charlie wstań

My się znamy nie poznajesz Tadzieczku nie Tadzieczku to ja  
Aleksander z tą twarzą z tymi kędzierzawymi Macie państwo  
przed sobą pierwszego w dziejach Charlie Czarny Czemu jesteś  
tak daleko Załamałeś się po cholere właziłeś Wbrew towarzysze  
Szakal No gramy przecież

Sag mir wo die Blumen sind wo sind sie geliebt

Nie wykręcajcie się mówcie Co sądzicie o śmiertelności nie-  
mowląt A szkolnictwo powszechne A budownictwo Świat jest  
podzielony na dwa obozy

Świat nie jest taki zły świat wcale nie jest młdy niech no  
tylko zakwitną jabłonie

W siom christianniejszem iz mirow

Joanno nie wiem już jak wyglądasz Nie pamiętam Jak to się  
stało Joanno

Moja pamięć dobroczynna

To dla Joli ona taka wymagająca

Jak te młyny miałą Jaki chleb z tej mąki

Ich młody wiek ich szczerłość ich naiwny ale uczciwy zapal

Taki blondyn w średnim wieku

Nie będziemy z niego robili

Będzie żył jak się oddycha beztronski jasny i na imię mu  
damy

Tararach granat

Joanno to jest taki ból od środka jakby drzewo rosnęło w  
klatce piersiowej i konarami Joanno nie wytrzymam zaraz zmienię  
pozycję ale

Tysiące rąk miliony rąk a serce bije jedno Tat twam asi  
Kochałem je jak żaden Widmo krąży po Europie A my tań-  
czymy Żyje się raz żyje się raz żyje się tylko raz Widmo krąży  
Widmokrąg Winokrąg Wina krąży po Europie Po tropie Po  
trupie Krąży Graży Braży Współtek Współrytarz Oni myślą  
że potrafię podejść do telefonu Nie telefon Do drzwi Do szczeliny  
Do rozpadliny Woda na herbatę Batem go Bratem Nie krepujcie  
się jeszcze tortu trzeba spróbować Półtora miliona Biafrań-  
czyków Pst panie Zdzisiu Aktorami tego życia są Bóg kobieta  
przyroda powołanie śmierć Gdybyś nie była aktorką Która z  
dwóch zabija która tak Nigdy nie nauczysz się wiązać Ten  
zjazd rodzinny z jakiej to właściwie okazji Myślicie że to bredzi  
malaria to było było w Odessie W lesie W minionym okresie  
Dobrze jest jak jest Joanno gdybyś

1966-1970





**A CHEVE D'IMPRIMER  
LE 20 SEPTEMBRE 1977  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>)**

**Dépôt légal : 3<sup>e</sup> trim. 1977  
Imprimé en France.**

Just dit.  
Hais aus - Leffitt  
3. XII. 77

Cena 45 F.

711